

CONAN:
SYNOWIE BOGA
NIEDŹWIEDZIA

PRZEKŁAD: GRZEGORZ PRUSINOWSKI

ROZDZIAŁ I
ZIELONE MORZE

Ostre słońce budzącego się świtu, penetrowało tajemnicę lasu, przebijając gęstwą jodeł i cedrów krwawymi oszczepami światła. Docierając do brunatnego poszycia rozbijały się one o inne oszczepy, wykonane przez ludzi i zakończone stalą. Ślizgały się po pokrytych potem bokach kosmatych koni i żółtych, pomalowanych twarzach jeźdźców. Długa, poszarpana linia wojowników, dzikich mieszkańców z zachodnich krańców Khitaju, przemierzała poprzecinane dolinami wzgórz.

Kopyta wybijały miarowy rytm, do wtóru pulsującego dudnienia bębnow i wibrującego staccato cymbałów. Wznosiły się w niebo przenikliwe okrzyki setek gardeł wraz z tumanami kurzu przenikając korony drzew i wirując między zielonymi igłami. W pobliżu grzbietu niewielkiego wzniesienia, środek długiej na kilometr linii zwolnił, podczas gdy flanki galopem ruszyły do przodu. Bębny zagrzały szybszym rytmem, a w dźwiękach cymbałów eksplodowało szaleństwo.

Przed szarżującymi skrzydłami Khitajczyków las przeszedł w wąską plażę niskich zarośli. Za nią rozciągało się Zielone Morze — głęboka toń falujących pióropuszy traw, usiana kwitnącymi peoniami i płonącymi makami. Roślinność była tak gęsta i wysoka, że człowiek jadący na koniu wyglądałby w niej, jak rybak na pełnym morzu w ginącej gdzieś pod falami łodzi — gdyby jakiś człowiek odważył się zapuścić na Zielone Morze!

Jego ciężki zapach wciskał się do lasu, przewyciężając balsamiczną woń cedrów. Ociekający wilgocią las, wchłaniał zgniły, mdły odór śmierci i groźby zagłady nadciągający z morza traw. Konie uchwyciły go w nozdrza i uderzały nerwowo kopytami, potrząsając łbami i parsając. Mężczyźni wciągali powietrze szerokimi, płaskimi nosami, spoglądając niepewnie na swych towarzyszy, szukając u nich wsparcia i potajemnie dotykając amuletu, symbolu Nagara, boga i władcy demonów wiatru. Jednak szarża posuwała się nadal do przodu i wysokie, nosowe okrzyki wzniosły się nad strzeliste drzewa.

— Teraz już mamy barbarzyńcę!

— Jeśli nie dosięgną go nasze strzały, duchy i diabły stepu pomszczą naszą krew.

— Tak! Demony z traw zdławią barbarzyńcę!

W połowie drogi pomiędzy śmiercią od stalowych grotów strzał, a zapachami śmierci, którymi oddychały diabelskie trawy, Cymmeryjczyk przykucnął za gęstymi, ciernistymi krzakami i zaklął. Klął we wszystkich znanych mu językach, potem wyrzucał klątwy we własnym języku.

— Przeklęte małpizony — warknął w stronę małego, zasuszonego człowieczka skulonego za swoimi plecami. — Czy twoje małpie ręce są za słabe, by złamać strzałę. Jeśli tak, to przeciągnij ją przez ramię wraz z piórami. Ech! Do diabła z przeklętymi, zdradzieckimi, khitajskimi kundlami.

Podniósł sztywno ramię, z szerokiego jak udo konia bicepsu, wystawał bełt khitajskiej strzały wraz z połową drzewca. Ubrany był tylko w skórzane, obcisłe spodnie. Na brązowej piersi i ramionach, jak płomyki w promieniach słońca połyskiwały czarne jak smoła włosy — każdy w swoistym wyzwaniu dla wiszącej w powietrzu śmierci. Ustawił się mocno na nogach, by ułatwić towarzyszowi wyciągnięcie strzały, a jego mięśnie wyglądały teraz jak nabrzmiałe korzenie starego dębu, przedzierające się przez leśne poszycie. Ręce mniejszego mężczyzny zdrząły, gdy ujął drzewce. Tętent kopyt szarży khitajskich jeźdźców rozbrzmiewał już z odległości niemal strzału z łuku. Bębny płonęły szaleństwem.

— Nie, nie ma po co wyciągać strzały Conanie — wymamrotał. — My już nie żyjemy. Ci Khitajczycy, których nazywałeś braćmi krwi siedzą już nam na karku.

— Klątwa Agrymaha na tych zdradzieckich psów. Przyszedłem do nich z otwartymi rękami, jak przyjaciel, a oni przywitali mnie świstem cięciw!

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— A przed nami — wzdrygnął się Bourtai — są duchy diabelskich traw.

— Ee — mruknął czarnowłosy gigant wrywając ramię z drżących rąk swego towarzysza.

— Wy czarnoksiężnicy strasznie obawiacie się tej magii, którą tak zawzięcie się paracie — jego głos zagrzmiął z głębi szerokiej piersi. Zacisnął palce na bełcie strzały.

— Ja mam swoją własną magię, miecza i łuku, lecz czy się jej boję? Ha, nie! — strzała wyszła z ciała i połała się obficie krew, lecz utkwione w Bourtai oczy nawet nie mrugnęły. — Te psy także zajmują się jakimiś diabelskimi sztuczkami i tak się boją magii, że z pewnością nie pójdą za mną w to morze traw!

Czarnoksiężnik zadrżał na te słowa i odsunął się od giganta na ile pozwalała mu osłona krzewów. Całe jego brudne ubranie było w strzępach, sklejone potem włosy przylegały do małej czaszki.

— Nie! — zaprotestował szybko. — Uciekłem z tobą z Turgho! Nie bałem się pomagać ci w walce z innymi czarnoksiężnikami, ale nie zapuszczę się w te diabelskie trawy.

— Zatem giń tutaj! — zaśmiał się Conan. — Dla mnie nie ma wielkiej różnicy, czy będzie to żelazo Khitajczyków, czy czary diabła. Walczyłem już z kilkoma demonami i widzisz mnie tutaj. Wolę raczej stanąć naprzeciw diabła niż na drodze khitajskiej szarzy. Masz, to mój sztylet Bourtai.

Bourtai ujął sztylet w kościste, trzęsące się dłonie.

— Lepiej umrzeć tu, łagodnie od strzały — wyjąkał. — Nawet ścieżki zwierząt zawracają znad krawędzi diabelskich traw.

— Skoro tak — odparł Cymmeryjczyk wrywając garść trawy i przykładając ją sobie do rany — to idź mały zwierzaku i znajdź sobie jakąś głęboką norę. — Na jego twarzy pojawił się wilczy uśmiech. — Co do mnie, to wolę wypruć flaki z kilku tych żółtych diabłów dla wyostrzenia mej klingi, a potem spróbuję szczęścia z tymi trawiastymi diabłami. Odejdź Bourtai i poszukaj zgody z duchami Zielonego Morza. Może przyjmą cię z otwartymi ramionami, jak bratnią, złą duszę ty mała, pokręcona, bezduszna istoto.

Barbarzyńca odrzucił do tyłu swą czarną grzywę i wyskoczył z ukrycia ciernistych zarośli, śmiejąc się chrapliwym, pozbawionym radości śmiechem.

— Hej! Wy synowie beznosych matek! — wykrzyknął w stronę prześladowców — gnijąca bando śmieciarzy! Kupo łajna bezgarbego wielbłąda! Chodźcie i poznajcie swoją śmierć, która nadejdzie z rąk lepszego człowieka od was! Strzały Conana są spragnione waszej posoki!

Podniósł swój ogromny, zrobiony z drewna, rogu i ścięgien łuk, naciągając cięciwę z trzewi własnoręcznie pokonanego tygrysa. Broń była dwa razy większa od łuków Khitajczyków, lepiej dopasowana do siły szerokich ramion Cymmeryjczyka. Mięśnie jego grzbietu napięły się jak postronki, kiedy pierwsza strzała ze świstem wystrzeliła w powietrze. Jeden z jeźdźców zawył dziko i skrył się za końskim karkiem, jednak Conan wypuszczając strzałę przewidział ten manewr. Bełt przeszedł przez gardło i kość szyi konia, na zewnątrz pozostało tylko pióro, jednak żelazny grot dotarł do piersi jeźdźcy i śmiertelny okrzyk zła się w jedno z przeraźliwym kwikiem wierzchowca, wznosząc się w stronę ostrego, porannego słońca.

— Wyj, żółty psie! — zagrzmiął śmiejąc się okrutnie barbarzyńca. — Twój koń i tak ma o wiele ładniejszy głos!

Strzały śmigały w odstępach krótszych, niż bicie serca, a drwiący śmiech Conana górował nad tętentem kopyt. W odpowiedzi zasypał go deszcz lekkich, khitajskich strzał, lecz nie stał w jednym miejscu dłużej, niż potrzeba, by szarpnąć cięciwę. Był tańczącym celem, żywą, odlaną z brązu statuą, zabijającą, śmiejącą się i zabijającą ponownie.

Na jednej strunie wygrywał requiem, któremu wtórowały okrzyki jeźdźców. Jeszcze cztery konie pobiegły w dal bez jeźdźców, po czym świst ich strzał zamilkł nagle, jak ucięty nożem. Cymmeryjczyk obrócił się w miejscu zwinnie jak kot, by poznać przyczynę przerwy w ostrzale.

Tuż za nim szarżowało dziko dwóch Khitajczyków, mierząc długimi włóczniami w jego szeroką pierś! Nie miał czasu, by naciągnąć kolejną strzałę. Wyskakując wysoko w powietrze odrzucił łuk i wy dobył miecz, który zaśpiewał, zanim jeszcze Conan opadł na ziemię. Za odbijającym blask słońca ostrzem, widział kopyta stojących na tylnych nogach koni i dwie włócznie nadal wymierzone w jego pierś. Zza ich karków błyszcząły dziko oczy Khitajczyków. Zęby Conana zaświeciły bielą w otwartych ustach, a jego miecz ze świstem zatańczył mu w dłoniach i uderzył w jednej chwili. Ostrze przeszło przez drewno, zataczając w powietrzu błyszczący łuk, a pozbawione grotu drzewce nieszkodliwie minęło ramię barbarzyńcy. Jego lewa dłoń zacisnęła się na drugiej włóczni, którą błyskawicznie odepchnął w bok, a miecz sięgał już dalej. Jego długie ostrze musnęło wysuniętą do przodu rękę — rękę,

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

która już nie miała dłoni. Jeździec zawył i uciekł, a Conan przeskoczył przez kolczasty krzew, podczas gdy drugi wojownik zawrócił konia i sięgnął po swój krótki miecz.

— Nie, zostaw go w pochwie, psie! — sztychł barbarzyńca. — I tak ci się na nic nie przyda!

Jego lewa dłoń zamknęła się na grzywie konia, a prawa z wyciągniętym przed nim mieczem zbliżała się do jeźdźcy, podczas gdy Cymmeryjczyk wskakiwał na siodło. Miecz Khitajczyka wyszedł w końcu z pochwy, jednak nie zdążył na czas — z gardła wydobył mu się tylko zduszony, przerażony pisk. Gdy próbował wnieść ramię z mieczem do uderzenia, ostrze Cymmeryjczyka dosięgnęło jego szyi, a impet jego skoku wysadził Khitajczyka z siodła. Krzyk śmierci zamarł w połowie, nim skośnooki uderzył o ziemię, a jego głowa odtoczyła się od ciała po szarej ziemi.

Conan zakrzyknął i skierował swą śmiercionośną broń ku dołowi, by nadziać na ostrze odciętą głowę i cisnąć ją w twarze szarżujących Khitajczyków.

Po chwili pochylił się, zeskoczył z konia i pognał go w stronę diabelskich traw. W sekundę później stał już z łukiem w ręku i jego strzały zagrały swą pieśń. Chronione grubą skórą nogi olbrzyma, miażdżyły cierniste zarośla. Rozglądał się bacznie na wszystkie strony, rzucając przy tym długimi, czarnymi włosami i krzyczał, hojnie rozdając Khitajczykom śmierć. Krew ciekąca po jego ramieniu i boku zdawała się absurdem, jakby ten walczący człowiek z brązu i płomienia, był czymś więcej niż człowiekiem, jakby sama śmierć zmuszona była skierować swój miecz gdzieś indziej, daleko od jego stalowego ciała.

Conan wzniosł wysoko dłoń w geście pozdrowienia, a jego usta wykrzywił drwiący uśmiech. — Witajcie — zakrzyknął. — Witajcie i żegnajcie! Wiele razy krzyczał tak do czekającego tłumu i do drżących przeciwników na wielu arenach świata, daleko od tych barbarzyńskich krain.

— Bądź pozdrowiony i żegnaj! — odpowiadał tłum na arenach.

Ale było to pozdrowienie dla Conana, a pożegnanie dla wielu, wielu innych.

Jak huragan przerwał khitajską szarżę i ruszył w stronę wątpliwego bezpieczeństwa, zaczarowanego morza traw. Przed sobą widział małego Bourtai, podskakującego w swej desperackiej ucieczce, jego odwrócona twarz była stężała ze zgrozy. Zatrzymując się, by chwycić czarnoksiężnika za kołnierz okrywających go łachmanów, spojrział poniżej, gdzie zastążył w niemym oczekiwaniu, soczystozielone szeregi diabelskich traw, machając tylko czasem zachęcająco swymi wątlymi, zwodniczymi ramionami. Przez słono-słodką krew swego ciała, Conan wyczuwał materialne macki ciężkiego zapachu traw, sięgających w jego stronę i próbujących go omotać, a wyzwanie które rzucił, „Witajcie i żegnajcie” skierowane było po części do tajemniczości i czającej się groźby tego miejsca.

Lekko podrzucił małego Bourtai swą potężną dłoń, przerzucił go przez siodło i zaśmiał się potężnym głosem, słysząc zawodzący, wysoki głos czarnoksiężnika śpiewnie wykrzykującego litanię bogów i diabłów, wzywającego raz straszliwego Agrymaha, raz jego okrutne ołtarze, a w końcu nawet tego nowego boga, którego czcił Conan — Croma. Śmiejąc się, Cymmeryjczyk usłyszał głuchy odgłos strzały wchodzącej w ciało i poczuł stężenie mięśni wierzchowca, gdy grot dotarł do jakiegoś żywotnego organu. Wyskoczył z siodła i biegł od momentu zetknięcia z ziemią, ciągnąc za sobą Bourtai tak, że ten ledwo dotykał jej nogami.

— No, mocarny woju! — ryknął Conan — pokryj ziemię swoją magią, musisz pokonać te dziesięć metrów, które nam zostały! Módl się teraz do diabłów z Zielonego Morza! Przyszła na to pora!

Oczy Conana były chłodne i ostrożne, uważnie lustrujące gąszcz traw. Ciągłe doganiał ich przeciągły świst strzał, znikających wśród zielonych łądyg. Jakiś pióropusz traw, uderzony żelaznym grotem podskoczył, po czym zwisł bezwładnie. Trawy zaszeleściły i zachwiały się jak żywa, cierpiąca istota.

Conan poczuł nagle piekący ból pod prawą łopatką. Strzała nie weszła na szczęście głęboko. Potknął się tylko i zaklął soczyście. Złapał obiema rękoma małego czarnoksiężnika i silnym ruchem rzucił nim w stronę traw. Bourtai z przeraźliwym okrzykiem chwycił rękoma powietrze, a po chwili zniknął w zielonej toni. Jeszcze jeden krok i Conan także odbił się mocno od ziemi i skoczył za nim. Ledwo musnął czubki rosnących na brzegu traw, przypominające groty włócznie. W locie spojrzął w dal, lecz nie dostrzegł niczego poza falującymi, wijącymi się trawami i niezliczonymi płomieniami kwiatów. Potem przypominające liny pnącza oplotły jego kostki i pociągnęły go w dół, podczas gdy ostre krawędzie traw cięły jego ciało, jak miniaturowe miecze. Jego długie buty pograżyły się głęboko w zimnym, grząskim gruncie i musiał podeprzeć się dłońmi, by nie upaść. Jego dłonie zapadły się w ziemię po nadgarstki. Palce zacisnęły się na zimnych, tnących

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

korzeniach, a w nozdrza uderzył go ostry odór rozkładu. Wstał przeklinając i strząsając błoto z dłoni. Skrzywił się czując ucisk żelaznego grotu pod łopatką, lecz ruszył w stronę miejsca, gdzie upadł Bourtai. Czarnoksiężnik klęczał na ziemi, opierając o nią głowę przykrytą rękami. — Na nogi, Bourtai — mruknął Conan, jednak bez zwykłej szorstkości. — Te twoje diabły z traw dopadną cię tutaj tak samo, jak w głębi tych cholernych traw, a przynajmniej nie sięgną nas tam strzały Khitajczyków.

Podniósł czarnoksiężnika i chwycił ruszył przed siebie, torując sobie drogę wśród gęstwiny ostrych, jak brzytwy traw. Obok niego wbiła się w ziemię włócznia, a deszcz strzał przedzierających się przez gąszcz traw, brzmiał jak syk tysięcy węży, jednak nie słychać było stukotu szarżujących koni. Conan ponuro sunął przed siebie, stawiając stopy na kępach traw, które dawały pewniejsze oparcie. Wnętrznosci przewracały mu się od potwornego smrodu zgnilizny. Bourtai podążał za nim krok w krok. Ponad ich głowami poranny wiatr wprowadzał trochę ruchu między dumne pióropusze, które chwiały się leniwie z suchym, metalicznym szeptem. Ich stopy grzęznąć w bagnie wydawały mokre, ssące odgłosy.

— Chodź, waleczny lwie — poganiał Conan czarnoksiężnika. — Chodź, książę czarnoksiężników. Wezwałeś dość bogów, by strzegli nas podczas dziesięciu tysięcy przepraw przez Zielone Morze! Teraz wymyśl jeszcze jakiś czar na tych Khitajczyków, żeby nie wpadli na pomysł podpalenia traw. No, masz dość czasu i odwagi, żeby upleść jakieś zaklęcie, prawda, tygrysie w ludzkiej skórze?

Głowa czarnoksiężnika podniosła się i utkwiała w Conanie jadowite spojrzenie. Sztylet w jego dłoni skierowany był w stronę brzucha jego towarzysza. Nie powiedział ani słowa, jednak unosząca się górna warga odsłoniła zaciśnięte kurczowo żółte zęby. Cymmeryjczyk odsunął się o krok opierając dłoń na rękojeści miecza objijającego się o jego biodro i uśmiechnął się ostrzegawczo, błyskając bielą zębów z pomiędzy szeroko otwartych ust. — Więc moja małpka pokazuje ząbki? — spytał miękkiem głosem. — Możliwe, że ocaliłem twój nic nie warty brudny kark, po to tylko, by nakarmić nim swoje ostrze! — Uważaj na swój własny kark — wycedził Bourtai. — Możesz obrzucać mnie obelgami, barbarzyńco! Jest taka małpa, która ma kły węża.

Przez dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy i żaden z nich nawet nie mrugnął. W końcu Bourtai skinął głową, jakby był zadowolony z tego, co zobaczył i odwrócił się plecami do olbrzyma szukając czegoś niezbędnego w przepastnych kieszeniach swej zniszczonej szaty. Barbarzyńca uśmiechnął się jeszcze szerzej, nawet w jego oczach zaświeciły w dole iskierki, a także pobłażanie. Teraz Bourtai znowu był sobą.

Conan bacznie rozglądał się na wszystkie strony, lecz ciągle widział tylko zielone, napierające ściany. Śliskie trawy niechętnie rozkładały się przed nim i małym czarnoksiężnikiem, by zamknąć się, utwierdzając ich w przekonaniu, że nie ma odwrotu. Zaprawdę, siedlisko diabłów! Zaciskając zęby zatrzymał się, by wyrwać utrudniającą poruszanie się w gąszczu, strzałę. Lewe ramię zaczynało już drętwieć i coraz mocniej odczuwał lejący się z nieba i ścielący po ziemi żar. Wokół ich ciał krążyły tysiące dokuczliwych owadów, atakując oczy i siadając na nie zakrzepłych jeszcze ranach. Olbrzym przeklinając obłożył krwawiące miejsca błotem i wytarł ręce o trawę, zanim oczyścił twarz z potu. Słońce było już wysoko. Strumienie gorąca uderzały pionowo w dół, prosto w ich głowy.

Zaklęcia Bourtai były ledwo słyszalne wśród tajemniczego szepotu traw, Conan przestał już zdawać sobie z nich sprawę, zajęty wsłuchiwaniami się w jakiegokolwiek oznaki niebezpieczeństwa. Czego on, nad którym czuwał Crom, miał się obawiać od jakichś diabłów? Czyż nie zwyciężył wszystkich czarnoksiężników z Turghol — oczywiście przy pomocy swego ostrego miecza i równie ostrego umysłu — wszystkich czarnoksiężników z Turghol, z wyjątkiem jednego?

Przez chwilę z tęsknotą pomyślał o odległym Turghol, o złotych, skapanych w słońcu strzelistych wieżach. Był tam panem, i gdyby wziął za żonę księżniczkę... Chciwa suka! Udało mu się jednak przed nią uciec. Oskubała go swoją magią ze złota i klejnotów, nawet z ubrania, a jej jeźdźcy nekali go, dopóki nie opuścił brzegów jasnego, błękitnego jeziora Ho. Nie było powrotu, nie do Turghol z tą jędzą i jej czarami, i nie do khitajskich dzikusów, którzy kiedyś złamali z nim strzałę na znak braterstwa krwi, a potem rzucili się na niego jak sfera wilków. Nie do Kambuji, gdzie wykradł ulubioną konkubinę Smoka — Imperatora. W wielu państwach dla Conana było niezdrowe powietrze.

Za cicho. Nie było przed nim innej drogi, niż naprzód. Ale jak inaczej powinien żyć żołnierz i zdobywca? Tak było dobrze. Kiedyś znajdzie gdzieś miasto i stworzy własne imperium w jakimś dzikim kraju. Będą tam bogactwa i księżniczki, nie takie jędze, jak ta z Turghol.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— Pośpiesz się z tymi czarami Bourtai — niecierpliwił się. — Diabły z traw czekają na nas, a Conan nie rozczaruje nawet demona, jeśli będzie chciał się ze mną zmierzyć.
— Jacyś inni czarnoksiężnicy zakłócają moje czary — odparł zmęczonym głosem Bourtai.
— Czuję ich w powietrzu.
— To ciebie czuć koźlą skórą czarnoksiężnika — odparł Conan — do diabła z tymi twoimi zabobonami. Khitajczycy mogli nas spalić już dawno temu Och! Czy to jest twoje zaklęcie, Bourtai?

Gdy to mówił nad wierzchołkami traw pojawiła się chmura ciemności, która opadła na jego głowę. Przez suchą, czarną mgłę głos czarnoksiężnika był silniejszy i wyzywający:

— Kryjcie się, Khitajczycy — krzychał. — Uciekajcie przed duchami diabelskich traw. Uciekajcie, nim dopadnie was Wielki Niedźwiedź z Niebios!

Barbarzyńca zaklął, a jego dłoń mocniej zacisnęła się na nożu, w drugiej zaś pojawił się ze świstem miecz. Z odległego brzegu, gdzie czaili się Khitajczycy uniosła się ogromna, ciemna ściana, a po chwili dał się słyszeć oszalały tętent kopyt, oddalający się po zboczach na wschód w stronę Ruo-gen. Bourtai w ciemności obok olbrzyma.

— Mogłem ci szeroko otworzyć brzuch, ty wielkoludzie — wyszeptał. — Będziesz się jeszcze śmiał z moich zabobonów?

— Uważaj na ostrze mojego miecza — odparł w ciemności barbarzyńca. — On ma swoje oczy, a dzisiaj nie pił zbyt dużo. Podnieś tę przeklętą mgłę, bo inaczej diabły nas zaskoczą. Jego ręka wystrzeliła w ciemność i uchwyciła cienką szyję czarnoksiężnika. Silnym ruchem przyciągnął małego człowieczka do siebie.

— Nie, Conanie — jęknął Bourtai — moje zaklęcia są zbyt silne, by przerwać je w jednej chwili. Wracajmy na przyjazne wzgórza. Khitajczycy nie wrócą, Niedźwiedź z Niebios będzie ich ścigał aż do samego Ruo-gen. A te trawy wcale mi się nie podobają. Mówię ci, czuję tu diabły!

Wąchałem już nieraz milsze zapachy — przyznał wesoło Conan — ale między wzgórzami nie będziemy bezpieczni. Khitajczycy kiedyś powrócą, a za nimi jeszcze jeźdźcy tej złotowłosej czarownicy z Turghol. Potem jeszcze czarnoksiężnicy z Kusanu i diabelnie ostre dzidy Kambujańczyków. Nie ma wyboru, Bourtai, naprzód, zanim gorączka strawi moje ciało, a z ran wycieknie ostatnia kropla krwi.

— Ale duchy diabelskich traw, panie! — mały czarnoksiężnik szepnął jeszcze ciszej. — Są blisko! Wyczuwam to w kościach!

Cymmeryjczyk wydał niski pomruk, lecz nic nie powiedział. Włosy na karku czarnoksiężnika stały jak u wściekłego wilka i rzeczywiście było coś w powietrzu. Eee, to tylko wyziewy bagna.

— No to w drogę do twego bezpiecznego brzegu małpi pysku — mruknął — przed siebie, a co do diabłów, jeszcze nie widziałem takiego gardła, z którym nie poradziłaby sobie dobra stal mojego miecza!

Conan dał długiego kroka, potem następnego, aż w końcu Bourtai westchnął i podbiegł do jego boku, i szedł jak skazaniec, drżąc, skacząc z kępy na kępę, coraz głębiej w Zielone Morze. Między szeleszczące metalicznie trawy, gdzie sama ziemia otwierała swe czarne usta, by pochwycić nogę nieostrożnego wędrowca. Po pewnym czasie magiczna mgła nad ich głowami zaczęła rzędnąć, przepuszczając coraz więcej promieni słońca. Conan odczuwał coraz bardziej ból obu zranionych miejsc, jednak jego usta tworzyły upartą linię i tylko zmarszczki na czole mogły ujawnić ogarniające go i zmęczenie. Bourtai podążał obok niego lub wyprzedzał go o krok i poruszał się bokiem jak krab, spoglądając na groźne oblicze olbrzyma.

— Panie, mówią, że Zielone Morze rozciąga się do krańców świata. Mówią, że mieszkają tu nieopisane monstra, tylko czekając, by pożreć nieostrożnych wędrowców, którzy się tu zapuszczają. Niedźwiedź z Niebios i Wąż, który podtrzymuje świat, są tu gdzieś i czekają na nas! Przed nami tylko śmierć panie, nawet jeśli ujdziemy przed diabłami traw. Może jednak powinniśmy zawrócić panie?

— Byłem we wszystkich tych miejscach, o których ludzie mówili, że tam znajduje się koniec świata i zawsze kraniec świata był gdzieś dalej. Zawrócić nie mamy dokąd. Musimy jak najszybciej przedostać się przez ten łańcuch górski, widoczny po prawej stronie i droga na zachód stanie przed nami otworem.

— Ty wiesz lepiej panie — pokornie odrzekł Bourtai z dziwnym błyskiem w oku. —

Jednak w Zielonym Morzu są duchy diabelskich traw! Przygotuję jednak jakiś czar, albo dwa — wymamrotał czarnoksiężnik.

Odbiegł o rzut oszczepem do przodu ze sztyletem w ręku. W tej samej chwili Conan ujrzał go wyciągniętego jak struna, z wyrzuconymi do góry rękami, jakby zmagał się z czymś

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia niewidocznym. Nie! Bourtai naprawdę walczył z czymś niewidocznym, powoli unosił się w powietrze i nie wydawał żadnego dźwięku. Obie jego dłonie kurczowo szarpały niewidzialną pętlę, zaciskającą się na jego gardle.

ROZDZIAŁ II ZDRADA BOURTAI

Ryk wściekłości, który wybuchnął z gardła Cymmeryjczyka, był jak furia rannego tygrysa. Z cichym zgrzytem wyszarpnął miecz z pochwy i rzucił się w morze traw. Jeśli gdzieś w jego umyśle był kiedyś strach przed tymi diabelskimi trawami, to teraz przemienił się we wściekłość. Jego zęby błyskały niebezpiecznym blaskiem w otwartych ustach. Na dotarcie do miejsca, gdzie walczył zwisając nad grząską ziemią Bourtai, Conan potrzebował trzech długich skoków, jednak nie zatrzymał się przy małym czarnoksiężniku. Skacząc obok niego oplótł jego pomarszczone, bezwładne już niemal ciało swą lewą ręką, po czym zrobił jeszcze dwa kroki, zanim rzucił czarnoksiężnika na ziemię i odwrócił się stając w pozycji obronnej do oczekiwanego niebezpieczeństwa. Wokół niego nie poruszało się nic, oprócz syczących i szeleszczących na wietrze traw. Spojrzał uważniej na Bourtai. Twarz czarnoksiężnika była sina, a oczy i język wychodziły na wierzch, jednak nie było widać żadnej przyczyny, nic nie trzymało go za gardło!

— Cromie — szepnął Conan. — To zaprawdę potężne diabły!

Pochylił się i całą siłą swej dłoni nacisnął pierś leżącego, zwolnił nacisk i powtórzył to jeszcze raz. Głowa Bourtai uniosła się na chwilę, łapczywie chwycił powietrze swymi suchymi ustami.

— Ha! — zakrzyknął Cymmeryjczyk. Wyprostował się, by spojrzeć na otaczające ich zwiewne i delikatne, zdawałoby się, zielone ściany. Trzcina za trzcina i między trzcinaми, wąskie korytarze, które zamykały się bezpowrotnie, gdy już prawie się je widziało. Ruch, ruch był wszędzie! Barbarzyńca z chrapliwym okrzykiem skoczył naprzód. Jego miecz ciął i rozrzucał rośliny, jakby były one żyjącymi, ludzkimi wrogami. Olbrzym odskoczył i ciął w innym miejscu. Z gęstej kępy uniosła się niewielka chmurka mgły, szybując w stronę jego twarzy, lecz Conan poruszał się zbyt szybko, by odczuć coś więcej, niż delikatną wilgoć muskającą jego ramię. Po chwili stwierdził, że nie może wydać z siebie żadnego dźwięku z powodu szybko powiększającej się opuchlizny gardła! Odkaslnął mocno, lecz nie zaprzestał walki.

Rzucił się na kępę trzcin, a jego miecz wgryzł się w nie, przez nie i nic nie pozostało w tym miejscu. Cymmeryjczyk kładł trawy w pokosach, jak świeżo ścięte zboże i wycinał coraz szersze koło, w którego środku leżał drżący Bourtai. Następna chmura mgły, Conan skoczył przez nią wznosząc wyzywający okrzyk, i niczym jego echo, gdzieś z zielonej gęstwy przed nimi, odezwał się zawodzący jęk. Był to cienki, przeszywający dźwięk, wdzierający się pod czaszkę. Przenikliwy jęk powoli zanikał w powietrzu, jednak już po kilku sekundach był nie do wytrzymania. Nawet, gdy się skończył, bębniaki czarnowłosego olbrzyma drżały i bolały. Przez uderzenie serca, barbarzyńca stał jak skamieniały, czując lodowate dotknięcie strachu wzdłuż kręgosłupa. Właśnie oto słyszał głos diabłów z traw! Z klątwą na ustach rzucił się w stronę, z której dobiegał ten nieludzki krzyk i ponownie nie znalazł niczego. Pomyślał, że mógł to być podstęp, by rozdzielić go ze słabym czarnoksiężnikiem, odwrócił się więc na pięcie i szybko pobiegł z powrotem.

Jednak Bourtai wciąż leżał tam, gdzie przedtem, poruszając się słabo. Olbrzym poszerzył jeszcze koło bezpieczeństwa wokół nich, tnąc trawy, dopóki jego boki nie spłynęły potem, a całe ciało nie zaczęło błyszczeć w słońcu.

Nie było to szaleństwo, czy bezmyślna furia. Jeśli gdzieś w pobliżu byli jacyś wrogowie, to chciał ich widzieć jasno przed swymi błyszczącymi szaleństwem oczyma, by sprawdzić, ile warty jest łuk i stal Conana! Jeśli to były diabły, no cóż, one też muszą mieć jakiś kształt, jakąś postać, do której człowiek może się dobrać.

Wreszcie Cymmeryjczyk przystanął na środku polany, którą stworzył. Jego miecz ociekał sokami roślin, a on sam oddychał głęboko przez rozszerzone nozdrza. Oczy przemierzały skraj polany w oczekiwaniu na ślad niebezpieczeństwa. W końcu odezwał się do Bourtai:

— Co ci zrobili, mały? — spytał szorstko. — Kto cię uderzył i dusił bez żadnej liny?

— Nic, panie — wyszeptał czarnoksiężnik ochryplym szeptem. — Nie potrafię powiedzieć. Coś, jak chmura mgły, uderzyło mnie w twarz. To... miało zapach. A potem nie mogłem oddychać! Czary panie, zaklęcia duchów Zielonego Morza.

— Ach! Do diabła z nimi! Niech staną naprzeciw do walki! — Cymmeryjczyk podniósł nad głowę swe błyszczące w słońcu ostrze, a jego ramię zagrało poruszającymi się pod skórą

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia stalowymi mięśniami. — Wyjdźcie, śmierzące diabły! Rzućcie na mnie tą swoją duszącą mgłę!

Jego głos poszybował w pustą przestrzeń. Nie było żadnego odzewu, nawet tego przeciągłego, przenikliwego jęku, chociaż długo na niego czekał. Wreszcie jego ramię z mieczem opadło bezwładnie, a w oczach pojawił się jakiś posepny upór.

— Czy możesz iść przyjacielu? — zapytał stłumionym głosem.

— Poczekajmy tutaj jeszcze chwilę — poprosił Bourtai.

— W takim razie będę cię niósł — odparł Conan wciągając powietrze szeroko rozwartymi nozdrzami. — Niewielki to ciężar. — Potem jego głos stał się głębszy i bardziej stanowczy. — Są tu diabły, które nie chcą wystąpić do walki ze mną. Mus to mus, sam ich poszukam! Bourtai zaczął lamentować, lecz barbarzyńca szybkim ruchem ramienia zarzucił go sobie na plecy i ruszył przed siebie.

— No — rzucił posepnie. — Teraz ty trzymasz straż. Jeśli jeszcze jakaś chmura mgły podniesie głowę... to spluń na nią.

Ręka czarnoksiężnika wplątana we włosy barbarzyńcy zadrżała.

— Przed nami jest jakaś polana, panie — szepnął — polanka, na której może leżeć obok siebie dwóch mężczyzn i wydaje mi się, że tam leży dwóch mężczyzn, gdyż widzę biały czubek khitajskiego hełmu i drugi, żółto-czarny, z tygryziej skóry.

— A myśląłem, że Khitajczycy boją się strasznie diabłów, które tu chodzą stadami — zauważył Conan stawiając czarnoksiężnika na ziemi.

— Myślę, panie, że dobrze robią — szepnął Bourtai.

— Myślę, że ten wraz ze swym towarzyszem także lepiej by zrobił, gdyby się ich bał. Z góry wyglądali obaj, jakby byli martwi!

Cymmeryjczyk skamieniał wsłuchując się przez chwilę w bicie swego serca i monotonne zawodzenie wiatru. Potem poczołgał się w stronę miejsca wskazanego przez czarnoksiężnika. Ostrożnie, bezgłośnie podnosił się z grząskiego gruntu i żadna trzcina nie trzasnęła pod jego stopą. Jak wąż przesuwiał się między źdźbłami, a przejściu tak wielkiego ciała nie towarzyszył najmniejszy szmer. Już po chwili stał na skraju polanki, którą wypatrzył Bourtai. Stał nieruchomo przez długą chwilę, oprócz bicia serca czując tylko przechodzące od stóp do głów dreszcze, dopóki nie dotarł do niego mały czarnoksiężnik i obaj wpatrywali się w niesamowitą scenę. Było tak, jak mówił Bourtai. Wśród traw leżał Khitajczyk, a jego towarzysz odziany był w całą skórę tygrysa. To był tygrys, a jego pysk, tak samo, jak twarz człowieka wykrzywiony był w śmiertelnym grymasie. Wysunięty język i wytrzeszczone oczy świadczyły o tym, że obaj zostali uduszeni. Wokół ich gardeł owinięto po jednym, cienkim źdźbło trawy. Tylko jedna trawka, jednak waleczny wojownik i jeszcze groźniejszy tygrys leżeli martwi!

Podczas gdy Conan przyglądał się temu widokowi, trawy zdawały się przybliżyć. Zamarły nawet najłżejsze podmuchy wiatru. Nie słyhać było żadnego dźwięku, oprócz chrapliwego oddechu wojownika i cichej, monotonnej inkantacji czarnoksiężnika. W nieruchomym powietrzu czyhało niebezpieczeństwo, skradało się za ich plecami. Zarówno człowiek, jak zwierzę byli martwi od niedawna, a wojownik był jednym z tych, którzy walczyli z Conanem, nim zagłębił się między trawy. Demony diabelskich traw zgładziły ich i przyniosły aż tu, jako ostrzeżenie lub może pułapkę. Cymmeryjczyk uniósł głowę i wdychał powietrze szeroko rozwartymi nozdrzami. Czuł jednak tylko odór bagna. Wzruszył ramionami i zmusił się do szyderczego śmiechu:

— Należałoby podziękować diabłom z traw — parsknął — oto kurtka, jakiej potrzebuję, a reszta ubrania będzie pasowała na ciebie, Bourtai. Co do tygrysa, to jego skórą można się okryć, a z jelit zrobię sobie cięciwę do łuku. Wstawaj Bourtai, podnieś te swoje czarnoksiężskie kości i złoż należne podziękowania za ten dar od demonów traw dla Conana, przed którymi kłaniają się demony wiatru.

Mimo swych butnych słów powoli i ostrożnie wszedł w okrąg polanki, na której leżały zwłoki dwóch niedawno jeszcze żywych stworzeń, w których jak się zdawało, pojedyncze źdźbła traw zdusiły życie.

— Panie — szepnął Bourtai — to jest ich ostrzeżenie. Jeśli teraz zawrócimy, puszcza nas wolno!

— Jeśli o to chodzi — zaśmiał się prawie wesoło barbarzyńca — to mamy teraz śmierć zarówno przed sobą, jak i za, a przynajmniej ta przed nami będzie czymś nowym! Musi tu być coś bardzo cennego, skoro diabły z traw chronią swego terytorium tak zawzięcie, a przecież nie przepuścimy chyba okazji niedużego obciążenia sobie kieszeni, na przykład złotem. No, zbieraj swe stare kości i odwagę, mój złodziejski czarnoksiężniku i chodźmy po nasz udział w skarbach demonów z traw.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Conan pochylił się nad trupem tygrysa, a Bourtai zrazu starał się zakrzyczeć łęki swym piskliwym, wiecznie nieszczęśliwym głosem, a później przykucnął przy martwym Khitajczyku i zaczął pozbawiać go ubrania i broni. Strumienie gorąca, którymi zalewało ich znajdujące się w zenicie słońce, wysuszały nawet pot na ich skórkach. Zapach krwi zwierzęcia przyciągnął w to miejsce chmury much i mrówek, spomiędzy trzciny wyczołgał się opancerzony krab, a na niebie pojawiło się stado sępów, zataczających coraz niżej szerokie koła, nad oczekiwanym posiłkiem.

Cymmeryjczyk uparcie zajmował się swoją pracą, podczas gdy kapiący z ocienionego czoła pot przerwał krzaczastą tamę jego brwi i zalewał mu oczy. Jego ręce po łokcie umazane były we krwi zwierzęcia. Po dłuższym czasie skóra tygrysa wisiała na szemrzących trzcinach susząc się na słońcu, a barbarzyńca czyścił ramiona ostrym jak brzytwa sztyletem. Krople potu ciekące po jego czole i policzkach wywoływały na jego twarzy groźny grymas. Zaczął ciężko oddychać przez nos. Bourtai przyglądał mu się swymi nieruchomymi oczyma, podchodząc bliżej do zmęczonego olbrzyma.

— Demony wiatru ujawniły ci ukrytą rzecz, panie — jego głos wskazywał na wątpliwości czarnoksiężnika co do optymizmu Conana. — Czy nie wskazały ci drogi do miejsca, gdzie będziemy bezpieczni?

— Jak to, czarnoksiężniku? Spokojnie jest na końcu świata! — parsknął śmiechem Conan. Chwycił w ręce Khitajską włócznię i przymocował do niej prostopadle dwie strzały — z których usunął wcześniej groty — używając do tego tygrysyich jelit. Bourtai odwrócił się nie wstając z kucek i wbijając kciuki w bagno.

— A czy będzie tam... bogactwo, na końcu świata, panie?

— W tej sprawie poradź się swoich bożków Małpia Mordo.

— Conan groźnie zmarszczył brwi, jednak w jego oczach czaił się śmiech. — Moi bogowie powiedzieli mi to, czego potrzeba, a ty dowiesz się o tym, kiedy ja będę chciał. A teraz... — przerwał na chwilę, a jego oczy patrzyły prosto w opadającą już, czerwoną kulę słońca — dwie godziny do zmierzchu. Tyle mogę ci powiedzieć. Jeden astrolog z dalekiego Argos, przepowiedział, że zdobędę trzy królestwa, a potem będzie przede mną maszerować dziesięć złotych, wysadzanych klejnotami sztandarów, a za każdym podążać będzie dziesięć tysięcy jazdy i sto tysięcy piechoty. Moje imię i potomstwo przeżyje setki setek lat!

— Mnie bardziej interesuje jutro, Demonie Wiatru, i napełnienie mojego brzucha — Bourtai pokazał w sceptycznym uśmiechu swe żółte zęby.

— Więc nie wierzysz w moją przepowiednię ty mizerna kupo małpiego łajna? — spytał miękko Conan.

— Nie, o wielki! — wzrok czarnoksiężnika uparcie wiązał się ze spojrzeniem olbrzyma, a jego usta zmieniły się w wąską linię. — Czyż nie widziałem jednego z tych królestw? Królestwo na dzień! Myślę tylko o tych dziesiątkach dziesiątek tysięcy ludzi pod bronią. Czy oni na pewno idą przed tobą? Czy może galopują po twym szlaku, goniąc cię, by oddzielić tę pustą czarnowłosą głowę od grubego karku?

Cymmeryjczyk zaklął, a jego mocarne ramię wystrzeliło w stronę czarnoksiężnika — jednak zacisnęło się na powietrzu. Bourtai stał o krok dalej trzymając w dłoni khitajski sztylet.

— Tylko to pamiętam, Conanie — miękko szepetem dodał czarnoksiężnik. — Ludzie z Kusanu, Kambuji, Khitaju i Turghol, którzy cię ścigają. A te twoje demony wiatru, powiedziały mi jeszcze coś nowego. Jacyś uzbrojeni ludzie maszerują, gdzieś w pobliżu. Są już w obrębie Zielonego — Morza i możliwe, że przybyli, by wypróbować siły diabelskich traw, jak na razie bardzo spokojnych. Może jednak jest to tylko jedno z twych królestw, które idzie do ciebie.

— Przekłęci magowie! Nigdy niczego nie powiedzą wprost. Od jak dawna wiesz o tych zbrojnych? — Conan zerwał się na równe nogi nasłuchując.

Bourtai odstąpił swe szczurze zęby w dziwnej parodii uśmiechu, lecz nie odpowiedział, tylko jego długie, szponiaste palce wbijały się głębiej w błoto. Barbarzyńca przyglądał mu się przez chwilę, jednak nie uchwycił żadnego dźwięku. W końcu twarz rozjaśnił mu uśmiech. Wyszarpnął miecz i wbił go głęboko, aż do twardego gruntu, potem pochylił się i schwycił ostrze zębami. Zamknął oczy i wstrzymał oddech. Odczuł słabe, jednak regularne wibracje, niczym bicie bębnow. To stopy maszerującej armii wybijały ten rytm. Był to dźwięk, który znał, i którego obawiał się cały świat, odgłos maszerujących, zakutych w zbroje żołnierzy, którzy nieśli ze sobą śmierć i zniszczenie. Conan wyprostował się i zupełnie nieświadomie wytarł broń o zimne ciało leżące u jego stóp.

— Myślę, że masz rację Bourtai — powiedział. — To jedno z moich królestw upomina się o mnie. Królestwo diabelskich traw. — Pierś uniosła mu się od stłumionego śmiechu. Wziął

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

do ręki wysychającą już skórę tygrysa i przy pomocy jelit oraz sztyletu przymocował ją do wcześniej przygotowanej ramy, z włóczni i strzał. — Oto magiczna tarcza, czarnoksiężniku — powiedział — przy jej pomocy odwrócę czary diabłów z traw, przeciwko nim samym. W końcu nie można dwa razy udusić tego samego tygrysa!

— Bo i po co — mruknął Bourtai, jednak w jego oczach błysło zainteresowanie.

— Za nią — kontynuował Conan — będziesz zabezpieczony od tych mgiełek, które śmierdzą i zatykają nozdrza. Ukryty będziesz mógł spokojnie pracować nad swymi czarami, a czasem wypuścić jakąś strzałę z łuku tego Khitajczyka.

— Ale... a ty, panie?

Cymmeryjczyk odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się śmiechem, który niegdyś budził szaleństwo na trybunach wielu aren.

— Ha! Demony wiatru wdychając takie mgły stają się tylko jeszcze silniejsze! Idziemy na spotkanie z tym moim królestwem, gdyż wolę mieć pod nogami twardy grunt, po jakim stąpają tamci, niż to bagno. Kiedy ci powiem, stwórz jeszcze jedną czarną chmurę, Bourtai.

I... — jego twarz wykrzywił groźny grymas, jednak z oczu wyczytać można było troskę — pamiętaj, by trzymać się za tą magiczną tarczą, Małpia Mordko.

— Widziałem twoją magię, Conanie — powiedział ze szczerym podziwem i oddaniem, bez zwykłej ironii. — Czyż nie zwyciężyłeś mnie w Turghol? Mnie i sześciu innych wielkich czarnoksiężników z Kusanu?

Conan przeciskał się przez gęsto rosnące trzciny. Podążał w linii prostej, jego pokryte białym płaszczem ramiona poruszały się w napiętej gotowości. Głowa wysunięta była do przodu, wyzywająco i uważnie obserwując teren przed sobą. Bourtai podążał za nim, niosąc nad głową trzymaną w obu rękach tarczę z wilgotnej jeszcze skóry tygrysa. Cymmeryjczyk miał nikłą nadzieję, że obroni ona czarnoksiężnika od śmiertcionośnych, diabelskich traw. Ważniejsze jednak było to, że pod jej osłoną Bourtai będzie się czuł wystarczająco bezpieczny, by odprawić swoje czary. Czarna mgła uchroni ich przed wzrokiem napastników i pomiesza im szyki. Nie przeszkodzi to jednak Conanowi, ponieważ on walczy sam, więc każdy, kogo trafi musi być nieprzyjacielem.

Barbarzyńca zaczął cicho nucić coś pod nosem, na co twarz czarnoksiężnika rozjaśnił grymas uśmiechu. Gdy pan był zadowolony, sprawy szły dobrze. Prawdą było, że Conan nie wywiózł z Turghol żadnych łupów z powodu drobnego niepowodzenia i chęci obcięcia głowy pewnej, jasnowłosej wiedźmie, jednak mimo to był największym wojownikiem, jakiego znał Bourtai. A znał mistrzów z Turghol, Kusanu i dalekiej Kambuji.

— Mój pan jest szczęśliwy. Moja dusza się cieszy — wyszeptał.

Conan nie usłyszał go, nasłuchując pierwszych oznak zbliżania się maszerującego oddziału; wszystkie jego myśli skupione były wokół tego. Nie musiał zabijać ich wszystkich. Oczywiście było, że wierzą oni w magię, więc wyzwanie jednego mężczyzny przeciw oddziałowi, zostanie uznane za magię w ich przesądnych umysłach. Usta olbrzyma rozszerzyły się w uśmiechu, a jego dłoń z uczuciem zacisnęła się na rękojeści potężnego miecza. To właśnie była magia, jaką barbarzyńca rozumiał i jakiej używał! Zaniosą go z pełną czcią do swego miasta jako potężnego czarnoksiężnika!

Oczywiście później będzie musiał pokonać ich czarnoksiężników, jednak ta myśl nie martwiła go zbyt. Walczył z siedmioma czarnoksiężnikami w Turghol i wiele się wtedy nauczył. Oprócz kilku małych sztuczek, jak czarna mgła, którą Bourtai wywoływał z czegoś, co nosił w swej sakwie, ich czary były w umyśle ludzkim. Jeśli nie wierzyło się w przywoływane przez nich straszne rzeczy, powstałe ze zwykłego powietrza — no cóż, pozostawały tylko powietrzem i nie mogły wyrządzić krzywdy.

Nagle przypomniał sobie kłęb mgły, który niemal udusił małego maga, lecz po chwili roześmiał się znowu. Wydobył z pochwy swój miecz i cisnął go wysoko, pod niebo — błyszczące, zabójcze ostrze — po czym złapał broń za rękojeść. Ależ tak! Przecież Bourtai wierzył w diabły z traw. Jednak w jego umyśle pozostały pewne wątpliwości, czy tygrys także w nie wierzył?

Wreszcie wiatr przyniósł ze sobą dźwięk, który Conan wyczuł zębami już godzinę wcześniej, a wokół wciął nie było solidnego gruntu. Właściwie bagno zamieniło się w bajoro. Przemierzali rozległe kałuże mętnej wody, a po chwili wszystkie kałuże połączyły się tworząc jezioro, sięgające im do kolan. Tylko trzciny ciągnęły się dalej, jeszcze wyżej nad ich głowami, Conan zmarszczył brwi i przyspieszył kroku. Bourtai idący dotąd spokojnie, zaczął gderać i protestować.

— To szaleństwo panie — narzekał. — Nie możesz walczyć na takim podłożu. Jeśli się poślizgniesz twoja tygrysia siła na nic się nie przyda.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Cymmeryjczyk zaklął soczyście widząc, że czarnoksiężnik ma rację. Pojedynczy człowiek może walczyć z liczniejszym nieprzyjacielem jedynie wtedy, gdy może skakać do ataku i wycofywać się jak błyskawica, a jeśli się potkną... Nie przejmując się hałasem, Conan rzucił się naprzód wielkimi susami. W ustach zaświeciły dziko zęby. Co tam chlupot wody. Nic nie przebijie ciężkiego rytmu wybijanego przez żołnierskie buty. Wraz z ich stukotem słyhać teraz było także przytłumiony szczeł metalu, tarcz, mieczy, zbroi. Ziemia wibrowała tymi odgłosami, a trzciny drżały.

Nagle przestało wiać. Oprócz uporczywego, świdrującego uszy marszu, nie słyhać było innego dźwięku. Tak właśnie legiony Turanu miażdżyły pod sobą Khawarizm, zdyscyplinowani, równo stawiający nogi odziane w nagolenniki. Conan wychwycił dźwięk miecza dowódcy, uderzającego w tarczę, wystukującego tempo marszu. Ciągłe jednak woda wokół niego stawała się coraz głębsza, a trzciny podnosiły dumnie głowy do nieba. Przeklął unosząc łuk do góry, by nie zamoczyć cięciwy, a jego mięśnie napięły się mocniej od uporczywego wysiłku, by utrzymać rytm maszerujących, który zawładnął jego umysłem i płynął z krwią w całym ciele. Przez chwilę zastanawiał się, skąd wzięli się w tak dzikiej okolicy — gdzie nomadzi byli prowadzeni do boju przez walące bez rytmu bębny, doprowadzające do szaleństwa, jak jego doprowadzał ten marsz. Tak zdyscyplinowani, maszerujący równo żołnierze. Na Croma, czyżby Smok-Imperator przysłał tu swoje legiony? Usta olbrzyma skurczyły się odsłaniając zęby, a oczy zniknęły pod znamionującymi złość zamarszczkami. Żaden pojedynczy człowiek nie mógł rozbić legionu. Przez chwilę zawahał się w swym pędzie, zatrzymał się wśród sięgającej mu do pasa wody. Spojrzał przed siebie spod uniesionych brwi, i co dziwne, to właśnie diabły z traw dodały mu odwagi. Legiony nie potrzebowały żadnych czarów, by wzmocnić swą siłę! Ich włócznie, miecze, sama masa, z jaką parli naprzód, miażdżyła wrogów jak winogrona pod stopą. A ziemia piła łączywie czerwone wino.

— Do mnie, Bourtai — rzucił wreszcie stłumionym głosem — wejdź na me ramiona i powiedz, czy to są legiony z Angkhor.

Bourtai szybko podbiegł do swego pana. Tarczą z tygrysa była do połowy pogrążona w wodzie, jedwabisty ogon zakreślał węzowate kształty na powierzchni. Wysuszoną twarz czarnoksiężnika wykrzywił strach.

— Angkhor? — wyszeptał. — To nie mogą być Kambujańczycy. Mówisz o legionach?

Conan przeklął i chwycił czarnoksiężnika za kościste ramiona, z łatwością unosząc go nad głowę i klnąc pod nosem, gdy ubłocone nogi stanęły na jego ramionach.

— Angkhor to pan tego rejonu świata — powiedział. — A jego legiony okryte są stalą i krwią. Nad ich głowami powiewają sztandary z wizerunkami orłów, a ich twarze są poważne i harde dumą ludzi, którzy nigdy nie zaznali porażki, gdyż ci, którzy się wahają giną, a tylko zwycięzcy pozostają przy życiu. Powiedz mi, Bourtai — nawet jego głęboki bas był nieco przytłumiony — powiedz mi, czy mogą to być ludzie z Angkhor.

Podniósł czarnoksiężnika jeszcze wyżej, jak gdyby składał go w ofierze jakimś bogom i głowa Bourtai pojawiła się ponad morzem trzcin. Drżenie ciała czarnoksiężnika udzieliło się rękoma Conana, przyłączając się do niesamowitego, nierealnego rytmu maszerujących. Szmer traw ustały zupełnie i cały świat wypełniał tylko regularny stukot butów. W końcu dał się słyszeć cienki głos Bourtai:

— Maszerują po wzniesionej drodze, panie, lecz nie widzę nad nimi orłów — powiedział — a ich twarze nie są licami zdobywców, lecz pobitych, wystraszonych ludzi! Na głowach mają stalowe hełmy przyozdobione rogami i ogonami zwierząt, tygrysów, wilków i innych, których nie znam. I, panie, ich włosy są ognisto czerwone, zwisają i falują wokół ich ramion. Conan zaklął, a w jego oczach pojawiło się niedowierzanie.

— Ich miecze, Bourtai — wyszeptał — ich miecze są długie, z długimi rękojeściami i noszą je przewieszane przez plecy, jak łuki!

— Jest tak, jak mówisz, panie — Bourtai przekreślił swą pomarszczoną szyję, by spojrzeć w dół. — Czy oni są z twojej rasy? Czy to jest twoje królestwo, panie?

— Tylko pomiędzy barbarzyńcami na dalekiej północy — mruknął stawiając czarnoksiężnika w wodzie sięgającej mu prawie do szyi i zastanawiając się skąd tu Vanirowie — bywają ludzie z włosami takimi, jak moje i ognistoczerwonymi jak tych wojowników. Pewnego dnia opowiem ci... Bourtai, ty drżysz.

Bourtai skulił się jeszcze bardziej, przetykając jak zganione dziecko, jednak w jego oczach wpatrujących się w olbrzyma czaiła się groźna przebiegłość.

— W takim razie, panie — rzucił wreszcie — pochodzisz z rasy niewolników!

— Ha! — Zakrzyknął barbarzyńca zaciskając palce na ramionach maga. — Podrzynałem gardła za łagodniejsze słowa! — powiedział, a była w jego słowach taka sycząca złość, że

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

twarz Bourtai nabrała niezdrowego, zielonego koloru.

— Panie, panie! — mamrotał przepraszająco. — Mówię tylko prawdę. Ci ludzie maszerują pod biczami. Widziałem pejcze wznoszące się do góry i wgrzyzające się w ciało, i żaden z nich nie próbował temu przeszkodzić. Jednakże, panie... jednakże...

— Mów nędzniku!

— Panie, nie widziałem nigdzie ludzi, którzy używaliby batów! Conanie, może ich panami są diabły traw!

Cymmeryjczyk uwolnił czarnoksiężnika z uścisku, odpychając go od siebie tak, że mały człowieczek zatoczył się i zniknął pod spokojną tonią jeziora. Po chwili wynurzył się z trudem łapiąc powietrze, oblepiony wodorostami zwisającymi pomiędzy szarymi włosami — i ze sztyletem w dłoni.

— A teraz, na Croma — powiedział Bourtai głosem przypominającym syczenie węża. — Tego już... Jego sztylet zaświecił w słońcu, jednak Conan odbił jego ramię bez wysiłku, jakby odpędzał jakiegoś przykrego owada.

— Ukrywasz coś przede mną, Bourtai — powiedział — widziałeś więcej, niż mi powiedziałeś!

— Pewnie, ty pustogłowy głupcze! — powiedział świecąc żółtymi zębami. — Pewnie, że coś zatrzymałem dla siebie. — Odskoczył na krok i prawie zniknął Conanowi z oczu w gęstwinie trzciny. Po kolejnym kroku stał się zupełnie niewidoczny, tylko jego głos słychać było dokładnie:

— Tak! Diabły z traw! Tu jest ten, którego szukacie! Barbarzyńca zaklął na jawną zdradę swego towarzysza, lecz Bourtai był poza jego zasięgiem. Z drogi dał się słyszeć głos krzyczący coś w nieznanym barbarzyńcy języku i nagle zamarło dudnienie butów. Nigdy dotąd Conan nie czuł takiego bezruchu, jak w ciszy, która nagle zapadła nad Zielonym Morzem i powierzchnią bagniska, w którym się ukrywał. W tej niesamowitej ciszy ponownie dał się słyszeć głos Bourtai, tym razem w tym dziwnym języku, którego użył głos na drodze. Cymmeryjczyk nie miał wątpliwości co do słów, które wypowiedział.

Rzucił gardłowe przekleństwo i wziął do ręki swój olbrzymi łuk. Próbował naciągnąć go bez zamoczenia delikatnej cięciwy w sięgającej do pasa mętnej wodzie. Z wyniesionej ponad poziom bagna drogi, na której stali rudowłosi niewolnicy, usłyszał ponownie uderzenie miecza o tarczę i hasło do wznowienia marszu. Wśród trzciny zaczęły świstać strzały, a rytm marszu ponownie wzbił się w powietrze, jednak tym razem, ten ciężki, wstrząsający ziemią stukot zbliżał się do miejsca, w którym ukrywał się barbarzyńca, próbując napiąć swój łuk.

ROZDZIAŁ III BITWA Z KARŁAMI

Ogromny łuk Cymmeryjczyka miał ponad dwa metry długości, tak, że oparty o ziemię dorównywał potężnemu barbarzyńcy. Wojownik przyzwyczajony był do opierania go na przedzie prawego buta dla założenia cięciwy na właściwe nacięcie. Siła połączonych ścięgien, drewna i rogu była tak wielka, że bez cięciwy łuk wykrzywiony był w przeciwną stronę i wielu ludzi miałyby olbrzymie problemy z samym założeniem cięciwy. Teraz, będąc po pas w wodzie Conan musiał napiąć łuk i nie zamoczyć go.

Przez chwilę, gdy ciekawskie strzały, niewidzialnych na razie wojowników poszukiwały swego celu wśród trzciny, podczas gdy ciężki krok oddziału oderwał się od solidnego gruntu i zaczął przedzierać się przez bagno, barbarzyńca zastanawiał się nad swym łukiem. Założył nową cięciwę na jeden koniec łuku, potem oparł o biodro drugi koniec, na który miał założyć cięciwę i owinął skręcone jelito wokół prawej dłoni, lewą trzymając łuk. Następnie ciągnąc za wrzynającą się w dłoń cięciwę, zaczął naginać łuk! Pot zrosił obficie jego czoło, a napięte do granic wytrzymałości żyły wity się pod skórą, niczym purpurowe węże, jednak łuk nagiął się wystarczająco, by założyć pętlę na nacięcie. Wyplątał dłoń i puścił cięciwę, która zagrała jak ostrzegawcza nuta w gardle osaczonej bestii, gdy łuk nabrał właściwego kształtu.

Miecz barbarzyńcy wyskoczył z pochwy i jednym, potężnym cięciem oczyścił teren wokół, z trzciny utrudniających strzał. Strzała wyprysnęła z kołczanu i oparła się o cięciwę, a z ust Conana spłynął szyderczy, bojowy śmiech. Był to śmiech, którego nauczyła go matka, która dawno już odeszła do swych bogów, w swym rodzimym języku wykrzyczał też wyzwanie do niewidzialnych wrogów.

— Hej, ludzie ognia i męstwa, będziecie walczyć dla swych panów jak niewolnicy? W takim razie chodźcie, a znajdziecie śmierć z rąk swego dzielniejszego brata, gdyż dziś walczycie przeciw Conanowi, chwale plemienia z Cymmerii. Jeśli jesteście Vanirami, chodźcie i spotkajcie swą śmierć jak wojownicy.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Szmer strzał uciął pod wpływem przemowy Cymmeryjczyka, za to podniosły się głosy w języku, który był mu znany, a jednocześnie obcy. Był to język, którego uczyła go matka, jednak była w nim jakaś różnica, której nie potrafił wychwycić. Nagle usłyszał dźwięk, który wzburzył jego krew.

Był to trzask uderzających batów, wrzynających się w ciało oraz głos krzyczący coś w języku, którego użył niedawno Bourtai. Wtedy Conan po raz pierwszy napiął swój ogromny łuk i wypuścił strzałę w kierunku dźwięku dziwnej mocy i świstu bata. Odpowiedzią na brzęk cięciwy był urwany w połowie, przedśmiertny krzyk i wyrzucony ręką umierającego wysoko ponad trzciny bicz. Barbarzyńca ponownie rzucił wyzwanie swym potężnym głosem.

— Hej, jeśli jesteście Vanirami, zwróćcie się przeciw tym psom, którzy wam rozkazują! Wymordujcie ich! Znaleźliście wodza i dowódcę w Conanie!

Tym razem jedyną odpowiedzią na jego wyzwanie był świst strzał. Twarz Conana wykrzywiła złość i od tej pory jego łuk nie przestawał grać. Strzały leciały w stronę drogi, na której ludzie z batami wykrzykiwali swe ostre rozkazy. Chłopot wody burzonej przez maszerujących zbliżał się coraz bardziej, ciągle jednak oddzielała go od nich ściana trzciny. Wypuszczając strzałę za strzałą, dopóki sięgająca do kołczanu ręka nie zamknęła się na pustce — kołczan był pusty!

Cymmeryjczyk krzyknął. Zakręcił nad głową swym ogromnym łukiem i cisnął nim z całej siły w stronę wrogów, a w jego dłoni pojawił się miecz. Przez chwilę całe jego ciało zadrażało w oczekiwaniu na zbliżającą się walkę, później jednak w zdumieniu unióśł brwi. Poczł w sobie niezrozumiałe pragnienie, przyłączenia się do nie widzianych jeszcze swoich odwiecznych wrogów Vanirów; Conan, który nigdy dotąd nie omijał bitew! Jednak w jego umyśle zaczął kształtować się pewien plan. Nie zależało mu na ludziach tak niskiego ducha, którzy schylili swe głowy pod jarzmem niewolnictwa, lecz wolni byliby wspaniałymi żołnierzami, dorównującymi okutym brązem i stałą legionom z Angkhor. Gdyby tylko udało mu się dosięgnąć ostrzem ich panów...

Barbarzyńca skrzywił się, i z niesmakiem spojrział na mętne, cuchnące bagno, w którym stał. Wzruszył ramionami i rzucił wyzywające spojrzenie w stronę chwiejących się trzciny, wskazujących linię nadchodzącego oddziału. Zdjął stożkowy, khitajski hełm i pelerynę, składając je na dryfującej w pobliżu tarczy z tygrysiej skóry, opadł na kolana, zaczerpnął głęboko powietrza i pogrzążył swą głowę w pokrytych zielskim odmętach bagna. Z obnażonym mieczem w garści, płynął pod powierzchnią wody, zagarniając ją szerokimi ruchami ramion. Wężowe łodygi i liście trzciny cięły mu twarz, a ręce miał śliskie od mułu. Zimne, śliskie macki chwyciły go za ramiona. Gdy zabrakło mu powietrza znalazł gęstą kępę trzciny i unióśł głowę w samym jej środku. Ujrzał posuwającą się naprzód linię oddziału i serce prawie pękło mu na ich widok! Byli to silni mężczyźni, o potężnych członkach z ogniem we włosach, lecz bez ognia w oczach, bez ducha. Przymocowane do ich hełmów rogi i ogony drwiły z ludzi, którzy je nosili. Miecze nieśli w zębach, w rękach trzymając krótkie khitajskie łuki, co chwila wypuszczając przed siebie chmurę strzał, co najmniej o połowę wysokości człowieka za wysoko, by trafić ukrytego Cymmeryjczyka.

Conan podciągnął pod siebie nogi i zacisnął je na swej kępie trzciny, a gdy żołnierze zbliżyli się schował głowę pod wodę. W miejscu, gdzie przed chwilą była nie pojawiła się nawet najmniejsza zmarszczka na wodzie. Fale zwiastujące przejście oddziału były tuż przed nim... obok... za nim! Conan odważył się unieść głowę i złapać kolejny oddech. Teraz mógł posuwać się przed siebie z głową tuż nad powierzchnią wody, czuł też, że grunt pod jego nogami staje się bardziej stały i wznosi się do góry. Przez zieloną zasłonę trzciny, mógł już zauważyć ścianę wyrastającej z bagna drogi!

Cymmeryjczyk wytarł dokładnie szlam ze swych dłoni i ujął pewnie rękę miecza. Pochylił się przy stromym wzniesieniu i zaczął się na nie wspinać. Za sobą usłyszał krzyk i poruszenie. Żołnierze znaleźli jego tarczę. Wszystko szło po jego myśli! Uśmiechnął się odsłaniając zęby, jednak przez czoło przebiegła mu zmarszczka. Wypróbuje swą stal na panach Vanirów, ale co potem? Ha, potem zostaną ludźmi Conana i przekonają się, ile bogactwa można wycisnąć z tej kąpiącej złotem, dzikiej krainy! Poza tym, miał jeszcze mały rachunek do wyrównania z pewnym zasuszonym, podobnym do małpy czarnoksiężnikiem, jeśli przeżyje on przemarsz rudowłosego oddziału.

Droga wznosiła się na ogromnych głazach. Conan z łatwością wspinał się po nich, zostawiając za sobą zasłonę z trzciny. Miecz błyszczał w jego dłoni strzelając promieniami krwistoczerwonego ognia, kiedy odbijało się od niego światło zachodzącego słońca. Do jego uszu dobiegła ożywiona rozmowa w nieznanym języku. Zamarł w połowie kroku, jak tygrys, który wyczuł zapach smacznej, lecz niebezpiecznej zwierzyny. Spojrzał pomiędzy dwoma

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia
głazami i wreszcie zobaczył panów maszerującego legionu. Poczł wzbierający w nim ciężki,
gardłowy śmiech, śmiech bez radości, a obok niego wzrastał potworny gniew.

Trzech z nich stało na murze otaczającym drogę, ze swymi okrutnymi biczami w rękach i
długimi, zakrzywionymi mieczami u pasa, a żaden nie przekraczał półtora metra wysokości.
Byli obraźliwymi karykaturami ludzi, jednak ich twarze, choć mało widoczne, przypominały
olbrzymowi twarze ludzi z zachodu, a ich brody były tak wielkie, jak mali byli ich
właściciele. Gęsty, splątany zarost wyrastał niemal spod oczu, krzaczaste brwi zraszały się
między oczyma, a wierzchy dłoni oraz odstłonięte częściowo nogi pokryte były gęstymi
włosami. Początkowo zamierzał rzucić się od razu na karłów, jednak zatrzymał się, by lepiej
ocenić przeciwników. Ich szerokie ramiona i krępa budowa niskich ciał, znamionowała
potężne mięśnie i znaczną siłę, a ich miecze były naprawdę długie. Ech! Do Diabła z nimi!
Od kiedy to Conan wahał się przed zaatakowaniem trzech ludzi, jakiegokolwiek rasy, zarówno
gigantów ze Stygii z ich toporami o ciężkich ostrzach, jak barbarzyńców z piktyjskiego
pustkowia?

Conan wyskoczył zza kamieni i przebył kilka kroków dzielących go od karłów, z mieczem
wygodnie ułożonym w dłoni i spojrzeniem błękitnych oczu utkwionym w przeciwnikach.
Wyraz ich twarzy skrywały gęste brody. Jeden z nich odwrócił się w stronę Conana
wykrzykując coś w swym niezrozumiałym języku. Wyciągnął do góry rękę z biczem i
zamachnął się kierując rzemień w stronę twarzy olbrzyma.

W tej chwili w ciele barbarzyńcy zapaliła się dzika złość. Błysnęło jego ostrze i odcięta
część bicia opadła na drogę przed nim wijąc się jak żyjące stworzenie między kamieniami,
więc Conan rozejrzał się za kawałkiem skały, by przygwoździć to do ziemi. Nagle jednak ze
zdziwieniem odskoczył widząc, że rzemień zamienił się w strzałę, która bez pomocy łuku
wystrzeliła w stronę jego piersi. Instynkt wojownika poprowadził miecz Conana jak
błyskawica, jednak strzała, ponownie przecięta na dwoje, opadła na ziemię zamieniając się w
dwa węże wijące się i atakujące jego stopy.

Cymmeryjczyk spoglądał na nie, nie wykonując żadnych ruchów, mimo że były teraz tuż
przy jego nogach. W końcu podniósł wzrok, a na jego twarzy pojawiło się zrozumienie
pomieszane z pogardą. Więc byli tu czarnoksiężnicy! Teraz wiedział już, czemu Vaniorowie
wpadli w sidła tych karłów. Zawsze byli przesądni i wierzyli w magię, i inne takie bzdury.
Całe szczęście, że on był wolny od tych głupstw!

Spokojnie ruszył w stronę karłów. Zdawał sobie sprawę, że jeden z nich krzyczał coś, i że
z trzcin nadbiegło kilka głosów w odpowiedzi na jego zew. Więc jednak płomiennowłosi
wojownicy słuchają swych panów i powrócą, by zabić jedyne go człowieka, który mógłby ich
ocalić. Poza tym na wzniesieniu drogi pojawiło się jeszcze trzech karłów, a kolejny
przyklęknął przed nimi z krótkim łukiem w ręku. Pociągnął cięciwę i strzała poszybowała w
stronę barbarzyńcy, który błyskawicznym cięciem miecza strącił ją, przepołowioną na ziemię.
Conan zrobił to instynktownie, prawie nie zdając sobie sprawy z ruchu ramienia. Jego wzrok
nie opuścił ani na chwilę siedmiu stojących naprzeciw mężczyznom i ich obnażonych mieczy.
Jeszcze raz zagrała cięciwa i znowu miecz zakreślił w powietrzu łuk odbijając ją.

— Głupcy! — sztychł Conan, chociaż wiedział, że nie rozumieją tego, co mówi. — Czy
myślicie głupcy, że zabijecie Conana waszymi śmiesznymi sztuczkami? Czy myślicie, że
wasze patyki przebijają moje ciało? Przygotujcie wasze śmieszne mieczyki na spotkanie z
ostrzem Conana, które zdejmie wam głowy jednym cięciem. Mięczaki! Karłowaci magicy!
Cymmeryjczyk zakończył swe wyzwanie potężnym, bojowym okrzykiem i skoczył na
spotkanie pochylonych mieczy, jednak odskoczył szybko, gdy sześć ostrzy wyprysnęło w
kierunku jego głowy.

Świszczące miecze minęły jego czuprynę o szerokość ostrza sztyletu, potem jego ogromne,
ostrze zagrało w powietrzu. Gdyby dokładnie i z pełną siłą wyprowadził cios, byłby w stanie
uciąć łeb niedźwiedziowi, jednak teraz nie należało angażować w walce całej siły. Zbyt silne
cięcie przeszkadzało później w obronie, a na przeciw niego było siedem mieczy —
rzeczywiście siedem!

Lekko, niczym dotknięcie porannej bryzy, poprowadził ostrze wzdłuż dwóch gardeł, po
czym odskoczył na bezpieczną odległość od przecinającej powietrze stali przeciwników.
Dwóch brodatych karłów chwiało się na nogach, bezskutecznie próbując powstrzymać
płynącą z gardeł krew, przyciskając rany dłońmi. Conan zauważył, że ponad połowa ich
długich bród, opadła już na ziemię. Zaśmiał się strasznym głosem, wywijając przed sobą
mieczem.

— Chodźcie, czarnoksiężskie pokurcze! — ryknął — jest jeszcze pięć bród do zgolenia!

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Pozostałych pięciu podeszło bliżej. Nawet nie spojrzeli na swych umierających towarzyszy. Ich miecze wznosiły się nad ich głowami, jak drzewca sztandarów. Barbarzyńca w głębi serca zaczął podziwiać tych małych, zdecydowanych na wszystko wojowników. W ich spojrzeniach nie było widać cienia strachu, miarowo posuwali się w jego kierunku, a słońce odbijające się od wzniesionych mieczy nie drżało. Conan poprawił nieco ustawienie swych stóp, wbijając podeszwy głębiej w kurz drogi. Jego wyczulony słuch pilnował odgłosów oddziału, będącego gdzieś na bagnach. Głośne, pośpieszne chlapanie wody mówiło mu, że ten szybko zbliża się do drogi.

Cymmeryjczyk krzyknął i rzucił się na pięć gotowych do walki mieczy. Jak na paradzie trzech z przeciwników przykłętkło i wystawiło ostrza jak włócznie, mierząc w pierś szarżującego olbrzyma. Dwaj pozostali wzniesli miecze na wysokość ramion, ich mięśnie stężały w oczekiwaniu na dogodnie cięcie. Conan zdawał sobie sprawę, że takie uderzenie przecięłoby go na pół. Jednak olbrzym nie zakończył swej szarży. W ostatniej chwili odskoczył w lewo. Jego ostrze odparowało dolne cięcie stojącego najbliżej przeciwnika, przeszło nad zakrzywionym mieczem i weszło głęboko w bark, rozcinając kość obojczyka. Lewa ręka, w której trzymał wciąż podniesiony z drogi kamień, zatoczyła szeroki łuk, kończący się na ciemieniu drugiego ze stojących karłów. Siła ciosu rozcięła mu czaszkę i rzuciła na trzech leżących towarzyszy, wtedy Conan rzucił się na pozostałych, dezorientowanych karłów. Ostrze było bezlitosne i szybkie, jak głowa kobry tańczącej do wrotu muzyki zaklinacza, a z każdym ruchem wywoływało nowy deszcz czerwonych kropel. Conan odskoczył od zakrwawionych karłów i ujrzał tylko jednego z nich, zdolnego stawić mu czoła. Stał chwiejnie na nogach, a prawe ramię wisało mu na skrawku skóry, krwawiąc obficie, jednak pewnie dzierżył w lewej dłoni ciężki, oburęczny miecz i zbliżał się do barbarzyńcy.

— Odstęp głupcze! — parsknął barbarzyńca. — Jesteś już martwy, ale dałbym ci jeszcze kilka chwil życia. Głupcze! — wykrzyknął ponownie, gdy karzeł ciął mieczem i stał uderzyła o stal, rozrzucając wkoło tysiące iskier. Mały brodacz upadł na kolana od impetu swego uderzenia, jednak mimo to próbował zranić barbarzyńcę. W tej samej chwili jego usta rozwarły się szeroko i dał się słyszeć, a właściwie odczuć niesamowity niemy krzyk, rozdzierający czaszkę i przebijający bębunki w uszach Conana niczym tysiące igieł. Usta karła bardzo długo pozostawały otwarte, wydając przenikliwy dźwięk. W pewnej chwili życie uciekło z niego, jak wino z przewróconej butelki i bezwładnie opadł na drogę wzbijając niewielką chmurę pyłu, i wydając ostatnie tchnienie.

Cymmeryjczyk stał ze zwieszoną głową ponad martwymi ciałami, niczym brązowy gigant splamiony krwią, a w jego oczach nie widać było tryumfu ze zwycięstwa. Te karły były wojownikami, jednak, dlaczego nie próbowali na nim innych, magicznych sztuczek. Teraz już wiedział, że to byli panowie demonów traw. Ten niemy krzyk był wezwaniem większych sił, by go zglądzić, tak jak ten poprzedni, słyszany wcześniej tego dnia. Na krwawe kły Agrymaha! Tamten krzyk rozległ się po wschodzie słońca, a ten oddział, maszerując ciężką drogą wśród traw, dotarł tutaj dopiero wieczorem. Dziwni to byli ludzie, których głos niósł się na odległość pełnego dnia marszu! Naprawdę władali potężną magią. Dziwne tylko, że podczas walki nie pojawiły się te duszące mgiełki, które spotkał w czasie drogi przez bagna. Conan odwrócił głowę w stronę linii trzcin, skąd dobiegł gardłowy okrzyk. Ujrzał pierwszego z żołnierzy zmierzającego w stronę drogi. Spokojnym krokiem podszedł do jej skraju, trzymając nadal w ręku ociekający krwią miecz.

— Stój niewolniku — warknął głosem zmuszającym do posłuszeństwa. — Stój i poczekaj na swych braci. Jestem Conan z Cymmerii i pokonałem magów, którym służyliście. Dlatego też od tej pory służycie mi! Zaniesiecie mnie na swych tarczach do waszej siedziby, lub umrzecie, jak umarli inni głupcy sprzeciwiający się woli Conana, zwanego też Amra, który jest panem demonów powietrza!

Mężczyzna, który stał naprzeciw niego, miał jastrzębie rysy wojownika i był nieco tylko węższy w ramionach, niż Conan. Łuk miał przewieszony przez ramię, a w swych sękatych dłoniach dzierżył ciężki, oburęczny miecz.

— Conanie — odpowiedział wolno w szorstkim języku, z którego Cymmeryjczyk nie wszystko rozumiał. — Słyszałem o Cymmerii w legendach, które pozostały po naszych przodkach, którzy tu przywędrowali dawno temu, aleja nigdy dotąd nie widziałem Cymmeryjczyka, jednak pewne jest, iż jesteśmy wrogami. Ja, Vigomar jestem centurionem tego legionu. Jednak zaszczytem dla mnie i moich towarzyszy będzie wnieść tak wielkiego wojownika, jak ty na naszych tarczach.

Obok centuriona zbierało się coraz więcej rudowłosych żołnierzy, uważnym, ciekawym

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

wzrokiem mierząc stojącego na tle nieba Cymmeryjczyka, wyczuwając przebijającą z jego postaci, szerokich ramion i zbroczonego krwią miecza groźbę. Przez zgromadzone szeregi przebiegł cichy szept. Conan z zadowoleniem zauważył, że nawet w zamieszaniu tworzyli prawie równy szereg. Silni, potężni wojownicy, jakich mógłby pozazdrościć sam cesarz, potrzebowali tylko dobrego dowódcy. Jakże łupy zdobędzie przy ich pomocy!

— Z radością uznalibyśmy cię za przywódcę, jednak, jeśli twa magia nie jest potężniejsza, niż czary Niedźwiedzia z Niebios, to ani ty, ani żaden z nas nie przeżyje nawet czasu potrzebnego na przebycie tysiąca kroków po tej drodze!

Zęby Conana zaświeciły w wilczym uśmiechu.

— Moja magia jest potężniejsza — powiedział spokojnie, wznosząc swe ostrze ku niebu.

— Ten miecz pił krew ponad dwudziestu czarnoksiężników i nadal żyję, w przeciwieństwie do nich! Demonom traw nie udało się mnie udusić. Przefrunąłem ponad waszymi głowami, kiedy mnie szukaliście i pokonałem waszych panów. Tak, wszystkich siedmiu leży tu, w kurzu drogi nasiąkniętym ich krwią, a bat, który jest również strzałą i wężem, rozpadł się na kawałki od pocałunku mojego ostrza.

Głos Conana wznosił się ku niebu i popłynął w bezkresne morze traw.

— Moja magia jest potężniejsza. Na bagnach jest gdzieś pewien mały czarnoksiężnik, który może dać temu świadectwo, albo obetnę mu uszy. Słyszysz mnie, paskudna małpo? — wykrzyknął. — Potwierdź me słowa!

— Prawdę mówisz, o potężny Conanie! — nadbiegł drżący głos Bourtai. — Siedmiu czarnoksiężników pokonałeś w Turghol, zabijając sześciu, a z jednego czyniąc niewolnika. Conan uśmiechnął się, jednak w jego oczach czaił się żar, nie wróżący niczego dobrego małemu czarnoksiężnikowi. Postąpił jak zdrajca i gdyby nie to, że teraz bardziej potrzebny był Conanowi żywy...

— Na kolana wojownicy — wykrzyknął Cymmeryjczyk. — Na kolana, bym mógł uwolnić was od zaklęć czarnoksiężników i przywrócić wam serce do walki. Przed nami bitwa i łupy, jeśli podążycie za mną.

Rzucił im władcze spojrzenie i Vigomar jako pierwszy ukląkł w bagnistej wodzie. Inni powoli poszli w jego ślady nie spuszczać oczu ze swego wyzwoliciela. Barbarzyńca skinął z aprobatą. Tak, to byli odpowiedni ludzie, tylko wymagali odpowiedniego traktowania.

Dobrze się stało, że udało mu się tchnąć w nich nową wiarę. Nowy dowódca może dużo zrobić z człowiekiem, który stracił nadzieję na wolność.

— Chylicie czoła — przemówił głębokim głosem — nie przede mną, ale przed najpotężniejszym bogiem Cromem. Jest po drugiej stronie jeziora Ho, na północy, miasto Turghol, gdzie także klękają przed Cromem, za moją sprawą. Żeby ich przekonać, musiałem pootwierać gardła kilku ważnym osobistościom.

Na niektórych nieogolonych twarzach słuchających żołnierzy, pojawiły się uśmiechy.

Conan czuł, że wojownicy go rozumieją i mają podobne poglądy na życie.

— Crom pewnego dnia będzie jeszcze potężniejszym bogiem niż dziś, a dla mnie już zrobił wiele dobrego. Mógłbym wam opowiedzieć... Ale nie ma na to czasu. Może wieczorem, przy obozowym ognisku. Crom się nami opiekuje. Ponieważ jest potężnym bogiem, może troszczyć się o wszystkich, którzy w niego wierzą. A teraz w drogę, wojownicy. Vigomarze, do mnie. Pójdziemy drogą, którą tu szliście, po kilka skarbów, z legowisk czarnoksiężników, a potem — przed nami inne, dzikie i niezbadane krainy! W drogę, pierwszego, który będzie się ociągał pozabawię uszu, a drugiego zamienię w karła — jego miecz zatańczy w powietrzu — przez usunięcie głowy! Za mną wilki, ruszajmy w drogę!

Na twarzach żołnierzy ruszających w jego stronę pojawiło się więcej uśmiechów, a miecze wszystkich z jednym dźwiękiem powędrowały do umocowanych na ramionach pochew. Nawet podczas wspinaczki na drogę zachowali równy szereg. Z trzciny za ich plecami wyłoniła się przestraszona, mała twarz Bourtai. Gdy doszedł on do wzniesienia drogi, Vigomar stał już naprzeciw Cymmeryjczyka. Zwyczajem wszystkich wojowników świata, zmierzli się wzrokiem, oceniając swoją wartość. Ciało Vigomara znamionowała giętkość odpowiadająca i zastępująca ciężką muskulaturę Conana. Żelazny hełm z rogami spoczywał na szerokim czole. Tułów chroniła lekka kolczuga, spod której wystawał skraj wełnianej tuniki. Conan natychmiast zdał sobie sprawę, że wzrok Vigomara skierowany jest nie na niego, lecz gdzieś dalej. Ujrzał zmarszczki pojawiające się wokół zaciśniętych ust barbarzyńcy i rozszerzający jego oczy strach, a głos brzmiał, jak zduszony kaszel.

— Przygotuj swą magię Conanie — rzucił ochryple — i pośpiesz się, gdyż Niedźwiedź z Niebios nadchodzi, by pomścić swych wnuków!

Conan poczuł przenikający, zimny strach posuwający się wzdłuż kręgosłupa w odpowiedzi

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

na słowa Vigomara i wyteżył wszystkie mięśnie, by go przewyciężyć. Usta utworzyły wąską linię, jednak powoli odwrócił się, by stawić czoła nowemu zagrożeniu, przed którym cały legion już teraz upadł na kolana. Nie był jeszcze gotowy na tę próbę, miał nadzieję, że uda mu się wzmocnić swą pozycję dowódcy, nim staną oko w oko z potęgą czarnoksiężników, których Vigomar nazwał Kitharami, wnukami Niedźwiedzia z Niebios. Jego dłoń ponownie zamknęła się na jakże dobrze znanej rękojeści miecza i jeszcze podczas obrotu zawołał. — Czy jesteście tchórzliwymi szakalami, czy mężczyznami, że kłaniacie się przed jakimiś skarłatymi kuglarzami. Ich magia nie może was skrzywdzić, chyba, że...

Ryk pochłonął zupełnie, nawet głęboki głos Cymmeryjczyka. Nie można było go nie rozpoznać. Conan słyszał go wielokrotnie na arenach, gdy stawał naprzeciw, karmionych niewolnikami brunatnych niedźwiedzi z północy. Ten jednak był tysiąc razy głośniejszy, przepełniony nieopisaną furią i ociekający groźbą. Barbarzyńca zamarł zgięty w pół, udało mu się jednak rzucić słaby, niemal bezgłośny wyzywający okrzyk. Miecz, sprawdzony w tylu bojach, wydał mu się teraz śmieszny jak wierzbowa witka. Jego potężne ciało oraz wijące się pod skórą węzły stalowych mięśni stały się słabe i niewystarczające. Dusza skurczyła się i ukryła gdzieś w głębi ciała, gdyż bestia, na której spoczywały jego oczy przekraczała granice zrozumienia!

Był to sam bóg niedźwiedzi. Ogromny, jak trzy słonie, przedzierał się przez Zielone Morze. Jego czerwona paszcza rozwarła była na tyle szeroko, że mógł połknąć człowieka, nawet takiego olbrzyma jak Conan, bez najmniejszego wysiłku. Głos wydobywający się z jego gardzieli był porównywalny z gniewem Ballara i powodował odrętwienie umysłu. W pozycji wyprostowanej, jak człowiek, szedł w stronę drogi, ale jego krótkie, masywne nogi pokonywały odległość szybciej, niż szarża khitajskiej jazdy.

Dłoń Conana zacisnęła się na mieczu i zmusił się do wyprostowania swej sylwetki.

Spróbował przekrzyczeć przerażający ryk bestii:

— To tylko czarnoksięskie sztuczki — wrzasnął, jednak w jego głosie brakowało przekonania. — Nie ma tu żadnego niedźwiedzia, jeśli w niego nie uwierzycie! Spójrzcie! Trzciny nie rozstępują się, gdy przechodzi. Porusza się po wierzchołkach cienkich traw! Wszak żaden z nas nie przestraszy się stworzenia, które nie może nawet przygiąć do ziemi żdźbła trawy.

Conan zaśmiał się wyzywająco i wetknął miecz do pochwy. Założył ramiona na piersi, a na jego twarzy pojawił się szeroki, drwiący uśmiech, jednak nie mógł wyrzucić z głowy wątpliwości i podświadomego lęku. Jeśli temu nie uwierzy, lecz na boga, ta rzecz była przed jego oczyma! Jej ryk rozsadał mu bębunki w uszach, a wiatr powodowany nadejściem bestii podnosił mu włosy na głowie. Patrzył w czerwoną paszczę Niedźwiedzia z Niebios, widział odbijające się od białych kłów promienie zachodzącego słońca i łapę, grubszą niż noga słonia, zmierzającą w jego kierunku, by go zniszczyć swymi długimi na pół metra pazurami.

Głowy żołnierzy uniosły się patrząc pełnymi obawy oczyma na stojącego z pustymi rękoma, nieruchomego Cymmeryjczyka stawiającego czoła furii potwora.

— Na Cromie — mruknął Vigomar. — Jeśli przeżyje atak Niedźwiedzia z Niebios... —

Nie dokończył myśli, jednak zaciśnięta szczęka i napięcie wszystkich mięśni pozwalało się jej domyślić. Jeśli tylko Conan wytrzyma atak...

Wspinający się na drogę Bourtai przez chwilę spoglądał na bestię, po czym odwrócił się i zniknął wśród trzciny, chowając się pod powierzchnią wody. Nawet tam zdawało mu się, że słyszy wyzywający śmiech swego pana, a jego mała dusza trzęsła się ze strachu, gdyż odwaga barbarzyńcy przerastała jego zrozumienie. Conan śmiał się w twarz pewnej śmierci.

Wielka łapa zakończona ostrymi jak miecze szponami, sięgała już po niego. Barbarzyńca spoglądał na nią i nagle wszystkie wątpliwości zniknęły z jego umysłu. Coś takiego, jak ten potwór nie miało prawa istnieć. To była tylko magiczna sztuczka. To... Nie było nic więcej, niż chmura dymu!

— Przepadnij — rzucił lekceważąco machając ramieniem. Niedźwiedź zniknął. Nie była to już bestia z sennego koszmaru, lecz chmura brunatno-czarnego dymu, rozwiewająca się powoli na wieczornym wietrze. Conan tryumfalnie spojrział na kulących się wśród pyłu ludzi i napotkał oczy Vigomara. Teraz wiedział, że zwyciężył. Zwyciężył, więc co do wszystkich diabłów on, Conan zdobywca, robił kłęcząc w kurzu drogi?

Cymmeryjczyk wykrzyczał swą złość, a jego głos dorównywał teraz rykowi pokonanego potwora. Kłęczał na drodze i nie mógł wstać. Sięgnął po miecz, lecz nie dotknął rękojeści. Droga nagle rzuciła się ku jego twarzy i poczuł gorący piach atakujący nozdrza i oczy. Wezwał resztki swych niespożytych sił i wsparł się na drżących ramionach i kolanach, by

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

wstać. Jego ciało uniosło się na szerokość dłoni od ziemi. Ręce ugięły się od tego wysiłku, lecz zdołał podciągnąć pod siebie jedno kolano. Podniósł do góry głowę ciągnąc po ziemi długie włosy i zwrócił wykrzywioną twarz w stronę wiszącej nad nim czarnej chmury. Była to ciemność pochłaniająca ostatnie promienie zachodzącego słońca. Jeszcze raz rzucił chmurze wyzywający uśmiech i macki ciemności sięgnęły po niego, dotykając jego oczu i wkręcając się do mózgu.

Czarna chmura była teraz w nim, wypełniała każdą jego część. Już nie walczył, pograżył się w przepastnej czerni i słyszał ciemność dzwoniącą jak ogromny dzwon. Widział metaliczne dźwięki, skrawki srebra wbijające się w pierś nieprzeniknionej czerni; widział jeszcze jeden ciężki dźwięk podnoszący się falami z rytmu ziemi, tańczący jak niedźwiedź na łańcuchu, gdy grają piszczałki, a jego pan drażni go grotem włóczni. Na krańcach świadomości czuł ukłucia tej włóczni w ramieniu i łopatkę, potem w kostce i nadgarstku. Czasem Conan powracał z czerni do świadomości i zdawał sobie sprawę, że jest wśród maszerującego legionu, słyszał tupot obutych nóg i szczęk zbroi, czuł, że jego ciało kołysze się w rytm marszu, chociaż sam nie szedł. Podnosił swą ociężałą głowę i spoglądał niewidzącymi oczyma na lektykę niesioną, na ramionach rudowłosych wojowników, a w niej drwiąco zadowoloną twarz Bourtai, niesionego jak cesarza. W końcu udało mu się przezwyciężyć ciemność i zrozumieć otaczające go rzeczy, zdał sobie sprawę, co naprawdę się z nim dzieje. On też był niesiony, jednak nie w lektyce. Miał związane szorstką liną nadgarstki i kostki, a między nie włożona była włócznia, niesiona przez czterech mężczyzn. Wisiał pod nią bezwładnie, machając głową jak gdyby był zwierzęciem zabitym na polowaniu, trofeum niesione, by cierpieć niewolę u czarnoksiężników zwanych wnukami Niedźwiedzia z Niebios.

ROZDZIAŁ IV W NIEWOLI

Życie i opór odezwały się oszalałym dudnieniem w jego żyłach, więc szarpnął całym ciałem za krępujące go więzy. Mężczyźni niosący włócznię zachwiali się tracąc rytm kroku. Jeden z nich zwrócił ku niemu bladą w czerwonym blasku pochodni twarz i Conan ujrzał we wszechobecnej ciemności rudowłosego wojownika. Tamten uderzył go w szczękę ręką sztyletu.

— Spokój, głupcze! — burknął. — Teraz już wiemy, że jesteś fałszywym czarnoksiężnikiem. Niedługo będziesz potrzebował swej siły i fałszywych czarów! Cymmeryjczyk splunął krwią i spojrzał prosto w naznaczone szaleństwem oczy, potem na hełm zwieńczony srebrem—czarnym ogonem śnieżnej pantery, nabijany kłami i pazurami tego zwierzęcia.

— Zapamiętam tego, który nosi jako swe godło tył kota — obiecał cicho.

— Robię tylko to, co mi każą, Conanie — odrzekł tamten spuszczać wzrok. Potem wysunął w stronę jeńca bukłak z napojem, jednak barbarzyńca ciągle patrzył mu w oczy, a w jego wzroku było tyle drwiny i pogardy, że wojownik odwrócił twarz. Conan znowu był sam. Znajomy szczęk i tupot maszerującego legionu pochłaniał go swą monotonią. Wdychał zapach potu, bagna i wzbijany nogami żołnierzy pył. Migotliwe światło pochodni barwiło kiwające się smutnie pióropusze traw na różne odcienie czerwieni. Nie było księżyca, a gwiazdy błyszczały blado, więc zdał sobie sprawę, że był nieprzytomny przez wiele godzin, i że zbliżał się już świt. Czuł świeżość porannego wiatru.

Cymmeryjczyk pozwolił swej głowie zwisnąć bezwładnie do tyłu, by mieć na oku jedwabie okrywające lektykę Bourtai i ogarnęła go fala goryczy. Jego długie włosy wzbijały chmurki kurzu z drogi. No, Conanie, gdzie są teraz twe łupy? Gdzie są złote miasta i twój Crom? Conan parsknął ironicznym śmiechem i blade twarze odwróciły się ponownie w jego stronę, z obawą, nawet strachem spoglądając na olbrzyma.

W końcu szuranie zmęczonych stóp zabrzmiało bliżej w uszach Conana i zauważył, że droga obniżyła się teraz między zielone ściany traw, wysokich tutaj na trzech ludzi, a przed nimi pojawiły się niskie, białe ściany miasta. Stopy zadudniły głucho, a spod mostu czuć było zapach świeżej, czystszej niż bagno wody. Usłyszał wezwanie straży przy bramie, potem miecz uderzył w tarczę i legion szybszym krokiem ruszył między białymi ścianami, na których w równych odstępach migotały pochodnie. W ich świetle widać było metalowe balkony przyozdobione jedwabnymi zasłonami, nigdzie natomiast nie było żadnych wież. Niskie, płaskie dachy tuliły się niemal do ziemi i Cymmeryjczyk skinał z aprobatą. To dlatego nikt nic nie mówił o mieście pośród Zielonego Morza.

Ulica z chodnikami po obu stronach skończyła się, teraz obute stopy wzbijały białą,

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

duszający kurz, cuchnący wielbłądzim łajnem. Po bokach nie było już domów. Przeszli przez kolejną bramę i znaleźli się w mieście namiotów. Skóry zwierząt tworzyły dachy i ściany. Jeden z namiotów był o wiele większy, niż reszta, i w przeciwieństwie do pozostałych pokrytych skórami koni i wilków, ten był z futer drogocennych czarnych lisów z północy.

Właśnie przed nim zatrzymali się niosący Conana, akurat wtedy, gdy niebo zaróżowiło się w oczekiwaniu na pierwsze promienie słońca. Włócznie, na której wisiał założona została na coś, co przypominało mu ruszt i pozostawiono go nadal zwieszono głową w dół. Wraz ze wschodem słońca miasto przebudziło się, a zaraz potem zjawiły się kobiety i dzieci, by go dręczyli i poniżać. Słońce wznosiło się coraz wyżej, oślepiając i wypalając z ciała całą wilgoć. Jednak barbarzyńca zacisnął wyschnięte usta i nic nie mówił, chociaż z bólu, zmęczenia i gorąca świat realny mieszał mu się już z przywidzeniami. Mijały godziny.

Tylko ruchy zbolętych kończyn uświadamiały mu, że znowu jest niesiony. Rozpaczliwie próbował wydobyć z siebie resztki sił, gdyż zdawał sobie sprawę, że jego los wkrótce się rozstrzygnie i czeka go jeszcze jeden, pewnie trudniejszy niż dotychczasowe sprawdzian. Podniósł bolącą głowę i ujrzał łukowatą bramę ozdobioną ludzkimi szczątkami, umęczonymi ciałami i głowami rudowłosych wojowników zamordowanych przez ich panów. Z muru bez zainteresowania przyglądały mu się twarze karłowatych Kitharów.

Przechodzili przez bazar, gdzie handlarze krzykliwie zachwalali swe towary: złoto, miedź, brąz, jedwabie, z niektórych straganów unosił się gęsty zapach przypraw. Małe kobiety Kitharów przechadzały się wolno między stoiskami, ich włosy były długie i błyszczące, a otaczali je mężczyźni w jedwabiach i gromady dzieci obrzucających barbarzyńcę zgniłymi owocami. Później szli labiryntem wąskich uliczek, który wkrótce ustąpił miejsca szerokiej alei, przy której cedry, cyprysy i platany rosły rzucając chłodne cienie na przechodniów, a w różnych odstępach stały szeregi rzeźb przedstawiających niedźwiedzie stojące na tylnych łapach. Po chwili doszli do otoczonego kolumnami pałacu, którego niskie ściany ciągnęły się na dziesiątki metrów w każdą stronę. Mężczyźni niosący Conana upadli na kolana i dalej tak już się poruszali. Conan poczuł, że gorący marmur ociera mu skórę na plecach, domyślił się, że są w pałacu władcy Kitharów i zaśmiał się.

— Dzięki wam, bracia! — drwił ze swych strażników. — Tutaj odpoczną mi trochę nadgarstki i kostki.

Pełzli na kolanach przez korytarz przystrojony jedwabiami, futrami gronostai i wszelkiego rodzaju bronią, nierzadko pozłacaną i wysadzaną drogimi kamieniami. Ciągnąc Conana doszli do dziedzińca, gdzie dzięki dachowi drzew i wonnym fontanom rozpryskującym w suchym powietrzu swe krople, panował miły chłód. Na środku stała niewielka, biała piramida zwieńczona strzelistą kolumną, na której umocowany był złoty trójnóg. W nim spoczywała kula zbierająca całe światło zmierzającego ku zachodowi słońca i zmuszająca Conana do mrużenia oczu. Skierował wzrok na mężczyznę w długiej szacie ze szkarłatnego jedwabiu, klęczącego nad niewielkim ogniem płonącym na stopniach piramidy, z przymocowanymi na głowie wachlarzami przedstawiającymi powiększone wielokrotnie uszy niedźwiedzia.

Mężczyzna kaszlał i śmiał się, nie był to jednak śmiech ani ludzki, ani radosny.

— Wybrali chyba złe zwierzę — szdydził głośno Conan — na pewno miały to być uszy osła!

Nikt mu nie odpowiedział, lecz jeden z rudowłosych wojowników mruknął coś pod nosem przestraszonym głosem i Conan musiał zacisnąć szczęki, by nie krzyknąć z nowego bólu w plecach i spuchniętych od powrozów kostkach i nadgarstkach. Jednak, gdy opuścili dziedziniec i przez spiżowe drzwi weszli do korytarza ze złotymi gobelinami, na jego twarzy pojawił się uśmiech i prosto trzymał głowę.

Po raz pierwszy był niesiony nogami do przodu przez niewolników, którzy na przemian czołgali się na kolanach i bili czołami w pokrytą mozaiką podłogę. Po chwili ujrzał tron, tron Boga Niedźwiedzia. Człowiek, który na nim siedział był obscenicznie gruby, z pokrytymi szminką ustami i barwnikiem nałożonym na powieki, a jego włosy zwisały w długich, namaszczonych olejkami lokach, aż do pokrytych jedwabiami ramion. Uśmiech Conana zmienił się w wilczy grymas na widok władcy Kitharów i bijącego czołem w podłogę przed tronem, małego, zdradzieckiego Bourtai.

Conan posłał wszystkim drwiący śmiech i parsknął na strażników, ponownie bijących pokłony swemu panu.

— Nie ma po co tego robić, niewolnicy wymalowanego człowieka. Nawet ten marmur nie wbije w wasze puste głowy rozumu!

Strażnicy z halabardami stojący wokół tronu wydali pełen złości okrzyk i tarcze

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

zadźwięczały o broje, gdy ruszyli w stronę barbarzyńcy, celując w niego ostrzami swej broni. Mężczyzna siedzący na tronie podniósł tłustą dłoń — obwieszoną pierścieniami, a pomalowane na złoto paznokcie zaświeciły w promieniach słońca, na co strażnicy wrócili na swoje miejsca. Barbarzyńca próbował splunąć w ich stronę, jednak z zaschniętych ust nie spłynęła ani jedna kropla wilgoci. Poczł zimny dotyk stali na płonących gorączką, spuchniętych kostkach i nadgarstkach, i wiedział, że jego więzy opadły.

Śmieszna namiastka wolności! Był bezradny jak okaleczony żebrak bez stóp i dłoni, a krew tłoczłca się do zdrętwiałych członków powodowała okrutny ból. Usta Conana odstłoniły zaciśnięte zęby, gdy zgiął zdrętwiałe kolana próbując się podnieść. Niewładnymi palcami powoli przyciągnął do siebie włócznię, na której był niesiony i przytrzymując ją między przedramionami zaczął wstawać. Nieużywane dawno mięśnie prawie rozrywały mu skórę na ramionach, na szyi pojawiły się stalowe węzły, jednak po chwili, która dla niego była wiecznością, udało mu się stanąć na nogach.

Zrobiło mu się ciemno przed oczyma, a cała komnata zawirowała szaleńczo, jednak nie poddał się, trzymając się prosto, z dumnie uniesioną głową. Stopy, które były jak z kamienia, lecz bolały jak najbardziej czułe na ból miejsca, zostawały na białym marmurze krwawe plamy. Na szeroko rozstawionych nogach, ze świstem wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby, stał wyprostowany przed tronem, a krople krwi z jego ran kapwały na posadzkę. Powoli odzyskując siły w ramionach odrzucił do tyłu grzywę długich włosów i utkwiał spojrzenie w twarzy zniewieściałego satrapy.

Wokół niego, stali drżąc, rudowłosi strażnicy oraz odziani w złoto gwardziści władcy, z wymierzonymi w niego włóczniami. Conan odrzucił włócznię, na której się wspierał. W przytłaczającej ciszy z niesamowitym hałasem potoczyła się po marmurze. Później zabrzmiał śmiech. Gardłowy, z trudem wydobywający się z wyschniętych ust, jednak jasno wyrażający drwinę i odwagę barbarzyńcy.

— Podejdz, mężczyzno zamieniony w kobietę — rzucił w stronę tronu. — Osadz Conana, jeśli masz odwagę!

Rudowłosi strażnicy szeptali zaniepokojonymi głosami, lecz gwardziści nie wykonali żadnego ruchu, nie rozumiejąc słów w nieznanym języku, chociaż wyczuli czającą się w głosie Conana groźbę. Bourtai podniósł twarz w jego stronę i małpimi grymasami próbował go uciszyć, jednak oczy olbrzyma utkwione były wyzywająco w twarzy wymalowanego króla, uśmiechającego się sztucznie i bawiącego się swymi długimi lokami. Na jego czole spoczywał diadem, szczerozłoty, z ogromnym rubinem pośrodku. Dopiero po chwili Cymmeryjczyk zauważył, że krwisty klejnot był figurką stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia.

W komnacie zapadła zupełna cisza. Z jakiegoś innego pomieszczenia dochodziła, niczym szmer fontanny, melodia grana na lutni i kobiecy głos śpiewający coś w nieznanym Conanowi języku. Powietrze było ciężkie i słodkie od aromatu kadzideł. Król skinął lekko głową, a jego wzrok omiół szybko stalowe mięśnie barbarzyńcy, potem klasnął delikatnymi dłońmi. Za tronem rozchyliła się złota zasłona i pojawiło się trzech ludzi lub diabłów — Conan nie miał pewności.

Pierwszy odziany był w czarną jak noc togę, a zamiast głowy miał łeb wielkiego brunatnego niedźwiedzia. Jego strój migotał tysiącem gwiazd i księżyców. Drugi miał głowę węża, a na jego zielonej szacie znajdowała się kryształowa kula, w której tańczyły płomienie i smugi dymu, a w nim przewijały się twarze demonów. Trzeci miał szkarłatną szatę, a na niej złoty trójnóg z kręgiem oślepiającego światła.

Na ich wejście jeden z czarnoksiężników dźgnął lekko Bourtai swą włócznią, a mały czarnoksiężnik zaczął gorączkowo paplać coś w dziwnym języku. Z jego słów Conan wynioskował, że najczęściej powtarzane słowo — Ozark — było imieniem władcy. Gdy czarnoksiężnik skończył, Ozark zdjął diadem z głowy i wyjąwszy z niego rubinową figurkę włożył ją sobie do ust. Potem miękko kobiecym głosem wydał wyrok. Twarz Bourtai zwróciła się w stronę barbarzyńcy, w tryumfalnym uśmiechu odsłaniając zepsute małpie zęby. Trzy razy uderzył czołem o podłogę, nim wreszcie przemówił do Conana.

— Wiedz niewolniku — zaczął pompatycznie — że dzięki swym przechwałkom i dzięki temu, iż Ozark jest miłosierny, sprawiedliwy i...

— Masz za długi język Małpia Mordo — miękko rzucił Cymmeryjczyk. — Gdybym mógł, skróciłbym ci go do rozsądnych rozmiarów.

Twarz Bourtai wykrzywił nieprzyjemny grymas.

— Dzięki mnie, twemu przyjacielowi, nawet w takich opałach zyskałeś szansę uratowania życia! Zmierzysz swe siły z Niedźwiedziem z Niebios, lecz bez broni.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Barbarzyńca spojrział na swe bezużyteczne nadgarstki i kostki, spuchnięte i krwawiące. Na kolana nie drżące i utrzymujące go tylko dlatego, że jego wola była większa, niż siły. Zaśmiał się ciężkim, pogardliwym śmiechem, który w jego spuchniętych ustach brzmiał dziko i nieznanym.

— Oczywiście, przyjacielu — wyszeptał. — Z przyjemnością! Zaprowadź mnie tylko do tego niedźwiedzia, a tak wstrząsnę tronem, na którym siedzi Ozark, że zleci z niego i trochę podrapie sobie to delikatne, tłuste cielsko. Proszę tylko o jedno — wyjdź ze mną na arenę. Potrzebuję... twej magii! Głos czarnoksiężnika stał się lekliwym jękiem, a jego skóra nabrała zielonego odcienia.

— To już postanowione, panie — skomlił. — Moje czary dodadzą ci sił. I udało mi się osiągnąć jeszcze jedno. Spotkasz się z potworem dopiero, gdy trąby ogłoszą godzinę Niedźwiedzia, na którą my, panie mówimy godziną Świni.

Gdy to mówił zabrzmiały bębny i zagrały odległe trąby.

— Wybiła godzina Psa, panie — zadrżał Bourtai — gdy trąby zabrzmiały ponownie...

Conan czuł moc przenikającą wszystkie jego mięśnie. Spojrział na swe dłonie — tylko największym wysiłkiem woli mógł nieco zgiąć palce. Niedługo zdrętwieją zupełnie, a ból przeniknie całe jego ciało.

— Nie za długo — mruknął głośno — moja magia nie potrzebuje tyle czasu i potrzebuję do niej tylko jednej rzeczy. Znajdź mi pleciony skórzany bat, który już nie raz smakował ciałą tych rudowłosych szakali, a już teraz, natychmiast stawię czoła temu niedźwiedziowi i pokonam go. Powiedziałem!

Schował dłonie za plecami, by ukryć ich drżenie, spowodowane słabością, nie strachem.

— Dopilnuj tego, niewolniku — rzucił jeszcze mocnym głosem.

Potem stanął na szeroko rozstawionych nogach, z wysoko uniesioną głową tak, że jego wzrok błędził gdzieś ponad głową zniewieściałego satrapy, siedzącego w swym złotym tronie i nucił coś pod nosem.

Conan wsłuchiwał się w niezrozumiały szept, którym Bourtai tłumaczył jego słowa królowi, kuląc się służalczo u stóp tronu. Udawał jednak, że nic go one nie obchodzą, wpatrując się w jakiś punkt ponad ufryzowaną głową władcy, dopóki Bourtai nie przyniosł mu bicia, jakiego sobie zażyczył.

Potem otoczyły go grotty włóczni i został wyprowadzony przez chłodny dziedziniec, na którym kapłan w nakryciu głowy przedstawiającym uszy niedźwiedzia nadal śmiał się opętańczo u stóp piramidy, potem przez obwieszony futrami korytarz, aż do cienistej alei przed pałacem. Pomimo rozpaczliwych wysiłków Conan potykał się często, a w dłoni trzymającej bat nie miał w ogóle czucia i obawiał się, by nie zgubić swej jedynej broni. Bourtai szedł obok niego często wybiegając krok naprzód, by spojrzeć w twarz swego pana. Jego słowa brzmiały jak jedno pasmo skarg i zawodzeń.

— Nie ufasz mi Conanie — żalił się — ale musiałem zrobić to, co zrobiłem. Gdybym nie kazał cię związać, zabiliby cię na miejscu, leżącego na drodze pod działaniem zaklęć Kitharów. Gdybym nie przemówił w języku ich panów i nie był tak niski, jak ci brodacze, nie posłuchaliby mnie. Powinieneś więc dziękować mi za tę szansę, z którą twoja magia na pewno sobie poradzi.

— Więc wierzysz w moją magię ty bezmózga małpo?

— Czyż mój los nie jest związany z twym? — odparł Bourtai.

— A może ten wyperfumowany głupiec rozkazał to wbrew twej woli? — parsknął Conan.

— Lepiej by było, żeby nie połknął tego rubinowego niedźwiedzia, bo będę musiał otworzyć mu brzuch, by go wyjąć.

Wzrok Conana omiatał zgromadzonych przy alei ludzi, spotykając zalotne spojrzenia kobiet i uniesione brwi mężczyzn. Słońce błyskało na grotach włóczni, gdy wprowadzono go w kolumnadę, a potem w dół kamiennymi schodami do ciężkich, brązowych drzwi. Bourtai paplał coś w języku Kitharów.

— Udało mi się wyprosić chwilę czasu na twe czary panie — szepnął. — Ach, niech będą bardzo silne, inaczej obaj zginiemy!

Cymmeryjczyk mruknął i przełożył bat z ręki do ręki. Czuł, że jego palce nie utrzymają broni. Zwrócił się do małego czarnoksiężnika.

— Przywiąż mi bicz do ręki magicznym węzłem, który ci zaraz pokażę, małpi pomociu. I przywiąż tak mocno, jak kochasz to swoje nic nie warte życie! Później na drugim końcu rzemienia, tylko blisko węzła, zrób pętlę. Ja wykonam teraz swoje własne czary. — Odrzucił do tyłu głowę i wykrzyczał pełnym głosem słowa które wielokrotnie wykrzykiwał przed krwawymi bitwami.

Gwardziści przyglądali mu się z niepokojem i zauważył, że wykonują dziwne gesty, jakby broniąc się przed magią jego słów. Pogłębił jeszcze głos i krzyczał dalej przerywając tylko na chwilę, by zganić Bourtai.

— Ścisłej głupcze, bo ten Niebiański Niedźwiedź połknie cię w całości. Teraz utnij rękojeść bata o którąś z tych włóczni.

Conan wziął pętlę w dłoń, do której przywiązany był rzemień. Nie była ona zbyt duża, mogła związać najwyżej łapę niedźwiedzia. Bourtai przyglądał się jej z dużym respektem, chociaż nie znał jej zastosowania.

— Przygotuję jeszcze jakieś czary dla ciebie, panie — powiedział — nasza połączona magiczna moc...

Conan parsknął lekceważąco, potrząsnął nad głową rzemienną pętlą i podjął pieśń, tym razem w języku, który rozumeli Vanirowie otaczający teraz świątynię, w której się znajdował.

— Spójrzcie, mężczyźni, potomkowie wojowników z Vanaheimu! Patrzcie, jak Cymmeryjczyk wygrywa za was waszą bitwę! Patrzcie, jak zwycięża Niedźwiedzia z Niebios, jak walczy prawdziwy syn północy! Tak, patrzcie, jak wstrząsa posadami niedźwiedziego tronu! Gdy skończy się ta walka, Conan poprowadzi was do zwycięstwa! Skończywszy wziął głęboki oddech, splunął na ziemię i rzekł:

— Jestem gotów.

W tej samej chwili zagrały trąby, a drzwi przed nim stanęły otworem. Conan przeszedł przez nie z kulącym się obok Bourtai, który odprawiał pod nosem uroki, trzymał się jednak blisko barbarzyńcy. W kręgu areny Cymmeryjczyk zatrzymał się słysząc setki oszalałych głosów, z których część wykrzykiwała jego imię. Ile razy słuchał tłumów witających gladiatorów? Nie patrzył jednak na widownię, rozglądał się bacznie wokół siebie. Arena była po prostu zagłębieniem pomiędzy rzędami ławek, jednak mur oddzielający go od oglądających był bardzo wysoki w tej chwili mógł liczyć tylko na siebie i kulącego się z boku Bourtai. Jego ręka sama niemal sięgnęła, by skrócić kark zdrajcy, lecz Bourtai zaczął właśnie rysować na piasku jakieś magiczne znaki, więc Conan wstrząsnął tylko ramionami i zaczął chodzić po arenie długim, sprężystym krokiem, czując powracające siły w mięśniach, lecz potykając się na poranionych stopach. Przeklął i przystanął.

— Teraz, Cromie — powiedział pokornym głosem — wiem, że nie spełniłem jeszcze swej obietnicy. Przyrzekłem ci sto tysięcy chyłących przed tobą czoła, choćbym miał im wszystkim gardła popodrzynać, żeby nabrali rozumu. Pięćdziesiąt tysięcy dałem ci w Turghol, a tu Cromie, tu jest następne pięćdziesiąt. Jednak rozumiesz chyba, że są uparci, i jeśli nie zwyciężę ich bożka, ci głupcy nigdy nie ujrzą twego światła. — Na jego twarzy pojawił się wilczy uśmiech. — Tak więc, Cromie, jeśli pragniesz królestwa, które czcić będzie twe imię, pomóż mi trochę. Choć trochę...

Wzniósł ramiona w ostatnim błagalnym geście i czekał, a tłum szemrał na swych ławkach, aż szepty sięgnęły krzyku. Wtedy otworzyły się spiżowe drzwi, a przez nie wkroczył majestatycznie sam pradziad wszystkich niedźwiedzi. Miał zapadnięte boki, a małe oczka świeciły szaleństwem i głodem. Bestia była tak ogromna w swym rodzaju, jak Conan wśród ludzi. Na widok człowieka uniosła się na tylne łapy przewyższając barbarzyńcę o ponad metr. Cymmeryjczyk przyjrzał się uważnie olbrzymiej piersi zwierzęcia i potężnym, przednim łapom, zakończonym pazurami przypominającymi wielkością szable. Stał jeszcze przez chwilę pośrodku areny.

— Jak widzisz, Cromie — mruknął. — Przyda mi się... nieco pomocy!

Spojrzał na pętlę przywiązaną do swego prawego ramienia i na bestię, która usiadła i siedziała jak człowiek naprzeciw niego. Napięcie przejawiało się w wyężonych do granic możliwości mięśniach jego spiżowego ciała. Powoli ruszył na swych niepewnych stopach w stronę niedźwiedzia, który wciągał szeroko rozwartymi nozdrzami zapach tej zuchwałej istoty, która się do niego zbliżała i wymachiwał swymi ostrymi jak brzytwy pazurami. Potem zwierzę wydało ryk, który zagłuszył wszystkie głosy na arenie. Jego pysk rozwarł się jak purpurowa otchłań otoczona rzędem przerażających kłów.

Conan nie zwinął kroku. Słyszał cienki głos Bourtai mruczącego pod nosem jakieś zaklęcia. Brzmiały wyraźnie teraz, gdy krzyki widzów zamilkły zupełnie. Nie spuszczać wzroku ze zwierzęcia, zbierał w sobie siły, jak chwyta się powietrze po długim przebywaniu pod wodą. Gdy znalazł się trzy kroki od bestii skoczył naprzód. Łapa uzbrojona w pazury rozwaliby jego czaszkę jak orzech, jednak uchylił się przed ciosem i z okrzykiem dorównującym rykowi niedźwiedzia, całym ciałem uderzył w zwierzę!

ROZDZIAŁ V
BÓG NIEDŹWIEDŹ

Z tysięcy gardel wyrwał się okrzyk zgrozy, jednak Cymmeryjczyk słyszał tylko gniewne pomruki bestii, z którą się zderzył. To, co zrobił wydawało się szaleństwem, ale jego atakiem kierował nieomylny instynkt i doświadczenie wojownika. Jego poranione stopy nie pozwoliłyby mu na długie unikanie śmiertelnych pazurów, a dłonie nie nadają się do walki, dopóki nadgarstki się nie zagoją, ale pozostały mu mocarne mięśnie i ramiona, na nich więc musiał polegać. Na nich oraz przymocowanej do nadgarstka pętli.

Skok barbarzyńcy był wymierzony w czasie tak dokładnie, jak cios miecza przepoławiający strzałę w locie. Jego głowa znalazła się przy gardle niedźwiedzia unikając tym samym groźnych kłów. Duszący fetor zwierzęcia zatykał mu oddech, a ostra sierść drażniła skórę. Poczuł uderzające w ramiona potężne łapy i wrzynające się w ciało pazury, lecz paszcza zdolna jednym ugryzieniem skruszyć mu głowę, nie mogła osiągnąć celu. Ramiona Conana otoczyły potężne cielsko bestii. Pętla zamocowana do prawego nadgarstka okrążyła szeroki grzbiet i niezdarne palce lewej dłoni chwyciły ją. Przełożył rękę przez pętlę i zacisnął ją na ciele, łącząc obydwie nadgarstki i nieodwołalnie łącząc się z niedźwiedziem. W żaden sposób nie uwolniłby nadgarstków z rzemiennych więzów. Tego właśnie chciał Conan. Nie docierały do niego żadne dźwięki poza nerwowymi pomrukami zwierzęcia, z którym się zmagał. Czuł wibracje w piersi potwora, brzmiały jak drżenie ziemi pod kopytami szarżującej kawalerii. Niedźwiedź próbował uwolnić się od niego krótkimi, silnymi ciosami przednich łap. Plecy Conana zamieniły się w wielką krwawiącą ranę. Kiedy niedźwiedź zorientuje się, że jego wysiłki nic nie dają, zacisnie przednie łapy na nim i zacznie miażdżyć jego ciało w swym uścisku. Cymmeryjczyk musi być na to przygotowany. Te łapy miały tyle siły, że mogły połamać mu żebra jak suche trzciny, chyba, że jego mięśnie przeciwstawią się im. Muszą wytrzymać!

Conan wbił stopy w pachwiny siedzącego niedźwiedzia, jego głowa nadal skryta była pod szczęką potwora, a ramiona zaciskały się na jego grzbiecie. Wygiął swe plecy w łuk przeciwstawiając się łapom zwierzęcia i powoli zaczął wyzwalać siłę swoich mięśni. To, co chciał zrobić było niemożliwością, lecz była to jedyna rzecz, jakiej mógł próbować. Stosował niedźwiedzią taktykę walki, próbował złamać bestii kręgosłup stalowym uściskiem, zanim zwierzę złamie jego!

W ogromnym amfiteatrze zapadła cisza przerywana tylko sapaniem zmagających się. Patrzący zdali sobie sprawę z zamierzeń barbarzyńcy i z zapartym tchem oczekiwali dalszego ciągu walki. Także Bourtai nie odzywał się ani słowem, patrząc z niedowierzaniem, ale też i nadzieją na walczących, wiedział, że od wyniku starcia zależy jego życie.

Ozark w swej łoży tronowej pochylił się ku arenie, nie zwracając nawet uwagi na trefione loki w nieładzie opadające mu na twarz. Jego mały, różowy język oblizywał nerwowo pomalowane usta. W zapadłej ciszy oddechy widzów brzmiały niczym szum wiatru wśród cedrów.

Pod nimi gigantyczny niedźwiedź zaprzestał już próżnego wysiłku oderwania człowieka od siebie i otoczył Conana swymi mocarnymi ramionami. Wszędzie, gdzie dotknęły ostre pazury plecy spływały krwią z nowych, głębokich ran. Zdawał się być otoczony ze wszystkich stron długą, zmierzwioną sierścią, jednak jego grzbiet nadal trwał napięty jak struna, nie poddając się uściskowi bestii. Wszystkie jego mięśnie były tak dokładnie widoczne, jak gdyby nie były pokryte skórą. Wrażenie to potęgowała także spływająca od ramion po plecach i nogach szerokimi strumieniami krew. Ci, którzy mogli zobaczyć zacisnięte na grzbiecie potwora ręce barbarzyńcy obserwowali, jak wrzynające się w ciało rzemienie przecięły skórę i raniły nadgarstki brocząc krwią gęste futro zwierzęcia. Dłonie Conana były ciemnoczerwone, szkarłatne od spływającego z nadgarstków płynu życia. Cymmeryjczyk odwrócił nieco głowę opartą o klatkę piersiową niedźwiedzia i otwartymi ustami z trudem łapał powietrze. Długa sierść przeszkadzała mu w tym dławiąc go i utrudniając dopływ powietrza. Nie odczuwał już zapachu, nie słyszał dźwięków. Istniała tylko ciemność na przemian z oślepiającą jasnością przed jego oczyma i śmiertelny uścisk. Jednak płuć Conana ciągle jeszcze poruszały się w rytm nierównych oddechów, żebra nie poddawały się niedźwiedzim łapom, a kręgosłup wyginał się nie dopuszczając do przechylenia szali zwycięstwa. Ta chwila trwała całą wieczność, nieruchomy pomnik ku czci nadludzkiej siły. Tak już będzie aż do śmierci. Jeśli nie utrzyma pleców w zgięciu, będzie przegrany, rozgnieciony o pierś bestii. Jeśli niedźwiedź odchyli się do tyłu...

Z piersi tysięcznego tłumu wydarł się jęk. Plecy barbarzyńcy prostowały się. Jeśli nie uda

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia mu się wrócić do poprzedniej postaci, bestia zwycięży. A jak mogło mu się udać? Z pewnością jego mięśnie już dawno przekroczyły granice swoich możliwości, z pewnością po takich męczarniach, jakie przeszedł nie mógł już dłużej wytrzymać zwierzęcej agresji! Prawdą było, że plecy barbarzyńcy wyprostowały się. Na chwilę rozluźnił swe wykute ze stali ciało, jednak zrobił to celowo. Pozwolił ciału odpocząć, jak nurek biorący głęboki oddech przed skokiem do wody, a potem...

Patrzący nie zauważyli żadnej różnicy. Niemożliwe było wydobycie z mięśni jeszcze większej siły, niż ta, którą już pokazał Conan. Nie, ich oczy nie dostrzegły zmiany, ale usłyszeli dźwięk. Niedźwiedź już dawno przestał pomrukiwać, a teraz gdzieś w jego krtani zrodził się odgłos przypominający... skomlenie! Był ledwie słyszalny. Bourtai powstał z niedowierzaniem, a potem wyrzucił nad głowę ramiona w tryumfalnym geście i zaczął śpiewać oszalałym głosem.

Conan także usłyszał ten dźwięk, przez zasłonę ciemności przykrywającą jego umysł i dudniącą w uszach krew. Słyszał go, lecz przez dłuższą chwilę nic on dla niego nie znaczył. Potem tryumf wyrwał z jego gardła szaleńczy ryk. Gdzieś z głębi duszy odezwały się resztki jego stalowej woli i odnalazł w sobie nowe siły. Mięśnie ramion omal nie przerwały naprężonej do granic skóry i niedźwiedź zaskomlał ponownie, tym razem wyraźniej i głośniej. Jego pysk skierowany był teraz w górę, ku pałacemu słońcu!

Patrzący zerwali się na równe nogi krzycząc. Kobiety piszczwały i dały na sobie szaty, a trzymane w pobliżu areny w klatkach drapieżniki, skryły się w najciemniejszych kątach. Mężczyźni oparli się o barierki odgradzające ich od areny, wymachiwali pięściami, a ich twarze były czerwone od ochryplego nawoływania. Okrzyki te wzbijały się ku niebu, to zamierały, wznosiły i opadały, aż w końcu nastąpiła pełna niepokoju cisza. Koniec nadszedł nagle. Niedźwiedź upadł ciężko na ziemię, machając w agonii uzbrojonymi w pazury łapami i wzbijając chmury kurzu, w którym nadal widoczny był zgięty w łuk grzbiet Conana, nieruchomy, świecący od potu i krwi, nieuchronny jak czas.

Niedźwiedź leżał na boku oddychając nierówno i wydając dźwięki, które oznajmiały światu jego strach i ból. Teraz Cymmeryjczyk poruszył się, jeśli można to nazwać ruchem. Nie widać było zmiany w jego postawie, lecz jęki zwierzęcia stały się niemal ludzkie w swym brzmieniu. Jego grzbiet wygiął się w łuk i jak stary, nieużywany, wysuszony łuk pękł. Przytłumione chrupnięcie kości rozniósł się echem po amfiteatrze i w jednej chwili szaleństwo żądnych krwi widzów rozpętało się na nowo. Mężczyźni i kobiety przeskakiwali przez barierę, tańczyli i przekrzykiwali się, a Bourtai podbiegł do Conana i zdjął mu rzemienne pętle z krwawiących nadgarstków.

Cymmeryjczyk gdzieś z oddali słyszał głos małego czarnoksiężnika i mgliście zdawał sobie sprawę z dotyku jego rąk. Jego wycieńczone ciało poruszyło się konwulsyjnie. Oszalałe bicie serca pulsowało mu w uszach, wciągane z sykiem powietrze rozrywało płuca. Ale był wolny! Już nie musiał walczyć. Na Croma, wygrał! Właśnie ta myśl bardziej niż jakakolwiek świadoma wola podniosła go na nogi. Stał wyprostowany nad martwym niedźwiedziem, a z jego gigantycznej sylwetki biła aura mocy. Jego członki pokrywała krew, ludzka krew. Górował nad tłumem niskich, brodatych mężczyzn, lecz nie zauważał rzucanych mu przez kobiety pod nogi klejnotów, złota.

— Tak Conan zniszczy wszystkich, którzy mu się przeciwstawiają! — powiedział. — Oddajcie mi pokłon, głupcy!

Nie zdawał sobie jednak sprawy, że mówi po cymmeryjsku i nikt wokół go nie rozumie. Zrodzone z tryumfu resztki sił opuściły go nagle i upadł twarzą naprzód na leżące zwierzę. Ozark siedzący w swej łoży podniósł dłoń, by dotknąć świecącego na pokrytym potem czole rubinowego niedźwiedzia, a jego oczy straciły ognisty blask. Dał gest swą wymuskaną dłońią i stojący obok niego heroldzi zadęli w trąby, a gwardziści uderzyli grotami włóczni o tarcze. Ludzie zgromadzeni w amfiteatrze ucichli i zwrócili się w stronę łoży, w której ich władca stanął i zaczął mówić.

— Barbarzyńca walczył wspaniale — ogłosił. — Czarnoksiężnikowi, którego jest niewolnikiem, i którego magia rozstrzygnęła ten pojedynek, przyznajemy w nagrodę miejsce i honory w Świątyni Niedźwiedzia. Oprócz tego Bourtai jest od dzisiaj katem niedźwiedziego tronu. Postanowiliśmy!

Trąby zagrały znowu i tłum rozstał się wokół stojącego przy Conanie Bourtai. Mały czarnoksiężnik uśmiechnął się przebiegle i rzucił na siebie drobny czar, dzięki któremu przedstawiał się patrzącym jako postać odziana w złote szaty, a nie ubłocone łachmany, dodając jeszcze kilka płomieni nad swą głową. Na ten widok zdumiony tłum wycofał się jeszcze dalej, a potem rzucił się do ucieczki. Bourtai stał samotnie na arenie, a obok niego

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia leżał nieprzytomny Conan i martwa bestia. Po chwili jednak otoczyli go brodac strażnicy z wymierzonymi w niego włóczykami.
— Zabieramy cię czarnoksiężniku do Świątyni Niedźwiedzia — mruknął ich dowódca. — Najpierw jednak musimy skuć tego potężnego niewolnika.

Conan odczuwał dziejące się wokół niego rzeczy jako dręczący jego wyczerpany umysł sen. Jego nadludzkie siły osiągnęły w końcu kres swoich możliwości, a jego sen był tak bliski śmierci, jak jej rodzony brat. Bourtai po uwolnieniu go z łańcuchów, opatrzeniu swych ran i długiej kąpieli z obawą zasiadł przy nieprzytomnym barbarzyńcy. W białym, niewielkim budynku, do którego ich zaprowadzono unosił się ciągle śpiew czarnoksiężnika, a wonne smugi dymu uchodziły przez otwór w dachu. Była to świątynia Niebiańskiego Niedźwiedzia, kata Kitharów w mieście-wyspie na Zielonym Morzu, w języku tubylców zwanym Fahrgo. W końcu Conan zbudził się ze swego długiego snu słysząc ożywioną rozmowę. Rozpoznał syczący głos Bourtai, wykrzykującego niezrozumiałe zdania i miękki kobiecy szept, delikatny, lecz zawierający w sobie taką groźbę, że barbarzyńca w jednej chwili usiadł, szeroko otwierając oczy. Poczł odrętwienie i ból gojącego się ciała, lecz po chwili zapomniał zarówno o nim, jak o prowadzonej w pobliżu rozmowie. W oszołomieniu rozglądał się po otoczeniu, w którym się znajdował.

Stwierdził, że spał na miękkim jedwabnym posłaniu, przykryty także jedwabiem, i że jego ciało jest nagie oprócz umocowanego na szyi złotego łańcucha zakończonego figurką z czerwonego jadeitu, przypominającą mu te idiotyczne piktogramy, jakie widział na starych kambujańskich pomnikach w Angkhor. Sama komnata była przestronna, z wysokim, zabarwionym różowo sklepieniem, a w oknach wisiały blokujące dopływ światła arras z soczystozielonej materii.

Podniesiony głos kobiety dobiegający z sąsiedniej komnaty, ponownie zwrócił jego uwagę. Conan podniósł się z posłania i kulejąc ruszył w tamtą stronę. Tam, gdzie poszarpały go pazury niedźwiedzia miał ogromne, zielonkawe blizny obramowane ognistą czerwienią. Przeklął soczyście, gdy pracujące mięśnie naciągnęły niewygojoną skórę i krew popłynęła z otwartej rany na nodze. Conan odrzucił zieloną kurtynę wiszącą w drzwiach i ujrzał gestykulującego żywo czarnoksiężnika, i kobietę o złotych włosach spływających na ramiona, niczym jedwabny tren.

— Wyrzuc ją Małpia Mordo — rzucił ochryple — muszę się jeszcze trochę przespać. Bourtai odwrócił się z radosnym okrzykiem, patrząc z czułością na barbarzyńcę, a jego twarz rozjaśnił grymas uśmiechu. Wzrok Cymmeryjczyka był jednak twardy, a wokół jego oczu pojawiły się nie wróżące nic dobrego zmarszczki na widok bogatych szat czarnoksiężnika, przyozdobionego klejnotami pasa i zatkniętego zań sztyletu. W jego głowie pojawiło się wiele mglistych wspomnień. Przypomnił sobie kobiety rzucające do jego stóp złoto i szlachetne kamienie, i zdawało mu się, że pamięta ten inkrustowany sztylet i rubinową spinkę przytrzymującą pod szyją togę czarnoksiężnika.

— Więc to tak, złodziejskie nasienie — warknął — obrabowałeś mnie podczas snu! Bourtai przyskoczył do niego z rozłożonymi w pojedynczym geście ramionami rzucając kobiecie ukradkowe spojrzenie.

— Nie, panie — szepnął. — Czyż twój niewolnik może zrobić coś, co nie przynosi korzyści jego panu? Nie zwracaj uwagi na tę kobietę z obozu. Są tysiące takich, które chciałyby poślubić cię wnosząc w wianie ogromne bogactwa i władzę. Jutro, gdy dokonasz wyboru staniesz się wielkim panem, panem Fahrgo!

Conan przyjrzał się bliżej kobiecie znad głowy maga. Na jej karminowych ustach błąkał się zagadkowy uśmiech, a jej wzrok prześlizgiwał się po muskularnym ciele czarnowłosego giganta. Szybkim ruchem zerwał jedną z błyskotek z szaty Bourtai i rzucił ją kobiecie.

— Nie, panie, ona cię nie rozumie — służalczo rzucił czarnoksiężnik — musisz z nią rozmawiać przeze mnie.

— Rozumiem wystarczająco dobrze — powiedziała powoli głębokim głosem — że jesteś łgarzem i złodziejem, Bourtai. Wiedz potężny wojowniku, że ten śmieszny kuglarz przypisuje swoim czarom pokonanie wielkiego Niedźwiedzia z Niebios i twierdzi, że ty jesteś niczym więcej, jak tylko bezmyślnym sługą wykonującym jego polecenia. A co do tego — celnie odrzuciła błyskotkę trafiając w pierś Conana. — To nie jestem kobietą z obozu, lecz uczciwie przyszedłam w konkury. Nie miałam dotąd mężów, gdyż zanim ty się zjawiłeś, nie było w całym Fahrgo nikogo godnego Złotej Vanessy!

Odwróciła się i ruszyła wolno w stronę zasłoniętych kurtyną drzwi. Miała wąskie, białe stopy, a srebrne bransolety na jej kostkach delikatnie podzwaniały w takt jej kroków. Conan zaśmiał się gromko.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— Więc w Fahrgo to kobiety wybierają sobie mężów? Nie dziwi mnie teraz, że rządzi nimi ten słabeusz, a ich rasa jest skarlała! Teraz już wiem, że przywiódł mnie tu Crom! To jest kraj, który powinienem zdobyć i władać nim ku jego chwale! Hej, złotowłosa Vanessa, będziesz pierwszą w mym haremie!

— Uważaj na swe słowa głupcze! — syknął Bourtai.

Conan chwycił go za szatę na piersi i bez wysiłku uniósł do góry potrząsając nim, jak kukłą.

— To ja jestem twoim niewolnikiem, małpi pomocię? — ryknął.

Oczy Bourtai ciskały błyskawice, a w jego małej, pomarszczonej dłoni pojawił się ozdobny sztylet dotykając ostrzem piersi Conana.

— I możesz być martwym niewolnikiem! — parsknął złowieszczo. — Głupcze, uratowałem ci życie! Czy myślisz, że Ozark pozwoliłby tak potężnemu wojownikowi poruszać się swobodnie po mieście? Mnie się nie boi, gdyż jego magia jest silniejsza niż moja i nie będzie się obawiał ciebie, dopóki będzie przekonany, że jesteś tylko narzędziem w moich rękach. Jeśli ta kobieta...

— Do diabła z nią — zaklął barbarzyńca i nie bacząc na sztylet potrząsnął czarnoksiężnikiem. — A teraz, na Crom, nędzny robaku, jeśli mnie oszukasz...

— Obaj będziemy martwi — ponuro dokończył Bourtai.

Na ustach Conana pojawił się uśmiech.

— Jesteś podstępny złodziejem Bourtai i wiem, że poderżnąłbyś mi gardło, gdybyś miał z tego jakąś korzyść. Ale są chwile, gdy myślę, że w twoim nędznym, małym ciele jest gdzieś serce... półczłowieka — delikatnie postawił wysuszonego czarnoksiężnika na podłodze — poza tym przydają mi się twoje czary i język. Powiedz prawdę choć raz w swym nędznym życiu. Kim jest ta kobieta o włosach kapłanek z Angkhor i zachowaniu księżniczki? — Nigdy nie słyszałem o kapłankach z Angkhor — mruknął Bourtai poprawiając wymięte szaty.

Oczy Conana przeszukiwały pokój i zatrzymały się na złotej wazie wypełnionej po brzegi owocami. Podeszedł do niej sprężystym krokiem.

— Potrzebuję surowego, krwistego mięsa, Bourtai, zajmij się tym. Aha — mówił z ustami pełnymi owoców, a sok ściekał mu po brodzie — kapłanka z Angkhor to kobieta dostarczająca uciech, kuglarzu, a ich włosy farbowane są na jasno z edyktu cesarza, żeby nie zlewały się z uczciwymi kambujańskimi damami, przynajmniej tak to uzasadniono. Ja jednak myślę, że damy z Angkhor po prostu nie chcą konkurencji. A teraz mów, Bourtai, tylko prawdę, bo zapomnę, że masz w sobie serce półczłowieka i wyrwę ci je.

Mag cierpkim tonem wyjaśniał olbrzymowi w jaki sposób z rozkazu Ozarka został królewskim katem, w miejsce niedźwiedzia.

— W ten sposób odziedziczyliśmy bogactwa kata niedźwiedziego tronu, czyli skarby tych, których zabił, a ty możesz wybrać sobie kobietę i przez małżeństwo zostać murai. Ta Vanessa, mimo tego, co mówi nie jest nikim więcej, niż kobietą z obozu.

— Nie, gdybym chciał zostać niewolnikiem kobiety, to była przecież ta żółtowłosa czarownica z Turghol — zaśmiał się Conan zacierając dłonie. — Ale czy tutejsze wielkie panie biorą sobie za mężów niewolników? Ha, szcurza mordo, już wiem! Muszą kupić ode mnie mojego pana, małego Bourtai!

— Tobie także przyniesie to bogactwo, panie — mag drgnął, lecz odważnie patrzył w twarz Conana. — Ostrzegam cię, że walka może się tutaj zakończyć tylko śmiercią. Kapłani władają tu potężną magią.

— W Turghol było siedmiu czarnoksiężników, którzy mieli dziesięć tysięcy niewolników. Kto tam zwyciężył? — rzucił Cymmeryjczyk.

— Ty, panie — odparł ponuro Bourtai. — Ale na drodze do Fahrgo jedna chmura sprawiła, że byłeś jak martwy, a nie była to największa ze sztuczek, jakimi dysponuje Ozark. Brwi barbarzyńcy drgnęły lekko. Wojownik zaczął przemierzać pokój długimi krokami, przeklinając pod nosem ból swego pokaleczonego ciała. Nie będzie niewolnikiem Bourtai, nawet tylko z nazwy, ani nikogo innego, choćby miał wywalczyć sobie wolność gołymi rękoma przeciw całej ich magii. Co do tych kobiet kupujących sobie mężów, to nie chce żadnej z nich, chociaż... ta złotowłosa Vanessa z jej manierami księżniczki... Odsunął na bok zieloną kurtynę zasłaniającą okno i zmrugał oczy przed białym światłem słońca. Gdzieś w dali zabrzmiały trąby.

— Godzina Koguta — szepnął Bourtai — pójdę teraz po to krwiste mięso, którego sobie życzysz.

— Jeszcze z tobą nie skończyłem pokurczu — warknął Conan. — Zostań.

Jego oczy przebiegły po przestrzeni otaczającej willę Niedźwiedzia. Kilka drzew rzucało

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

czarne cienie na białą ścianę. W odległości stu kroków stał szereg brodatych wojowników w hełmach, z tarczami i włóczniami w dłoniach. Złota Vanessa przechodziła właśnie między nimi. W dali widział szeroką ulicę wyznaczoną rzędami posągów i pałac Ozarka, a nad nim ognisty blask, który mógł pochodzić z kuli umieszczonej na trójnogu, na szczycie piramidy. Odwrócił się niecierpliwie od okna i zauważył, że małego maga nie ma w komnacie.

Zaklął i rzucił się do wyjścia, ale zatrzymał się w pół kroku. Niech idzie, mały szczur. O wielu rzeczach musiał jeszcze pomyśleć i łatwiej mu będzie bez ciekawego zawodzenia i jęków tego małego głosu. Wszystko, co widział w tym mieście, podsycalo jego chęć do zdobycia go. Fahrgo było bardzo bogate, potężny legion barbarzyńców, no i magia Ozarka...

Conan wrócił do okna i z radością spojrzął na leżące pod ścianą łuk i miecz. Z zadowoleniem ujął w dłoń znajomą rękojeść, ciął kilka razy w powietrzu, by nacieszyć uszy świstem ostrza. Skrzywił się czując kłujący ból w nadgarstkach, ale po chwili ucieszył się, że ma czucie w rękach. Był gotowy do walki i nagle wiedział już, że musi nadejść jakaś bitwa.

— Na Croma — mruknął, ponownie spoglądając na bogatą fasadę pałacu Ozarka — to miasto musi być moje! Zresztą — na jego ustach pojawił się uśmiech — muszę przecież spełnić daną Cromowi obietnicę. — Bóg wspomógł go na arenie.

Stał, jedną dłonią podtrzymując zasłonę, w drugiej dzierżąc miecz, z uniesioną głową i odważnym spojrzeniem swych błękitnych, jastrzębich oczu. Patrzył już na to miasto, jak na swoją własność, ale było przed nim jeszcze dużo walki. Nie wystarczy zabić; będzie musiał zmusić tych czarowników do zdradzenia ich mrocznych sekretów. Z ich pomocą będzie w stanie podbić plemiona ze stepów, a nawet Turghol nie będzie poza zasięgiem. Potem Imperium Kambuji. W jego żyłach płynęła krew barbarzyńców z północy. Znał legendy o wielkich królach i wodzach, którzy podbili zachodni świat. Ale żadnemu z nich nawet nie śniły się bogactwa, jakie leżały tutaj, w zasięgu ręki. Conan zaśmiał się cicho i dumnie uniósł głowę. Wywodził się z krwi zdobywców, o jego podbojach będą śpiewać po wiekach.

Wesołe okrzyki i śmiechy strażników strąciły go z chmur na ziemię. W palącym blasku słońca ujrzął dziwną scenę. Pierścień straży był przerwany, a wszyscy brodaci wojownicy stali uderzając mieczami o tarcze. Przez lukę między nimi przebiegała właśnie kobieta w zwiewnych szatach. Jej złote włosy powiewały na wietrze, a za nią podążała z niebezpieczną gracją śnieżna pantera. Jej srebrzyste futro lśniło w blasku słońca, a cętki były czarne jak kamień, który ludzie w Kambuji wydobywali z ziemi i palili. W rozwartej, czerwonej paszczy, widać było długie kły pokryte pianą wściekłości. Z każdym krokiem zwierzę zbliżało się do uciekającej kobiety.

Jej twarz błagalnie spoglądała w okno, z którego wyglądał Conan i ze zdziwieniem rozpoznał w niej Złotą Vanessę. Usłyszał jej pełen strachu głos:

— Ratuj mnie Conanie, ratuj!

Coś w tej dziwnej pogoni wzbudziło wątpliwości w umyśle barbarzyńcy. Uzbrojeni strażnicy przyglądali się tej scenie, zachęcając jeszcze bestię okrzykami. Przeszło mu przez myśl, że może śnieżna pantera była tu czczona na równi z niedźwiedziem. W Kambuji było wielu ludzi, którzy nie zabiliby żadnej żywej istoty, nawet węża zagrażającego ich dzieciom. Była to jednak tylko przelotna myśl, a mięśnie barbarzyńcy były już gotowe do działania. Długim skokiem przez okno znalazł się na placu. Z jego gardła wydobył się bojowy okrzyk, a potężny miecz błysnął w oslepiającym słońcu. Bestia na chwilę zatrzymała się spoglądając na niego, lecz zaraz podjęła pogoń za kobietą. Vanessa jednak słysząc krzyk Cymmeryjczyka rzuciła się w jego stronę. Ostatnim zrywem uniknęła kłapiących tuż za nią kłów i przebiegła obok barbarzyńcy, który natychmiast stanął na drodze drapieżcy. Wyprowadził swym mieczem cięcie zdolne przepołowić zwierzę, jednak opadające ostrze zgrzytnęło na stali. Conan zaklął zdziwiony i odskoczył do tyłu, by przygotować się na kolejny atak bestii. Nagle przed jego oczami nie było już śnieżnej pantery, lecz wojownik z legionu rudowłosych barbarzyńców. Miał na sobie żelazny hełm ozdobiony puszystym ogonem zwierzęcia, które przed chwilą stało na jego miejscu, a przed twarzą miał przymocowaną szczękę drapieżnika. W jego oczach czaiła się nienawiść dorównująca szaleństwu i pianie na kłach bestii. Conan wiedział, że ponownie miał do czynienia z czarami, ale pewnie trzymał broń przed swym nagim ciałem. W stojącym przed nim wojowniku rozpoznał tego, który uderzył go w twarz, kiedy wisiał bezzadnie na włóczni i roześmiał się dziko, wywijając mieczem świszczące kręgi.

— Fałszywa bestio — krzyknął. — Wspomnij o tym, gdy spotkasz się ze swymi bogami!

Conan powiedział ci, że będzie pamiętał!

Z tymi słowami rzucił się do ataku, ale człowiek-pantera uchylił się zwinnie, a zraniona noga Cymmeryjczyka ugięła się pod jego ciężarem. Potykając się ujrzął tryumfalny grymas na

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

częściowo ukrytej za hełmem twarzy przeciwnika i uniesiony do śmiertelnego ciosu ogromny dwuręczny miecz, który mógł rozplątać mu czaszkę jak dojrzałego melona.

Conan nie myślał w czasie bitwy. Jego ciało i mózg współpracowały ze sobą w połączonym, natychmiastowym działaniu bez wysiłku, jak ciągły oddech huraganu. Nawet upadając na kolana rozważał swoje szansę. Jego miecz mógł wytrzymać cios, nie chciał jednak zdawać się na przypuszczenia. Jego ostrze ze świstem opadające na uskakującego w bok wojownika błyskawicznie zmieniło kierunek i wystrzeliło do góry z niewiele mniejszą siłą. Zdawało się, że ledwo musnęło mocarne przedramiona jego przeciwnika, którego ostrze opadało na głowę Conana. Miecz tamtego zmienił jednak kierunek w powietrzu i wbił się w ziemię za plecami olbrzyma. Drgająca broń uderzyła go płazem i nawet to wystarczyło, by pozbawić go tchu w piersi. Jeszcze przez chwilę dłonie szalonego wojownika obejmowały rękojeść miecza, potem ich chwyt się rozluźnił i opadły na ziemię — gdyż nie były już częścią jego ciała.

Wojownik w hełmie ozdobionym futrem pantery patrzył niewidzącymi oczyma na swój drżący miecz. Potykając się o Conana ruszył w stronę swoich odciętych dłoni. Dopiero, gdy po nie sięgnął, zdał sobie sprawę ze strumieni krwi płynących z kikutów i barwiących na szkarłatno żółty piach. Wtedy krzyknął przeraźliwie i rzucił się przed siebie z okaleczonymi rękami uniesionymi nad głowę. Cymmeryjczyk z dzikim okrzykiem na ustach cisnął w ślad za nim odrąbanymi dłońmi. Po chwili wojownik upadł i nie poruszył się już, zapadając w ciemność śmierci.

Conan zmarszczył czoło patrząc na kulącą się pod ścianą jego domu Vanesę, uśmiechającą się bojaźliwie. Kobieta podeszła do niego i upadła na kolana, by pocałować jego nagie stopy. Nie wiedząc co o tym myśleć Conan sięgnął swym mocarnym ramieniem, by ją podnieść. Gdy to uczynił ujrzał na jej twarzy uśmiech radości i nie zdołał obronić się przed oplatającymi jego szyję ramionami.

— Zaprawdę — wyszeptła — jesteś wielkim i szlachetnym człowiekiem mój mężu.

— Jest tutaj wiele rzeczy i uroków, których nie rozumiem — mruknął Conan — i... na złote kły Agrymaha, jak mnie nazwałaś?!

— Mężem — odparła Vanessa spuszczać wzrok i drżąc lekko w jego uścisku.

— Nie drwij ze mnie kobieto — miękko powiedział Cymmeryjczyk. — Ta stał radzi sobie równie dobrze z gładkimi gardłami!

— Ależ nie drwię, wielki Conanie. — Vanessa próbowała mu się wyrwać, a jej oczy napotkały jego groźne spojrzenie. — Zdobyłeś mnie prawem walki i łupu, zgodnie z obyczajami panującymi w Fahrگو, według których muszę zostać albo twą niewolnicą, albo żoną. Ucałowałam twe stopy jak niewolnica, a ty, najszlachetniejszy z ludzi, uniosłeś mnie z ziemi i wzięłeś w ramiona jak żonę!

Conan zaklął i spojrzał na śmiejących się brodatych strażników, z dużym respektem spoglądających jednak na leżące u swych stóp zwłoki. Conan gniewnym gestem wskazał na drzwi domu.

— Wchodź do środka kobieto — rzucił szorstko. — Znajdziemy jakieś wyjście z tego wariactwa.

— Pójdę gdziekolwiek rozkażesz mężu — powiedziała łagodnie, spuszczać skromnie wzrok. — Lecz nie myślałam jeszcze o pójściu do mego małżeńskiego łóża.

Z tymi słowami odwróciła się i z utkwionymi w ziemi oczyma weszła do domu, który kiedyś był własnością niedźwiedzia, a który teraz był schronieniem Cymmeryjczyka. Conan nadal klął strasznie, nie mógł jednak ukryć pomruku aprobaty, gdy patrzył na jej smukłą sylwetkę.

— Cromie, przyślij mi natychmiast tę małpę o paskudnym pysku — mamrotał. — Niech piekło pochłonie twą czarną duszę, Bourtai, gdzie jesteś, gadzie!

Potem, ponieważ brodaci strażnicy z ciekawością mu się przyglądali i ponieważ nie mógł myśleć o niczym innym, niż o gotującej się w jego mózgu wściekłości, wytarł do sucha miecz o leżące na piachu zwłoki i wszedł do swego nowego domu, gdzie oczekiwała na niego jego niespodziewana, ale mimo to piękna żona. Powiesił miecz na ścianie. Bourtai nie wracał. Czas mijał, a Bourtai ciągle nie wracał.

ROZDZIAŁ VI

SPISEK

Conan przeciągnął swe gigantyczne ciało na jedwabnej sofie, strząsając z siebie resztki snu, podczas gdy Vanessa rozczesywała splątane włosy na jego głowie.

— Naprawdę jesteś tak potężny, jak mi mówiono, mój panie — szepnęła. — Nie ma nic, czego nie mógłbyś zrobić, a mimo to jesteś taki dobry dla biednej dziewczyny, która jest

twą... twą żoną.

Twarz Conana rozjaśnił uśmiech i otworzył nieco oczy, by spojrzeć na zarumienioną twarz dziewczyny.

— Nie mam nic przeciwko tobie — powiedział w zakłopotaniu. — Tylko wydawało mi się, że mnie oszukujesz. Nie należę do łagodnych, kiedy się mnie oszukuje.

— Oh, panie, nigdy bym się nie ośmieliła cię oszukiwać! — oczy Vanessy rozwarły się szeroko.

— To bardzo mądrze z twojej strony, Vanesso. Przygotuj mi coś do jedzenia.

Cymmeryjczyk z przyjemnością obserwował jej zwinne ruchy, gdy podniosła się z postania.

— Nie — powiedziała — nie jestem mądra. Jestem tylko biedną dziewczyną, ale cieszę się, gdy mój pan jest zadowolony — zawahała się i spojrzała w jego stronę. — Czy gdy staniesz się jeszcze potężniejszy wielki Conanie, nadal będziesz ze mnie zadowolony? Kiedy zostaniesz... tak, myślę, że możesz nawet zostać szlachcicem w Fahrگو! Na pewno cię na to stać.

— Zwykłym szlachcicem z Fahrگو? Myślisz, że na to tylko mnie stać — zachnął się Conan zrywając się z sofy i zaciskając wielką jak maczuga pięść. — Tak będę trzymał całe Fahrگو, w garści. Jeśli zechcę, zrzucę Ozarka z tronu...

— Och, ostrożnie panie! Nie wolno mówić tak o Wnuku Niedźwiedzia! Nawet tobie nie wolno!

— Nie wolno! — Cymmeryjczyk parsknął szyderczym śmiechem — poderwę do walki barbarzyński legion i podzielę między nich skarby miasta. A temu nadętemu królikowi odetnę głowę!

Vanessa rzuciła mu się w ramiona.

— Ach! Wiem panie, że twe serce drży na widok losu, jaki spotkał twych pobratymców.

— Właśnie — przytaknął Conan. — Łupy nie są takie ważne.

— Błagam, mężu i panie, uważaj na swe słowa. Kapłani mają długie uszy!

— Nie dbam o uszy osłów — odparł barbarzyńca.

— Ale magia Ozarka...

— Moja magia wystarczy za tysiąc jego czarów, gdy będę gotów!

— Zlituj się panie! — Vanessa upadła na kolana obejmując błagalnie jego nogi. — Jeśli kapłani zabrają cię, mój los będzie... straszny. Mówię prawdę panie. Pochyl się, bym mogła mówić szeptem.

— Mów więc! — burknął Conan, jednak przysunął głowę do jej ust, a jego oczy uważnie lustrowały otwory okien i drzwi.

— Kapłani długich uszu, których widziałeś — szeptała — słyszą wszystko, nawet przez kamienne ściany, a płonąca, szklana kula znajdująca się na piramidzie, w atrium pałacu Ozarka, mówi królowi skąd mają nadejść kłopoty. Rubinowy niedźwiedź, którego nosi na czole, daje mu ogromną mądrość, kiedy Ozark trzyma go w ustach! Wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy spojrzą mu w oczy muszą wypełniać jego wolę!

— Kłamstwa, wszystko to kłamstwa dla przestraszonych niewolników — niepewnie odparł Conan.

— Nie, o wielki, twoja magia jest ogromna, ale magia Ozarka jest jeszcze potężniejsza!

Conan odsunął od siebie dziewczynę i zaczął nerwowo przemierzać komnatę.

— Na Croma, ten Ozark...

— Och, błagam, panie! — krzyknęła cicho Vanessa.

Cymmeryjczyk spojrzął szybko na zasłonięte jedwabiem okno, w którym kurtyna zdawała się lekko falować. Ruszył w tamtą stronę, chwytając po drodze swój potężny miecz, jednak odrzuciwszy zasłonę nie zobaczył nikogo, poza oddalonymi znacznie brodatymi strażnikami i rozpaloną do białości kulą słońca. Szybko wrócił do dziewczyny z mieczem wciąż ściśniętym w dłoni.

— Powiem ci coś i zachowaj to w sercu — powiedział przyciszając nieco swój grzmiący głos. — Nie wydaje mi się, by magia Ozarka była potężna, jednak, jeśli nawet tak jest, to moja jest jeszcze silniejsza. To — uderzył zaciśniętą pięścią w pierś tuż nad zawieszonym na szyi amuletem.

— Ten magiczny amulet, przezwycięży każde czary Ozarka. Ten, kto go posiada i wierzy... Nie, te uszy i jasnowidzące oczy to tylko przesady i kłamstwa, by przestraszyć niewolników!

W błękitnych oczach Vanessy błysnęło zaniepokojenie, ale szybko ukryła je, i przyjrzawszy się uważnie zawiniętemu w jedwab kawałkowi kryształu spojrzęła na barbarzyńcę wzrokiem

pełnym uwielbienia.

— Ty wiesz wszystko, panie — powiedziała pokornie — ale w tym, co mówią, musi być trochę prawdy. Gdy z łatwością uciekłeś diabłowi wysokich traw, czyż nie wydał on przenikliwego krzyku. I czy legion wojowników nie przybył wkrótce potem.

— Rzeczywiście, to był diabelski krzyk — Conan zmarszczył czoło na to wspomnienie.

— A kiedy zabiłeś wszystkich Kitharów na Drodze do Niebios, czyż jeden z nich nie krzyknął sprowadzając samego Niebiańskiego Niedźwiedzia, który sprawił, że padłeś jak martwy?

Conan nerwowo zaciskał dłoń na rękojeści i w zamyśleniu kiwnął głową.

— Było tak, jak mówisz, ale skąd możesz to wszystko wiedzieć?

— Wszyscy w Fahrgo to wiedzą, panie — szepnęła Vanessa. — Gdyż kapłani usłyszeli krzyk, a Ozark zapytał płonącego kryształu co się dzieje, a kula opowiedziała mu o wydarzeniach odległych o dzień marszu od miasta na Drodze do Niebios.

Cymmeryjczyk zaklął, a w jego oczach pojawiło się zmartwienie. Przypominał sobie krzyk — który nawet, gdy przebrzmiał pozostawiał ból w uszach — i szybkość, z jaką nadeszła pomoc. Na Croma, musiała przybyć w odpowiedzi na zew! I jak, jeśli nie za pomocą magii Ozark mógł wiedzieć o tym wszystkim? Zaklął ponownie, a potem zaśmiał się, nie był to jednak śmiech beztrouski.

— Ja i mój amulet przewycięzaliśmy już groźniejsze czary — powiedział. — I nie boję się ani waszego Ozarka, ani jego kapłanów z osłimi uszami. — Stał pośrodku komnaty i dodał z wilczym grymasem. — Jeśli Ozark wie wszystko, to wie już, że mam zamiar oddzielić jego miękką tłuszcz od kości i odebrać mu jego miasto.

— To możliwe, panie. Myślę, że nawet pewne!

Conan odrzucił do tyłu swą płomienną grzywę i ryknął potężnym śmiechem, od którego zdrząły ściany.

— W takim razie, Vanesso, Ozark musi się mnie obawiać! Gdyby nie to, zabiłby mnie już dawno! Moja magia jest potężniejsza niż jego!

W komnacie rozległy się odgłosy uderzeń mieczy o tarcze, na co Conan rzucił się do drzwi z mieczem gotowym do ciosu. Za nim Vanessa wydobyła sztylet z ukrytej kieszeni swej szaty i stanęła obok niego chowając broń za plecami.

— Możliwe, że właśnie po nas idą panie — szepnęła. — Może obawiają się twej mocy, lecz wydaje mi się, że nie dlatego tak długo zwlekali.

Barbarzyńca wydał gniewny pomruk, patrząc na strażników uderzających mieczami o tarcze. Vanessa mówiła dalej:

— Myślę, że zwlekali, by nauczyć się od ciebie twej magii, zdolnej pokonać diabły z traw, magii, dzięki której zabiłeś tych Kitharów na drodze, z którą mógł się mierzyć jedynie sam Niebiański Niedźwiedź. Ozark jest przebiegły i mądry, gdyż wyssał wszystkie prawdy z rubinowego niedźwiedzia. Jeśli mógł tego dokonać jeden człowiek, to na pewno jest wielu innych do tego zdolnych, a Fahrgo jest w niebezpieczeństwie. Strzeż bacznie swych sekretów panie, jeśli teraz nas nie zabiją. Nawet nie śnij o nich w nocy, gdyż magia Ozarka zdolna jest wyrzeć je z twego mózgu!

Conan uniósł dłoń i zacisnął ją na amulecie, następnie odrzucając zasłaniającą drzwi kurtynę wyszedł i zostawił dziewczynę samą w komnacie. Vanessa odprowadziła go wzrokiem. Barbarzyńca zmrużył oczy nieprzyzwyczajone do ostrego blasku słońca. Przed sobą ujrzał klęczącą kobietę i czwórkę dzieci bijących czołami w piach. Kobieta trzymała w dłoniach ozdobiony ogonem śnieżnej pantery hełm. Conan rozluźnił mięśnie nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, lecz jego oczy groźnie spoglądały na szereg brodatych strażników. Nie okazywali żadnego zainteresowania. Zrozumiał teraz, że Vanessa zagrała na jego uczuciach. Ale zrobiła to z miłości, z obawy o jego życie.

Conan podszedł do klęczącej kobiety. Wrzucił miecz do pozłacanej pochwy przy pasie obejmującym zieloną, jedwabną szatę, w którą chwilę wcześniej się odział.

— No, kobieto — powiedział — o co ci chodzi? Długie, rude loki zakryły część jej twarzy, gdy podnosiła głowę. Na jej czole był kurz, a oczy miała podkrążone i czerwone od płaczu.

— Łup dla zwycięzcy — odparła twardo. — Jestem Hildalco, żona tego, którego dziś zabiłeś, a to jego synowie, teraz twoi niewolnicy.

Cymmeryjczyk przeklął pod nosem, patrząc na pochyloną ponownie w ukłonie głowę kobiety. Nie miał nic przeciw niewolnikom, lecz nie potrzebował w swym nowym domostwie nieprzyjaźnie nastawionych szpiegów. Miał jeszcze wiele do zrobienia, bitwę do wygrania, a ta kobieta i jej synowie nie pomagaliby mu w tym. Uchwycił wrogie spojrzenie jednego z chłopców, nieulekłe nawet, gdy ich oczy się spotkały. Przez usta Conana przebiegł cień uśmiechu, a w oczach pojawił się na chwilę wyraz współczucia i zrozumienia.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— Nie lubię tego gadania o niewolnictwie — rzucił. — Może się zdarzyć, że człowiek zabije w gniewie swego pobratymca, ale żaden wojownik nie zrobi z wdowy i dzieci zabitego niewolników. Pójdź do Vigomara i przekaż mu to wraz z pozdrowieniami od Conana. — Odwrócił głowę, by zobaczyć reakcję Vanessy na jego gest, ale dziewczyna miała oczy skromnie utkwione w ziemi. Conan wzruszył ramionami i zawołał szorstko. — Przynieś tu zaraz tę złotą tacę ze stołu, niewiasto!

Vanessa odwróciła się bez słowa i po chwili stanęła obok męża z tacą w rękach. Conan podniósł wdowę z klęczek i podał jej złote naczynie.

— Przyjmij ten podarunek, a z nim swą wolność, Hidalco — powiedział łagodnie. — A teraz odejdz.

Jego szerokie ramiona zalsniły w słońcu, gdy odwracał się, by zniknąć w chłodzie kamiennego domu. Kobieta płacząc wykrzykiwała swą wdzięczność dla najszlachetniejszego z wojowników.

— Zaprawdę, jesteś wielkim i hojnym panem... Łatwo rozstajesz się ze swym olbrzymim bogactwem — powiedziała z przekąsem Vanessa.

Conan spojrzął na nią ostro, ale oczy dziewczyny utkwione były w podłodze. Potem rozejrzał się po swej posiadłości, z której Bourtai zagrabił już wszystkie cenne przedmioty oprócz tacy, którą przyniesiono później. Twarz barbarzyńcy stała się purpurowa.

— Zobaczysz, jak szcudry potrafię być, gdy będę miał w garści całe Fahrgo. —

Powiedział z przekonaniem Conan.

— Poczekam — mruknęła Vanessa i odwróciła się. — Pójdę teraz poszukać i przynieść jedzenie dla swego pana.

Zniknęła w wyjściu, a Cymmeryjczyk stał przez chwilę, patrząc na chwiejące się zasłony i mrużąc coś pod nosem. Z pewnością Vanessa była za pokorna i za bardzo go kochała, by sobie drwić. Był tego prawie pewien.

W pewnej chwili usłyszał stukot sandałów na kamiennej posadzce i w wejściu, zaplątany w zasłonę pojawił się zasapany Bourtai. Rzucił się na barbarzyńcę z rękami zakrzywionymi jak szpony i przestraczem na twarzy. Conan pokazał zęby w wilczym uśmiechu i powróciła mu pewność siebie.

— Co, złapali cię na gorącym uczynku, złodzieju? Czy twoje małpie łapy nigdy nie nauczą się siedzieć spokojnie za pasem?

— Kapłan — wydyszał Bourtai. — Kapłan z długimi uszami...

— A opłaciło się przynajmniej, małpo?

Bourtai z trudem przełknął ślinę, uspokoił drżenie ciała i nóg, i przemówił cienkim, urywanym głosem:

— Kapłan usłyszał twoje przechwałki, głupcze! Teraz leci z nimi do Ozarka!

Conan przygarbił się, a jego dłoń automatycznie powędrowała ku rękojeści miecza.

— Nie — mruknął — to bez sensu. Jeśli Ozark wie wszystko, to kapłan nie przyniesie mu nic nowego.

— Mogą przynieść Ozarkowi twą pustą głowę! — w gniewie głos małego maga brzmiał jak syk węża, ale zaraz zmienił się w płaczący lament, kiedy ręka Conana zacisnęła się na łańdż jego szaty i bez wysiłku podniosła go do góry potrząsając lekko.

— Trzymaj swój niewyparzony jęzor za zębami kuglarzu, bo możesz nie mieć gdzie go trzymać! A teraz jeszcze raz, powoli, co się stało i co nam grozi?

Zanim jednak Bourtai zdążył rozpocząć swe narzekania i lamenty, nadszedł dźwięk, który zagłuszył wszystkie inne. Nie był głośny, ale miał moc, która wywoływała drżenie ziemi.

Miarowy, jednostajny rytm obutych w sandały stóp maszerującego oddziału zbrojnych.

Barbarzyńca odepchnął od siebie czarnoksiężnika i usłyszał skomlenie przestraszonego Bourtai u swych stóp. Potem dobiegł go szelest bosych stóp Vanessy na kamiennej posadzce.

— Twoje jedzenie, panie — powiedziała.

Nie spoglądając na nią Conan wyciągnął rękę po pożywienie i wepchnął je do ust. Ruch jego mocnych szczęk zaciskających się na krwistym mięsie pobudzał pracę jego mózgu. Nie zwracał uwagi na podniesione głosy Vanessy i Bourtai. Możliwe były dwie przyczyny nowego ataku Ozarka: albo jego kapłani rzeczywiście usłyszeli przechwałki Conana i podburzyli przeciw niemu władcę, albo wysłali legion, by ponownie wypróbować na nim magię diabłów z traw. Nie obawiał się magii batów i ich latających strzał, ale ta diabelska mgła, to całkiem inna sprawa. Nie umiał się przed nią obronić, a nie miał zamiaru upaść na ziemię bez oddania jednego ciosu, z wytrzeszczonymi oczyma i wywieszonym językiem od jej duszącego działania.

Może lepiej by było uciekać teraz, przebijając się tylko przez cienki szereg strażników,

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

którzy otaczali jego dom. Cymmeryjczyk zaklął pod nosem, wytarł zatłuszczoną jedzeniem dłoń o jedwab szaty i tęsknie spojrzął na wiszący na ścianie łuk. Na Croma, dobrze wiedzieli, że dawanie mu strzał mogło być niebezpieczne! Przynajmniej miał swój miecz. Dłoń zacisnęła się na idealnie dopasowanej do niej prostej rękojeści.

— Po stokroć jesteś głupcem! — zawodził Bourtai. — Ta dziewczka nie jest z rodu Vanirów, ani Kitharów, nie jest uznawana przez jednych i drugich. Jeśli chciałeś kobiety, to dlaczego nie wybrałeś spomiędzy tych, które ci polecałem? Mogły ci przynieść bogactwo i potężnych sprzymierzeńców! To dlatego, że może kobiety chciały cię za męża, Ozark wstrzymał swą karzącą dłoń! Ale ty wybierasz żebraczkę, która z pewnością miała już tylu mężów, ilu żołnierzy z obozu tego chciało...

Vanessa rzuciła się na niego z błyszczącym w dłoni sztyletem, ale Conan zdążył ją złapać, zanim zraniła maga. Wiła się w jego uścisku usiłując za wszelką cenę dosięgnąć Bourtai swym nożem.

— On łże, panie! — wykrzyknęła. — Sam wiesz, czy miałam przed tobą jakiegoś męża!

— Jest taki jasnowłosy młodzian... — rzucił znacząco Bourtai, wyszarpując swój sztylet z ukrytej kieszeni, obszernej szaty i ściskając go w dłoni.

— To mój brat panie!

— Ta sprawa może poczekać — zawyrokował Conan uśmiechając się dziwnie. — Jestem zadowolony z tej dziewczyny. Małpia Mordo, to wszystko, o czym powinieneś wiedzieć. Nie pozabijajcie się, zanim nie wrócę tu po nią, by mogła zasiąść obok tronu Ozarka — potem odsunął dziewczynę od czarnoksiężnika i popatrzył na awanturników. — Bądź grzeczną małpką, Bourtai, a może pozwolę ci później szeptać twe wątpliwe mądrości do mojego ucha. Odwrócił się do nich plecami i cicho jak duch podszedł do zasłony wiszącej w drzwiach. W drodze zdjął ze swych szerokich ramion jedwabną szatę i przymocował ją u pasa, tak, by przesłaniała złotą pochwę jego miecza. Gdy wyszedł na zewnątrz, trzymany w dłoni miecz błysnął w słońcu. Zasłona powróciła na swoje miejsce z delikatnym szelestem i znieruchomiła, zasłaniając wnętrze pokoju, Vanessa spojrzała na małego maga zimnym spojrzeniem swych niebieskich oczu.

— Chcesz mnie zdradzić, Bourtai? — syknęła.

— Martwy nie jest dla nas nic warty! — odparł ponuro czarnoksiężnik. — Nic tak go nie mobilizuje do walki, jak złość. To właśnie chciałem osiągnąć. A ty czemu sprawiłaś, że zaczął się chełpić? Ozark nie będzie tego tolerował.

Vanessa uśmiechnęła się podstępnie, bawiąc się ostrzem trzymanego w dłoni sztyletu.

— Po prostu upewniłam się, że jego chęć zdobycia tronu nie pozostanie tylko chęcią — powiedziała miękko. — A jego magia uchroni go przed niebezpieczeństwem i da mu zwycięstwo. Uważaj Bourtai, nie pozwolę się obrażać jakiemuś kuglarzowi i przybłędzie. Za swą wierność otrzymasz to, co ci obiecałam, rubinowego niedźwiedzia mądrości Ozarka. Ale uważaj, bo mogę pozbawić cię języka, którym mógłbyś tę mądrość wysssać!... A teraz popatrzmy, co osiągnie ten nasz wojownik.

Bourtai posłał jej nienawistne spojrzenie błyszczących oczu, lecz uklonił się przed nią niczym niewolnik.

— Tak, wasza wysokość — powiedział, a na jego pochylonej twarzy pojawił się tajemniczy, zdradziecki uśmieszek. Vanessa odwróciła się i wyjrzała przez okno.

W promieniach rozpalonego do białości słońca, Conan maszerował spokojnie w stronę pierścienia strażników, poruszając szerokimi ramionami w rytm wojennej pieśni, którą nucił pod nosem. Idąc podrzucał do góry swój ciężki miecz tak, że wirował on wysoko w powietrzu, by opaść rękojeścią skierowaną ku dołowi, dokładnie w dłoń barbarzyńcy.

— Hej! Strażnicy! — zakrzyknął. — Hej, tchórzliwe karły, Ozark posłał po swego kata!

Pewnie po to, by pozbawić kilku z was waszych bród, razem z głowami! Ustawić się, no już! Czy mam iść przed oblicze swego władcy bez eskorty? Ustawić się w szyku!

Brodate twarze zwróciły się w jego stronę, a w ich oczach malowało się zdziwienie. Jeden z nich, na którego ogromnej tarczy widniał wizerunek stojącego niedźwiedzia podszedł do olbrzyma i przemówił:

— Nie mieliśmy rozkazu, panie.

— Macie mój! — odparł zadziornie Conan. — Czyż nie widzieliście pośpiechu, z jakim przechodził Bourtai? Możecie z tego wywnioskować, jak pilne było wezwanie Ozarka. Ustawić się... A może mam przekazać Ozarkowi, że jego kapitan odmawia wykonania jego rozkazu?

Ponownie podrzucił do góry miecz i oczy kapitana śledziły uważnie jego lot.

Cymmeryjczyk jednak zamiast chwytać broń postąpił krok do przodu i złapał żołnierza za gardło. Miecz tymczasem wbił się w ziemię ostrzem, a rękojeść zadrżała groźnie. Conan

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

odrzucił kapitana o dobrych kilka metrów od siebie.

— Odmawiasz wykonywania rozkazów, głupcze! — ryknął. — Sformujcie dla mnie eskortę i marsz do pałacu Ozarka!

Ręka barbarzyńcy sięgnęła za plecy i z łatwością odnalazła rękojeść broni. Miecz pewnym ruchem powędrował do pochwy.

Na twarzy kapitana malowała się wściekłość i nienawiść. Niezdarnie podniósł się z ziemi otrzepując brodę i ubranie z pyłu.

— Dobrze — syknął. — I tak ci, którzy idą do Ozarka nie wezwani, później nie potrzebują już żadnego wezwania. Tak czy inaczej z radością będę patrzył na twój koniec!

Conan usatysfakcjonowany wściekłością strażnika, odsłonił zęby w wilczym uśmiechu.

Łatwo było kierować tymi psami. Wystarczyło tylko trochę krzyku, zwłaszcza, że uważali go za wielkiego czarnoksiężnika. Z rozmysłem uderzył żołnierza w twarz wierzchem dłoni. Na ustach tamtego pojawiła się rubinowa kropla krwi.

— Niewolnik pozwala sobie sarkać na Ozarka? — spytał zimnym głosem. — Zobaczymy jak Ozark odniesie się do krytykowania jego rozkazów przez niewolników!

Krew kontrastowała ostro ze zbielełymi ustami przestraszonego teraz strażnika, kapiąc na gęstą brodę.

— Nie panie, jestem wierny memu władcy, wielkiemu Ozarkowi — mamrotał. — Ozark jest wspaniały i miłosierny. On... tak, natychmiast stworzę eskortę dla potężnego Conana!

Odwrócił się do swych żołnierzy patrzących z ciekawością na całe zajście i zaczął wykrzykiwać gardłowe polecenia. Gwardziści sformowali dwuszereg, potem otoczyli Conana podwójnym kordonem i ruszyli w stronę pałacu. Przed nimi rozlegał się coraz głośniejszy rytm wystukiwany przez buty maszerującego legionu. Cymmeryjczyk uważnie przyjrzał się zbiegowi ulic, gdzie obydwie oddziały powinny się spotkać. Skrzyżowanie było wąskie, niemożliwe było używanie w nim łuków. Gdyby już doszło do walki, jego stał zbierze obfite żniwo wśród stłoczonych żołnierzy. Conan zaśmiał się, odrzucając do tyłu głowę i ponownie zaczął swą marszową pieśń wydłużając krok tak, że karłowaci Kitharowie musieli niemal bieć, by go dogonić. Znowu wyrzucił wysoko w powietrze swój miecz, który wirując nad głowami oddziału wyglądał jak drugie, oślepiające słońce.

— Teraz, demony wichru — krzyknął Conan — które jesteście mym ojcem i matką, wy, huragany, wypełnijcie me ostrze, by stało się szybkie, jak wasze błyskawice i tak samo zabójcze dla mych wrogów! Ojczy i matko, tchnijcie w stal swe błogosławieństwo i najsilniejszą magię!

Po twym wezwaniu Conan zauważył, że żołnierze wokół niego odsunęli się nieco.

Strażnicy z pierwszego szeregu mijali właśnie zakręt i zaczęli miotać w swym dziwnym języku gniewne okrzyki, brzmiące jak przekleństwa. Kapitan szybko ruszył do czoła eskorty, sprawdzić przyczynę zamieszania. Cymmeryjczyk nawet nie zwolnił kroku.

— Naprzód — wykrzyknął tubalnie. — Naprzód do pałacu Ozarka, gdyż mój pan Ozark wezwał mnie przed swe oblicze!

Gniewne głosy przybrały na sile i strażnicy zatrzymali się, lecz Conan parł przed siebie rozrzucając na boki brodatych karłów. Tłum żołnierzy naciskał na niego z wszystkich stron i piersią barbarzyńcy wstrząsnął śmiech. Jeśli miało dojść do bitwy...

Pokonał zakręt górując nad Kitharami głową i ramionami, i stanął naprzeciw legionu barbarzyńców blokującego drogę przed jego eskortą.

— Hej, Vigomarze! — zakrzyknął.

Do przodu wystąpił zakuty w żelazo mężczyzna, na którego hełmie widniał wizerunek niedźwiedzia.

— Vigomara nie ma wśród nas — mruknął. — Teraz ja dowodzę, jestem Hidaqor.

— Zatem zabierz swych niewolników z mej drogi — zagrzmiał Conan. — Zostałem wezwany przez mego pana Ozarka! Naprzód, strażnicy! Usuńcie tych niewolników z mej drogi!

Twarz Hidaqora nabrzmiała krwią, lecz Cymmeryjczyk zdawał się tego nie zauważać i posuwał się naprzód otoczony przez karłowatych strażników z pochylonymi groźnie wólczniami.

— Hidaqorze! — rzucił olbrzym. — Dołącz ze swym legionem do mej eskorty, jeśli czegoś ode mnie chcesz. Będziesz jednak musiał poczekać, aż wypełnię wolę Ozarka! Staną twarzą w twarz z pierwszym szeregiem legionu tworzącego ścianę tarcz, jednak w rękach wojowników nie było mieczy. Nie otrzymali żadnego rozkazu, a Hidaqor zwlekał.

— Rozstąpić się! — Rozkazał Conan tonem nie cierpiącym sprzeciwu, który tak dobrze znał z wielu gladiatorskich aren. — Rozstąpić się i w dwuszeregu stanąć pod ścianami! Salutujcie, niewolnicy! Oddajcie hołd. Salutujcie katowi Ozarka, który zostanie dziś baronem

lub księciem!

Przez chwilę jego wzrok napotkał spojrzenia wielu zimnych, niebieskich oczu i niejedna dłoń spoczęła na rękojeści miecza, lecz Conan jeszcze raz wyrzucił swą broń wysoko w powietrze i z szyderczym śmiechem na ustach podjął miecz. Hidaqor ponuro powtórzył jego rozkaz, a legion podzielił się i przepuścił eskortę Cymmeryjczyka, po czym dołączył do niej z tyłu. Conan szedł przed strażą.

— Hidaqorze, do mnie — zakrzyknął. — Rozkazuje ci książę!

Po chwili wahania rudowłosy wojownik podbiegł do Conana z mieczem przyłożonym do piersi na znak hołdu.

— Nic się nie stało — powiedział spokojnie Cymmeryjczyk. — Szedłeś, by dostarczyć mnie przed oblicze Ozarka i tam też się znajdę. Gdzie jest Vigomar?

Spod przyłbicy ciężkiego hełmu, spoglądały na niego poważnie i twardo, zimne, błękitne oczy. Jego rude włosy powiewały na wietrze opadając często na potężne ramiona, lecz nie mogły się równać z czarną grzywą Conana.

— Vigomar jest pod strażą w swym namiocie — odparł krótko Hidaqor. — Otrzyma po sto batów za każdego Kithara, który zginął, gdy on dowodził legionem, a co dziesiąty z jego ludzi zostanie zabity, jeśli potrafiś ich zabić...

Conan zaśmiał się, a w jego oczach pojawiły się niebezpieczne iskierki.

— No, cóż Hidaqorze, tak może być, jeśli zechcą tego duchy wysokich wiatrów. Wróc do swych ludzi.

Krew przyśpieszyła swe krążenie w żyłach Conana, a ramiona kołyszące się w rytm marszu wydawały się jeszcze szersze. Miał nadzieję, że Vigomar będzie dowodził strażą w pałacu, ale może tak było nawet lepiej. Człowiek, który miał zostać wybatożony na śmierć i jego towarzysze, mający oddać głowy pod topór, tym łatwiej staną się jego sprzymierzeńcami. Gdyż oczywiste było, iż Bourtai mówił prawdę. Ozark wysłał po niego oddział mający go zabić. Żadne wezwanie w obowiązkach nie wymagałoby tylu uzbrojonych po zęby postaćców! Nie był to dzień ani godzina, jaką wybrałby Conan, ale zanim trąby zagrają ponownie, by obwieścić nadejście godziny Małpy, będzie Imperatorem Fahrgo, władcą Kitharów i Vanirów... lub będzie martwy!

— Jakoś — mruczał pod nosem — nie wydaje mi się, żebym miał dzisiaj zginąć, nim zasiądę na tronie Ozarka. Powinienem chyba wiedzieć, kiedy piasek w klepsydrze mego życia przestanie się przesypywać. Nigdy nie czułem się bardziej żywy i dalszy od śmierci — to znaczy mojej śmierci!

Znów podrzucił pod niebo wirujące i błyszczące ostrze, i ryknął okrutnym śmiechem ze swego ponurego dowcipu. Stał na stopniach pałacu Ozarka. Pośrodku szerokiej bramy, stał odziany w czerwone szaty kapłan, z przymocowanymi do bezwłosej czaszki złotymi uszami, uniemożliwiającymi dokładne przyjrzenie się jego twarzy. Oskarżycielskim gestem wskazał Conana.

— Rozbroić i zabić tego człowieka — jego głos zagrzmiął jak grom odbijając się echem wśród pałacowych ścian. — Słyszałem go spiskującego przeciw wielkiemu Ozarkowi, słyszałem, jak planował jego śmierć!

ROZDZIAŁ VII

BITWA W PAŁACU

Przez chwilę Conan spoglądał na krzyczącego kapłana, na jego małą, zdradziecką twarz skrytą między wielkimi, sterczącymi ku górze uszami. Barbarzyńca poczuł w sobie złość dodającą mu sił, jak zawsze, gdy do jego serca próbował wkraść się podstępnie strach. Ten przeklęty kapłan go słyszał? Słyszał, gdy mamrotał pod nosem zbyt cicho nawet dla idących dwa kroki za nim strażników? Do diabła z ich przeklętą magią! Conan posiadał większą!

— Więc słyszałeś mnie! — ryknął Cymmeryjczyk, i zanim stojący z tyłu Kitharowie zdążyli się ruszyć, ogromnymi, zwinnymi susami przesadził kilka stopni dzielących go od kapłana. Jego stopy zdawały się ledwie muskać powierzchnię białego marmuru. — Słyszałeś mnie!? To była ostatnia rzecz, jaką usłyszałeś swymi oślimi uszami!

Miecz w jego dłoni zawirował i zatoczył dwa świetliste koła po obu stronach głowy kapłana. Rozdziawione w grymasie bólu i przenikliwym krzyku usta, pokazywały szereg czarnych zębów, a chwilę potem kapłan zniknął pochłonięty przez ciemność wejścia. Zdążyli tylko zauważyć, że w miejscu, gdzie przymocowane miał przedtem ogromne uszy, pojawiły się strumyki szkarłatnej krwi. Conan pochylił się podnosząc złote uszy ze stopnia, na który upadły i zobaczył okrwawione strzępy ciała. Wrzucił je do swojej sakwy i poczuł dotyk chłodnych metalowych powierzchni na swych udach, po czym odwrócił się w stronę

Kitharów i Vanirów zebranych za nim.

— Słyszę was przy pomocy mej magii — powiedział drwiącym głosem. — Słyszę tchórzliwy szept waszych serc. Mówią, że byle kto nie może nosić magicznych uszu, i to prawda. Dziś ja żądzę w Fahrgo, a wszyscy, którzy mi się sprzeciwią zginą, gdyż wiedzcie — powiedział wznosząc ręce nad głowę, a z jego miecza kapały krople krwi, brocząc marmurowe schody — że słyszę wasze serca i wiem wszystko, co pomyślicie!

Cymmeryjczyk zaśmiał się i wskoczył do środka napierając na drzwi, które zatrzasnęły się za nim pod siłą jego ramion. Zza nich dobiegał już jękliwy krzyk Kitharów i wojenne zawołanie barbarzyńców. Zadźwięczała włócznia uderzająca w nabijane ćwiekami drewno, obok wyszedł grot wypuszczonej z ogromną siłą strzały. Conan założył sztabę na drzwi i pobiegł przez korytarz wyściełany skórą i futrami różnych zwierząt, docierając do fontann z perfumami, gdzie na białej piramidzie wznosiła się marmurowa kolumna, zwieńczona magiczną szklaną kulą, która natychmiast przyciągnęła uwagę Conana.

— W swoim czasie — mruknął — w swoim czasie przyjdę po ciebie, piękny klejnocie! Na razie požądam innego skarbu.

Przebiegł przez podwórzec, chwytając w nozdrza bogaty aromat perfum i wonnych korzeni, i rozkoszując się przynoszącym chłód cieniem. Wszystko to będzie niedługo jego, musi tylko dokończyć zabijania! Przemknął korytarzem, który ostatnio przemierzał niesiony na włóczni, bezradny jak upolowany jeleń. Ujrzał błysk światła na wypryskującym z mroku stalowym grocie włóczni! Jego miecz błyskawicznie zatoczył szerokie półkole i grot oddzielił się od drzewca, i z metalicznym szczękiem potoczył się po podłodze, a drewniany kij zadudnił głucho na jego piersi.

— Wasze włócznie nic nie znaczą przy mojej magii — wykrzyknął śmiejąc się — rzućcie swą broń i uciekajcie, czmychajcie przed gniewem nowego władcy Fahrgo!

W korytarzu przed nim odsunęła się czarna zasłona, odsłaniając dwa szeregi łuczników, jedni stojący, drudzy klęczący na kolanach, z naciągniętymi na cięciwy strzałami. Szczeknął rozkaz i wszystkie cięciwy zaśpiewały jednym dźwiękiem w zabójczym unisono. Zwlekali zbyt długo. Conan w chwili, gdy padła komenda turlał się już po podłodze, a zanim zdołał naciągnąć nowe strzały był już między nimi. Jego miecz świszcząca, akompaniując straszemu głosowi barbarzyńcy, miotającemu klątwy i wybuchającemu szyderczym śmiechem. Ostrze stało się tylko rozmazanym, błyskającym w świetle punktem, tańczącym w powietrzu, miecz anioła śmierci. Kilku, którzy przeżyli przewalający się huragan ogromnego ciała, z krzykami przerażenia rzucili się do ucieczki wąskim korytarzem. Barbarzyńca stał wśród okrwawionych, poskręcanych ciał, a jego szerokie ramiona zbrukane były krwią nie pochodzącą z jego ran. Przed sobą miał brązowe drzwi, prowadzące do sali tronowej Ozarka. Jego prawica z wyciągniętym mieczem wskazywała kierunek, w którym miał się udać. Naparł na drzwi, lecz ciężkie skrzydła nawet nie drgnęły. Wpadł we wściekłość i przeklinając, ponownie uderzył z całej siły ramieniem, zapierając się stopami o marmurową podłogę. Na jego ciele pojawił się pot sprawiający, że wyglądał jak człowiek z metalu. Rozległ się trzask i uchwyty przytrzymujące sztabę w drzwiach odskoczyły wyrwane wraz z długimi gwoździami. Sztaba z ponurym brzękiem upadła na ziemię, a obydwa skrzydła drzwi ustąpiły, nagle uderzając z hukiem o kamienne ściany komnaty. Dźwięki te wypełniły salę spiżowym wyzywaniem, jak uderzenie miecza o tarczę. Conan wyprostował się i skierował czubek miecza w stronę górującego w sali tronu.

— Wyj teraz, Ozark! — wykrzyknął, a jego głos długo utrzymywał się w powietrzu. — Błagaj miłosiernego Conana, a być może zaznasz jego miłosierdzia!

Wyraźnie widział Ozarka i półkole straży, które go otaczało oraz trzy postacie w długich szatach stojące za tronem. Jedna z nich miała dwie, krwawe rany w miejscu uszu i Cymmeryjczyk wyczuł strach skryty za maskami, które nosili na twarzach. Ozark wygodnie rozparł się w swym tronie, trącając swe trefione loki znudzonym gestem dłoni, a na jego wyszminkowanych ustach błąkał się drwiący uśmiech. Conan ruszył w stronę władcy, ostrożnie stawiając każdy krok, a jego zielona szata nie skrywała wijących się pod skórą stalowych mięśni. Nagle zrozumiał, czemu Ozark się uśmiechał. Między nim, a poczerwieniałym ostrzem miecza barbarzyńcy pojawiła się złota sieć. Patrzący na Conana strażnicy, stojący za nią nie podnieśli nawet swych włóczni. Usta barbarzyńcy odsłoniły ostre zęby, więc miał do zwalczania magię! Do płonącego piekła Agrymaha z ich przeklętą magią! Conan krzyknął i rzucił się naprzód, oślepiiony drwiną nienawistnego uśmiechu Ozarka, rozkładając szeroko ramiona, by zerwać dzielącą ich kurtynę. Miecz trzymany w prawej dłoni dotknął jej, a w lewym ramieniu stykającym się z siecią poczuł silny ból. Tam, gdzie zetknął się z nią miecz wystrzeliły tysiące niebieskich iskier, wytrącając mu broń z ręki. Z jego gardła

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

wyrwał się ryk nienawiści, bólu i może nawet strachu. Próbował uwolnić dłoń z palącej sieci, lecz z niedowierzaniem zauważył, że mięśnie ramienia zaciskają się wbrew jego woli i mocniej chwytają sieć.

Przez jego ramię przebiegła fala palącego żaru i drgawki powodujące, że wyglądał jak w śmiertelnym tańcu przed magiczną siecią, otaczającą tron Ozarka. Zwykły człowiek krzyczałby opętańczo pod wpływem tej tortury i strachu, i prawdopodobnie umarłby od tej magii. Piekielna ciemność wirowała w jego umyśle, mózg rozpadał się na tysiące kawałków, grożąc rozerwaniem głowy, a usta miał rozwarte w bezgłośnym okrzyku CROMIE! Dlatego właśnie twarz Ozarka rozjaśniał szeroki uśmiech.

I właśnie ten zimny, drwiący uśmiech widziany przez zamglone oczy, uderzył Conana, jak ostrogi w bok wierzchowca i wlał w jego żyły ognia wściekłości. Barbarzyńca krzyknął głośno, lecz był to okrzyk ociekający groźbą i złością, a zwierzęca furia trzęsła nim bardziej, niż magia palących iskier, która zwracała mięśnie przeciw rozkazom mózgu. Mięśnie kazały mu zaciskać kurczowo dłonie na złotej siatce. Może uda mu się przynajmniej zerwać ją swymi mocarnymi ramionami. Płuca wypełniły się powietrzem, nozdrza rozdymały się od wysiłku. Przejmujący smród palonego ciała doprowadzał go do szaleństwa. Z furią dzikiego zwierzęcia szarpnął zasłonę. Węzły muskułów poruszyły się pod skórą niczym sploty węży i złoty materiał poddał się.

Z miejsca, gdzie kurtyna przymocowana była do sklepienia posypały się białe iskry, jak gdyby zły duch mieszkający w niej protestował przeciw przemocy. Conan ryknął groźnie na skaczące ogniki i wydawało mu się, że ból w spalonych miejscach ustąpił nieco.

Złączył swe siły w jeszcze jednym szarpnięciu całym ciałem i rozległ się płacz dartej sieci.

Z ostatnim, rozdzierającym błyskiem światła kurtyna oderwała się od sklepienia i opadła do stóp barbarzyńcy. Conan nie pozwolił jej opaść, zataczając ramieniem koło nad swą głową cisnął nią w stronę siedzącego na tronie Ozarka, jak sieciarz zarzucający sieć na walczącego z nim gladiatora. Natychmiast schwycił upadły na ziemię miecz i skoczył w ślad za nią.

Widział, jak zasłona opadła na głowę uśmiechającego się ciągle władcy, jednak nie zatrzymała się, jakby ani jego, ani tronu nie było w tym miejscu. Z miękkim, metalicznym szmerem ułożyła się płasko na podłodze. Cymmeryjczyk zrozumiał, że mimo iż nadal widział tron, Ozarka i otaczających go strażników, był sam w wielkiej komnacie. Sam, wyczerpany ogromnym wysiłkiem i walką przeciw tej potężnej magii. Słaniał się na nogach z bólu i gorąca, a strumyczki potu ściekały po jego bokach, swąd spalonego ciała drażnił jego nozdrza. Pierś ciężko unosiła się i opadała, ale mózg pracował chłodno i rozważnie. Zdał sobie sprawę, że to, co widział było tylko mirażem. Widział już takie rzeczy w Turghol i na pustyni Czarnych Piasków, i dawniej między piramidami, ale to było dzieło człowieka. Obraz odbity był w lustrze o takiej czystości, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Ale gdzieś tutaj czekał na niego prawdziwy Ozark. Gdzieś...

Z dzikim okrzykiem na ustach, skoczył w kierunku złudzenia uderzając potężnie mieczem. Ostrze zadźwięczało wysokim tonem na kamiennej powierzchni, a wokół barbarzyńcy posypały się tysiące fragmentów obrazu, jak potrzaskana, kryształowa kula rozpryskująca się na wszystkie strony, jak upuszczony na podłogę drogocenny kielich. Tam, gdzie przedtem siedział Ozark, pojawiła się powierzchnia szarego, ponurego kamienia otoczonego rozdziawionymi jak szczęki jakiegoś potwora, postrzępionymi szczątkami ramy, otaczającej złudny obraz.

Podczas gdy Conan, osłabiony zmaganiem z magią i bólem poparzonego ciała, ledwo stojąc na nogach przyglądał się z niedowierzaniem kamiennej ścianie, dał się słyszeć jęk otwieranych drzwi i okrzyki wchodzących równym marszem strażników. Barbarzyńca ujął mocniej w dłoń swe wierne ostrze i splunął na poparzoną lewą dłoń, by ująć w nią sztylet. Odwrócił się ciężko twarzą do nadchodzących i oparł szerokimi ramionami o ścianę. W jego błękitnych oczach płonął zimny ogień wściekłości, a z całej postawy przebijała niema groźba. Miecz ze świstem zataczał w powietrzu koła, jak czarny koniec ogona gotowego do skoku tygrysa.

Przez drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewał, do sali tronowej wlewał się strumień żołnierzy. Szybko ustawili się w dwuszereg przed przeciwległą ścianą, w sposób znamionujący wieloletnie ćwiczenia, a potem spokojnie ruszyli przed siebie. Opuścili groźnie włócznie, których długie na jakieś trzydzieści centymetrów groty, utworzyły prostą linię od ściany do ściany. Drugi szereg ruszył za pierwszym z długimi drzewcami ustawionymi w drugą linię, nad ramionami pierwszego, później kolejny i jeszcze jeden, tak, że cała sala stała się nagle lasem kilkumetrowych włóczni o ostrych jak brzytwy wierzchołkach, mogących posiekać człowieka na drobne paski. Szli tyralierą chcąc przybić groźnego barbarzyńcę do

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

ściany. Ciągłe wlewały się do sali nowe zastępy strażników.

Conan mruknął i uśmiechnął się kpiąco pod nosem, gdyż wydawało się, że Ozark porzucił już myśl o pozbyciu się go za pomocą magii i zastąpił ją czarami, jakich nie mógł pokonać żaden pojedynczy wojownik — magii setek ramion przeciw jednemu, stu stalowych ostrzy, próbujących rozerwać ciało na strzępy. Barbarzyńca wytarł swój miecz o okryte jedwabiem udo i zaklął czując, jak zadziory czepiają się szaty. Oto, co uczyniła ta magiczna sieć z jego wspaniałym ostrzem. To nic, będzie tylko zostawiało bardziej poszarpane rany. Na Croma, te białe marmurowe posadzki spłyną szkarłatem, nim Conan rozstanie się z tym światem i wielu z tych brodatych, karłowatych diabłów pójdzie w jego ślady.

Zimnym spojrzeniem swych błękitnych oczu obrzucił swych przeciwników. Groty włóczni pierwszego szeregu były już nie dalej niż pięć kroków od niego, a do sali wciąż napływali nowi napastnicy, ustawiając się w zwarte szeregi i maszerując naprzód, nieuchronnie jak śmierć, czy fale wiecznie atakujące piaszczysty brzeg morza.

— Hej, śmieszne ludziki — rzucił przez zaciśnięte zęby Conan. — Pokręcone karty! Czy potrzeba was aż tylu, by stawić czoła jednemu barbarzyńcy z zachodu? Gdzie jest wasza magia? Wycieram sobie nią sandały! Przeciąłem ją swym mieczem, a teraz zapoznam z nim wasze pokurczone ciała! Czy odważycie się stawić czoła mojej magii?

Wyzywająco odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się szyderczo. Potem wziął miecz między zęby i obydwoma ramionami uniósł złotą sieć, zakręcił nią nad głową i rzucił w ciżbę strażników, przewracając pierwszych, którzy już na nią nastąpili i wprowadzając zamęt w następne szeregi. Metalowe włókna wpiły się w spaloną dłoń, jednak on tylko zacisnął mocniej szczękę, ujął w dłoń miecz i wykrzyknął:

— Wasza własna magia przeciwko wam!

Ujrzał zmieszanie i lęk na twarzach Kitharów, gdy kurtyna opadła na ich głowy, gdzieś tam dały się słyszeć okrzyki strachu. Złota sieć pokryła z tuzin włóczni przewracając wszystkich karłów znajdujących się pod nią. Zabrzmiały metalowe groty włóczni w zetknięciu ze złotem, lecz tylko kilka z nich ją przecięło, podczas gdy reszta przewróciła się razem z właścicielami, gdy Conan nastąpił na sieć. Jego waga przygniotła leżących strażników i wyrwała im broń z rąk. Z przeciągłym świstem jego miecz zatoczył półkole i oddzielił groty wystających z sieci włóczni od drzewców. Conan szedł dalej i żadna włócznia nie skierowała się w jego stronę. Strażnicy, którzy nie znaleźli się pod złotą siecią nie mogli go osiągnąć z powodu pchających ich naprzód towarzyszy z dalszych szeregów, a ci przed Cymmeryjczykiem mieli broń bezradnie skierowaną ku ziemi. Wojownicy padali na twarz i słyhać było ich pełne strachu jęki i błagania o litość. Nieliczni, którzy stawiali opór spotykali wirujące ostrze miecza barbarzyńcy i padali brocząc na innych szkarłatną krwią! Conan niczym demon śmierci kroczył po ich ciałach w stronę drzwi, które wyważył.

W całym pałacu odezwało się wiele alarmujących dźwięków, ciężkich gongów, skórzanych bębnow i złotych trąb. Barbarzyńca słyszał wyraźnie stukot tysiąca spiesznych kroków, pobrzękiwanie zbroi. Pokonał magię i zbrojnych, lecz mimo to był pokonany. Jedyną jego nadzieją było lekceważenie Ozarka i szybkość, z jaką uderzał jego miecz. Teraz jego sprawność zmniejszyła się znacznie w walce z magią i włócznikami, a Ozark wciąż ukrywał się gdzieś za kamiennymi ścianami, wysyłając przeciw niemu wciąż nowe zastępy wojowników, by zgładzić tego zuchwałego barbarzyńcę z zachodu.

Na twarzy Conana pojawił się zły uśmiech, gdy nadepnął na ostatniego trupa odgradzającego go od korytarza, przez który wszedł do komnaty. Pomieszczenie zatrzęsło się od jęków rannych, przemieszanych z krzykami strachu i złości tych, których nie objęła sieć rzucona przez Conana, i którzy bezradnie obserwowali go, jak kroczy po zwłokach ich przyjaciół, nie mogąc osiągnąć go swymi włóczniami. Cymmeryjczyk nie odmówił sobie wsłuchania się w ten swoisty hołd oddany jego osobie przez pobitych przeciwników, ale był pokonany. Jego pierwsza bitwa o tron zakończyła się porażką! Mimo to mógł bezpiecznie uciec, a potem dotrzeć do legionu Vigomara i przeciągnąć go na swoją stronę!

To, że został pokonany wzbierało w nim nieznanym dotąd gniew i gorycz. Miecz niespokojnie kołysał się w jego dłoni, jak gdyby węsząc w poszukiwaniu nowych ofiar. I czym miał przekonać żołnierzy Vigomara, by stanęli u jego boku — wiszącymi u pasa magicznymi uszami kapłana? Spojrzał z pogardą na swoje trofeum, jednak wzdrygnął się na wspomnienie słów starego kapłana.

Conan wyszedł na chłodny, pachnący perfumami dziedziniec i jego wzrok natychmiast pobiegł w stronę białej kolumny, na której szczycie jaśniała oślepiająco szklana kula. Do filaru przymocowana była złota drabina, po której kapłani dostawali się na górę. Jego twarz nabrała wyrazu ponurej zaciętości; to będzie dobry dowód jego potęgi dla Vigomara! Z

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

mieczem trzymanym między zębami zaczął wspinaczkę po drabinie. Spalona lewa dłoń protestowała przeciw zetknięciu z gorącym metalem, rozsyłając po ciele fale nieznośnego bólu, ale barbarzyńca z determinacją parł do góry nie zwracając uwagi na cierpienie. Igły bólu przesywające go co chwila, potęgowały tylko jego wściekłość, przypominając o porażce. Słyszał zbliżające się głosy i kroki zbrojnych, i widział, że wysledzą go po kropkach krwi, które zostawiał za sobą na korytarzu i odetną mu jedyną drogę ucieczki. Usta odstoniły zaciśnięte na ostrzu zęby, a jego błękitne oczy zabłysły ogniem. Na Croma, zdobędzie tę kulę albo zginie na szczycie tej piramidy! Żołnierze Fahrgo przekonają się co znaczy osaczyć Conana, a wielu z nich nie będzie już miało czasu, by przemyśleć swe doświadczenie! Staną na szczycie piramidy i ze zdziwieniem patrzył na rzecz, którą znalazł. Na złotym trójnogu leżała kryształowa kula, w której wnętrzu pracowicie krzątały się mrówki. Otwór znajdujący się w kuli zasłonięty był jedwabną siatką. Nad nim umocowana była półkula z kryształu opasana złotą wstęgą, na statywie pozwalającym jej obracać się w dowolnym kierunku. Od niej, przez całą szerokość okrągłego dziedzińca przecinała powietrze złota lina, docierając do drugiej półkuli, znajdującej się na dachu jednego z budynków otaczających plac. Lina miała ponad pięćdziesiąt metrów długości i Conan zaklął widząc, że nie jest w stanie zabrać całości ze sobą. Wziął miecz do ręki i pochylił się nad tym szkłem, które widziało rzeczy z tak dużych odległości. Conan otworzył usta w bezgranicznym zdziwieniu. W jej wnętrzu odbijało się ponad pół miasta Fahrgo zmniejszone do tak śmiesznych rozmiarów, że wylewający się na ulicę strażnicy zdawali się małymi, bezradnymi mrówkami przemykającymi między ziarnami żwiru. Ponad nimi górowały miniaturowe mury domów i drobne plamki zieleni, tam, gdzie rosły wysokie drzewa. Może gdyby ktoś spojrzął przez to drugie szkło wszystkie te rzeczy stałyby się ogromne! Z pewnością była to potężna magia, ale nie mógł zabrać jej ze sobą. Wyprostował się ściskając w dłoni rękojeść miecza. Jedno uderzenie, a ta rzecz i zawarta w niej magia będą tylko deszczem szklanych odłamków. Ale jeśli uda mu się zdobyć Fahrgo, z roztraskanej kuli nie będzie żadnego pożytku. Conan uśmiechnął się i resztki bitewnej gorączki wyparowały z jego głowy. Głupio by było zginąć tak na szczycie tej piramidy, kiedy człowiek może wrócić jako zdobywca. Obóz Vigomara znajdował się tuż za murami miasta...

Conan odwrócił wzrok w stronę dziedzińca u swych stóp, wypełnionego tłumami wojowników krzyczących i potrząsających włóczniami w jego kierunku, z napiętymi cięciwami łuków, czekających tylko na rozkaz uwolnienia śmiercionośnych strzał. Delikatnie odpiął złote uszy od swego pasa, wzdrygnął się wydłubując czubkiem sztyletu prawdziwe małżowiny uszne, które odciął kapłanowi, a potem umocował dziwne urządzenie na swej głowie.

— Pfeh! — warknął pogardliwie. — Po raz pierwszy w życiu dobrowolnie zakładam ośle uszy, ale tego jednego się nauczyłem: ludzie boją się swojej magii o wiele bardziej, niż jakiegokolwiek innej.

Wyprężył ciało czując vibracje przenikające jego czaszkę, schwyte przez drgające złote uszy. Było to jednak tylko narastające uderzenie dźwięków, z których nie można było wychwycić ani jednego słowa. Wystarczające, by doprowadzić człowieka do szaleństwa. Przypomniał sobie przenikliwy, bezsensowny śmiech kapłana, stojącego u stóp piramidy... Nagle w jego uszach odezwał się łagodny szept.

— Conanie, jestem tu, by ci pomóc.

Cymmeryjczyk zdrętwiał, a jego wzrok powędrował w stronę dachu pałacu, na którym stała druga półkula w poszukiwaniu źródła szeptu. Ujrzał szczupłą sylwetkę młodzieńca, który, jak gdyby czując na sobie wzrok barbarzyńcy zdjął z głowy hełm, spod którego wymknęły się bujne złote loki, błyszczące w promieniach słońca. To pewnie Taniss, którego Vanessa nazywała bratem. Cóż, niewiele mógł zrobić z tej odległości. Gdyby miał teraz porządny łuk i z tuzin ludzi... ale chłopak był sam, a u jego boku nie było żadnej broni.

Okrzyk z dołu, przyciągnął uwagę Conana do hordy strażników, zajmującej cały dziedziniec. Na jego twarzy pojawił się pogardliwy grymas. Ci głupcy nigdy się niczego nie uczą. Gdyby ominął skokiem włócznie i stanął między nimi, nie mogliby z nim walczyć z powodu tłoku. Ale nawet w takim tłumie jakiś sztylet mógł wejść w jego ciało... Za szeregami strażników, ze złotej lektyki obserwował go swymi śpiącymi, wymalowanymi oczyma Ozark.

— Zejdź na dół, Cymmeryjczyku — powiedział miękkiem głosem. — Zejdź, a dam ci szansę walki o twoje życie ze skazańcami z legionu Vigomara. Jeśli pozostaniesz na górze, diabły z traw zacisną swe szpony na twojej szyi!

Conan wzruszył ramionami. Na swej wieży czuł się ogromny, niezwyciężony i wiedział, dlaczego jak dotąd żadna strzała ni włócznia nie poleciała w jego stronę. Ozark obawiał się,

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

że przypadkowy pocisk może zniszczyć jego magiczną kulę. Conan stuknął w nią lekko ręką, sztyletu wydobywając ze szkła dźwięczny, melodyjny ton ślący łagodnie wibracje do jego mózgu.

— Nie boję się twoich diabłów! — odkrzyknął krótko. — Jak tylko się pojawią, zniszczę twoją kulę magicznego widzenia, tak, jak wzięłem sobie te magiczne uszy od twego kapłana. Później przyjdę po klejnot mądrości, który nosisz na czole, dumny władco kobiet!

Nalana twarz Ozarka wykrzywiła się w strasznym gniewie. Na jego gest lektyka została uniesiona i przeniesiona pod osłonę kolumnady otaczającej dziedziniec, a wojownicy z czerwonego legionu wycofali się. Pod kolumną pozostali tylko karłowaci Kitharowie. Conan ze zdziwieniem spoglądał na ich wysmarowane olejem brody i narzucone na twarz włosy, spod których, jak zwierzęta z jaskini przyglądały mu się nienawistnie błyszczące oczy. Conan z drwiącym śmiechem rzucił:

— Czy myślicie, że przestraszycie Conana swymi głupimi maskami i minami? — sam wykrzywił twarz w dziwnym grymasie. — Uhuu! Wy paskudne diabły! Uhuu!

Do jego uszu dotarł szept Tanissa.

— Wypuszczą na ciebie diabły, Conanie. Czy dasz radę przejść po tej złotej linii, kiedy ześle ciemność na dziedziniec?

Conan oderwał wzrok od tłumu pod swymi nogami, w którym część wojowników oddzielała grotty swych włóczy od drzewców, które potem podnosili do ust niczym długie trąby. Spojrzał na złoty most stanowiący szansę jego ucieczki i jego oczy rozszerzyły się na wspomnienie wyczynów, jakie widział na bazarze w Paikangu, gdzie uliczni kuglarze balansowali na cienkich linach rozpiętych między dwoma słupami. Ale najczęściej mieli oni długie drągi dla utrzymania równowagi. Żeby tak miał teraz jedną z tych włóczy bez grotów, trzymany przez Kitharów...

— Uważajcie! — zakrzyknął gromko, a jego głęboki bas przytłumił wszystkie inne odgłosy. — Kiedy zawołam Croma, z niebios spuści on na was ciemności, zniszczy waszych diabłów! Ha, tchórze, boicie się rzucać we mnie, bym nie obrócił ich przeciw wam! Kitharowie dmuchnęli w grotty swych włóczy i wyleciały z nich obłoczki mgły, płynąc przez powietrze w kierunku Conana. Barbarzyńca przypomniał sobie słowa małego Bourtai, które wychrypiął po spotkaniu z czymś takim. „Garść mgły, nic więcej, a nie mogłem oddychać”.

Conan wyprostował się płynnym ruchem, a w jego dłoni zaśniło jasno ostrze miecza. Wstrzymał oddech, a chmurki mgły zetknęły się z jego spoconymi policzkami, piersią i osiadły na włosach. Ujrzał w promieniach słońca wirujące drobiny i wybuchnął szyderczym śmiechem rozwiewając je na wszystkie strony. Więc chcieli ściągnąć Conana z kolumny przy pomocy jakichś śmierdzących wyziewów! Zakaszał lekko i poczuł palący ból w nosie, lecz zaśmiał się tylko jeszcze głośniejszym, jednym ruchem dłoni przykrywając usta i nos większą ilością włosów.

— Nie nauczyliście się jeszcze, głupcy — krzyknął — że wasze trawiaste diabły nie mają nade mną żadnej władzy? Nade mną, którego chronią huragany! Rozwiewam wasze mgiełki, jak silny wiatr pajęczynę! Czy ten kawałek szkła powstrzymuje was przed użyciem włóczy! Zaraz to naprawię! — Z tymi słowami roztrzaskał kryształową półkulę ręką, którą trzymał. Z ust Ozarka wyrwał się piskliwy okrzyk przerażenia.

— Włóczy! — rzucił płaczliwie władca. — Jego ciało nie oprze się waszym włóczniom! Strąćcie go na dół, naszpikujcie grotami! Obierzcie jego ciało z kości! Wyrwijcie jego bluźnierczy język!

Lista tortur, które miały spaść na Conana płynęła nieprzerwanie z ust zniewieściałego satrapy, ale barbarzyńca śmiał się z nich głośno, drwiącym spojrzeniem obrzucając stojących niepewnie strażników. Nagle wzniosł swój lśniący miecz nad głowę w stronę stojącego w zenicie słońca.

— Teraz, o Cromie! — zawołał. — Niech ciemność ogarnie tych, którzy ośmielili się drwić z twego kapłana! Niechaj ich oczy nie oglądają jasności dnia!

Na odległym dachu Taniss machnął dłonią na znak, że zrozumiał hasło, a potem zaczął opróżniać jedną po drugiej ogromne worki. Chmury czarnego, wirującego pyłu opadały na głowy Kitharów odcinając drogę promieni słonecznych na dziedziniec, z którego dały się słyszeć okrzyki trwogi. Ci stojący u podnóża piramidy zdążyli jeszcze wymierzyć i rzucić swymi ciężkimi włóczniami. Cymmeryjczyk uchylał się przed pociskami, niektóre odbijał mieczem tak, że spadały raniąc zbitych w kupę strażników. Gdy ciemność ukryła go przed spojrzeniami z dołu, wyciągnął ramię i schwycił jedną z włóczy. Jego oczy szukały w kurzawie lektyki Ozarka, jednak wirujący pył zaczynał już unosić się wokół niego, drażniąc

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

jego oczy i całkowicie zakrywając dziedziniec. Zaklął pod nosem. Przez chwilę miał nadzieję, że uda mu się zakończyć walkę o tron jednym, celnym rzutem, ale szansa ta przepadła wraz z nadejściem ciemności.

Conan wyszczerzył zęby, jego dzień jeszcze nadejdzie, i to niedługo. Wcześniej jednak musi dotrzeć do obozu Vigomara, ażeby to zrobić... Postawił stopę na śliskim, złotym pręcie, rozciągającym się ponad pogrążonym w ciemności dziedzińcem, trzymając włócznię przed sobą, jak robili to akrobaci, których widywał w Paikangu.

— Duchy wysokich wichrów! — zawołał głębokim i potężnym głosem. — Wzniescie mnie do waszych siedzib! Zabierzcie mnie z tego bluźnierczego miasta, bym mógł powrócić znów w waszej chwale i strącić z tronu uzurpatora! Unieście mnie, o wichry, które mi służycie!

Odważnie wstąpił na linę przesuając przed siebie jedną stopę, a później dociągając drugą i balansując dla równowagi drzewcem włóczni. Był z siebie bardzo zadowolony. Jeśli potrafią, niech przejrzą jego magię, jeśli nie, niech się jej strzegą!

Teraz odezwał się ciszej, głosem jakby dobiegającym z większej odległości, który jednak i tak wprawiał w drżenie złote uszy przymocowane do jego głowy.

— Dzięki wam demony wiatru. Zanieście mnie daleko i bezpiecznie sprowadźcie na ziemię, bym mógł wrócić i zdobyć to miasto ku waszej chwale! Niiieeściee mniiiee bezpiecznieeee!

Pozwolił swemu głosowi odpływać, jak gdyby szybko oddalał się od miasta, a był właśnie w połowie drogi do dachu, na którym stał Taniss. Lina kołysała się nieco pod jego znacznym ciężarem i dwa razy omal nie stracił równowagi, i nie spadł pomiędzy zmieszanych strażników. Przez chwilę chciał nawet cisnąć w tłum włócznię i skoczyć samemu między nich, by ciąć w ciemności. Posuwał się jednak dalej, ostrożnie, noga za nogą czując, że rozpalone złoto rani jego stopy. Wreszcie potężnym susem przeskoczył dzielącą go od zbawionego dachu odległość i stanął oko w oko z Tanissem. W oczach jego wybawcy widać było głęboką mądrość, ale w ułożeniu ust dawała się zauważyć przebiegłość, która nie podobała się barbarzyńcy. Uśmiech Conana oprócz przywitania wyrażał także ostrzeżenie.

— Zostaniesz wynagrodzony za swój czyn — mruknął. — Teraz zabierz mnie z tego cuchnącego pałacu i zaprowadź do miasta namiotów. Później idź do Vanessy i Bourtai, niech się ukryją do czasu, póki nie wrócę. Wtedy niech dotrą do pałacu sekretnymi przejściami, jakie niewątpliwie znają i zaczekają na mnie w sali tronowej.

Taniss skłonił się przed nim uniżenie, ale Conan podejrzewał, że w jego głosie czała się drwina.

— A kiedy to nastąpi, wielki Conanie?

Cymmeryjczyk wybuchnął głębokim śmiechem, a z dziedzińca odezwały się przerażone krzyki, gdyż zmieszanym strażnikom wydawało się, że to śmierć śmiała się z nich lecąc na skrzydłach wiatru.

— W dniu, w którym Niedźwiedź z Niebios odwróci się od swego wybranego ludu — odparł krótko Conan — w godzinie Niedźwiedzia oczekujcie mnie w sali tronowej Ozarka. Spojrzenie szybkich oczu Tanissa spoczęło na twarzy barbarzyńcy i widać było, że chce o coś zapytać, ale Conan odwzajemnił się spojrzeniem swych błękitnych oczu, a jego usta wykrzywiły się nieco, gdy powiedział:

— Wydałem ci rozkaz, Tanissie! Uważaj, by twoje nieposłuszeństwo nie przewyższyło mojej wdzięczności.

Taniss pokłonił się nisko, a w jego opadającym wzroku czało się coś, co mogło być strachem, ale mogło też być groźbą.

— Tędy, mój panie — szepnął. — Tędy wyjdiesz z pałacu i dotrzesz do namiotów Vigomara. I, panie, będziemy na ciebie czekali w dniu, gdy Wielki Niedźwiedź obróci się przeciw swoim.

— Dopilnuj tego — rzucił Conan. — Nie minie więcej czasu, niż potrzeba mej magii, gdy zastępy Niedźwiedzia rozprawią się z tymi głupcami. A teraz prowadź.

Barbarzyńca lekko podążał w ślad za złotowłosym młodzieńcem, podśpiewując cicho pod nosem, choć spotęgowana magicznymi uszami melodia prawie rozsadała mu czaszkę. Jednak z tego skrawka magii oraz ze swych własnych czarów, Conan układał właśnie w głowie plan.

— W dniu, w którym Wielki Niedźwiedź obróci się przeciw tym, których dotąd karmił swą pierś — śpiewał. — Gdy trąby oznajmią godzinę Niedźwiedzia, wielka ciemność i jeszcze większa trwoga spadnie na to miasto, a wielki zdobywca zazna tryumfu. Conan zaśmiał się okrutnie. — A imię jego będzie przez wieki powtarzane z czcią i strachem.

— Conan, Cymmeryjczyk!

ROZDZIAŁ VIII
WZGÓRZE NIEDŹWIEDZI

Idąc krętymi uliczkami Fahrgo Conan stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę wydostanie się z miasta może się stać niemożliwe — chyba, że Kitharowie rzeczywiście uwierzą w to, że uniósł się w powietrze ponad pałacem Ozarka. Conan uśmiechnął się do swych myśli i ponaglił Tanissa do przyśpieszenia kroku. W końcu doszli do niedużego domu, stojącego przy miejskim murze, w którego ścianie była tajna furtka prowadząca poza miasto.

— Tutaj cię opuszczam, mój panie — szepnął Taniss.

— Miasto namiotów jest już niedaleko, za tym jeziorem. Brama, na której barbarzyńcy wieszają swych zdrajców, znajduje się jakieś sto metrów stąd na wschód.

Cymmeryjczyk skinął głową i bez większego wysiłku otworzył ciężkie, kamienne drzwi. Przed sobą ujrzął spokojną, błękitną toń.

— Pamiętaj o dniu, o którym ci mówiłem — mruknął.

— I dopilnuj, by Vanessa i Bourtai czekali na mnie cali i zdrowi w pałacu Ozarka, który już niedługo zmieni właściciela. Ty jesteś odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo.

— Ręczę mą głową — odparł uniżenie Taniss.

Conan machnął dłonią i Taniss zniknął w cieniu ukrytego przejścia, a drzwi z głuchym dźwiękiem zamknęły się i zlały w jedność ze ścianą. Conan nie mógł nawet dojrzeć szpar futryny. Wzruszył ramionami i pokręcił głową, co przypomniało mu o przymocowanych do niej złotych uszach. Nie były ciężkie, ale jego własne uszy zaczęły go boleć tak, jak i nieprzyzwyczajone partie mięśni zmuszone do dziwnego wysiłku. Jednak mogą być potrzebne w obozie barbarzyńców. Nie był w stanie określić na ile jego uczynki zjednały miedzianowłosych wojowników i przełamały ich strach przed Kitharami. Potrzebował ich pomocy, gdyż całe miasto było przeciw niemu. Jasne było, że tego dnia Crom odmówił mu zwycięstwa.

Cymmeryjczyk nie zastanawiał się wiele nad tym, jak chętnie i łatwo on, który nigdy nie zaprzętał sobie głowy żadnymi bożkami, uznał Croma za swego boga. Wcześniej, tak dla spokoju sumienia, składał przed każdą walką na arenie ofiarę Mitrze, ale nie robił tego bezinteresownie — była to ostrożność, o której nikt rozsądny nie zapominał. Patrząc na czasy późniejsze — Crom nie był dla niego zbyt łaskawy. Dwa razy podnosił już kielich fortuny, najpierw w Turghol i teraz — w Fahrgo, i dwa razy ledwie zdążył umoczyć usta. Ci, którzy wierzyli w Croma mówili coś o losie. Kogo On miłuje, tego bije stalowym prętem, czy jakoś podobnie... dziwne przesady. Na Agrymaha, dość już stalowych prętów! Conan zasłużył już chyba na jedwabne szaty i może złoty pręt, albo berło w dłoni...

Spojrzał na swe potężne ręce. Lewa dłoń sprawiała ból przy każdym ruchu palców. Prawie zapomniał dotknięcie złotej sieci, pod wpływem zdarzeń na pałacowym dziedzińcu. Na szczęście to lewa dłoń! Nie przeszkodzi w trzymaniu miecza. Westchnął ciężko, zdjął swą zieloną, jedwabną tunikę, by nie przeszkadzała mu w przeprawie przez wodę i przewiązał ją sobie w pasie. Położył się na brzuchu i bezszelestnie zsunął do wody.

Była ciepła jak w wannach królów, ale i tak dawała znużonym walką mięśniom uczucie odpoczynku. Jego nozdrza wchłaniały słodkawy, mdły zapach jeziora. Przez chwilę pozwolił wodzie dotrzeć do każdego miejsca jego ciała, by następnie rozgarnąć ją silnymi ruchami potężnych ramion. W jego pływaniu nie było gracji i lekkości, ale parł przed siebie z zaskakującą prędkością. Głowę miał wysuniętą do przodu, a prąd układał mu włosy przy głowie i na ramionach. Czuł, że ruch czupryny powoduje bolesne tarcie złotych uszu o skórę głowy.

Trzciny stawały się coraz gęściejsze w miarę, jak zbliżał się do przeciwnego brzegu. W końcu przedarł się przez nie i ze zdziwieniem spojrzał na gęste krzewy, które rosły wszędzie wokół. Zdumiony przyglądał się im i dziwnym ni to kwiatom, ni kłosom. Dotknął pięciopalczastych liści wyrastających z pnia i na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech. Nie ma wątpliwości, to właśnie tą roślinę mieszkańcy dalekiego wschodu nazywali boskim zieleń, albo dawcą niezmiernego radości. Conan ruszył w stronę widocznych już w dali namiotów.

Obejrzał się raz w stronę miasta, które niedawno opuścił, ale tych niewielu strażników, którzy stali na murach miało całą uwagę skierowaną na ulice. Ozark nie podejrzewał, że jego wróg zdążył już wydostać się z Fahrgo. Przez chwilę w serce Conana wstąpiła nadzieja. Gdyby udało mu się poderwać barbarzyńców i natychmiast uderzyć... Pokręcił głową. Za

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia głęboko zakorzenił się w nich strach przed magią Kitharów. Aby zdobyć bronione murami miasto, potrzeba armii o niezachwianym moralnie i zaufanych oficerów. Przedzierając się przez falujące leniwie krzaki ku wyższemu brzegowi myślał, że może uwolnić ich od niewolniczego strachu przed Niedźwiedziem z Niebios. Przez chwilę zawahał się na wspomnienie porażki, jakiej doznał, gdy Kitharowie pojмали go na drodze wśród bagien. Ee... to była tylko jakaś drobna, magiczna sztuczka. Dziś dał sobie radę z o wiele potężniejszymi czarami!

Wydostał się z krzewów i ruszył w kierunku skórzanych namiotów legionu. Pośrodku obozu ujrzał pokryty futrami lisów namiot Vigomara, przy którym stali dwaj strażnicy, opierając się na rękojeściach nagich mieczy i spoglądając spod oka na zamkniętą Bramę Barbarzyńców. Ciało Conana błyszczało od potu i parowało w promieniach popołudniowego słońca. Swój miecz wetknął za pas i pewnym krokiem skierował się prosto do namiotu Vigomara.

Jakieś dziecko na jego widok z krzykiem wbiegło do najbliższego namiotu, a złotowłosa kobieta zanosła się płaczem. Gdy był już blisko celu, strażnicy ujrzeni go i skierowali w jego stronę błyszczące w słońcu ostrza. Jednak, kiedy go rozpoznali ich oczy rozszerzyły się i zamarli w oczekiwaniu. Conan zignorował ich przechodząc obok i czując wyraźny już ból nadwierzonych uszu i skóry na głowie.

— Odejdźcie niewolnicy — parsknął.

Mężczyźni skulili się pod wpływem jego głosu, a ich miecze niepewnie zakołysały się i opadły ku ziemi. Rozstąpili się przed nim i pozwolili mu podejść do namiotu. Conan stanął przed wejściem i zakrzyknął gromko. — Wyjdź, Vigomarze. Uwolniony jesteś od klątwy Kitharów i od ich władzy. Wychodź, jak nakazuje ci Conan!

Nastąpiła cisza, przerywana tylko zawodzeniem kobiety i przytłumionym szcękaniem pancerzy, zbierających się powoli barbarzyńców, a po chwili skóra zasłaniająca wejście do namiotu Vigomara zafalowała i pojawił się dowódca legionu. Nie miał na sobie zbroi, jego rude włosy powiewały lekko na wietrze, a u pasa ściskającego szarą, wełnianą tunikę wisiła pusta pochwa. Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się ciężkimi spojrzeniami, potem Vigomar przemówił ciężkim głosem.

— Witaj, Conanie.

Cymmeryjczyk chrząknął i delikatnie uwolnił uszy od złotego ciężaru, po czym rzucił zdobycz pod nogi barbarzyńcy.

— Ukróciłem magię Ozarka — powiedział krótko. — Zniszczyłem jego daleko patrzące szkło, a jego kapłanowi odciąłem złote uszy. Przynoszę wolność tobie i twojemu plemieniu. W oczach Vigomara pojawił się błysk nadziei i woli walki.

— Dobięły nas już wieści o twych wielkich czynach. Jesteś człowiekiem o ogromnym sercu, sile i władasz jeszcze większą magią. — Mówił z ogniem w oczach, lecz w jego głosie dawało się wyczuć strapienie. — Gdybyś przyszedł nieco wcześniej, dałoby się zrobić coś, o czym skaldowie śpiewaliby przez wieki. Ale spóźniłeś się. Jesteśmy we władzy magii Ozarka, a ja i co dziesiąty z mego legionu jesteśmy zgubieni.

Conan niecierpliwie potrząsnął ramionami i zwrócił się do strażników:

— Zajmijcie miejsca przy bramie Barbarzyńców — rozkazał. — Jeśli ktokolwiek, magiczna, kobieta czy dziecko przejdzie przez wrota — zabijcie go. Jeśli mnie zawiedziecie, magiczne uszy Ozarka powiedzą mi o tym, a moja magia zabije was. Odejdźcie!

Wojownicy dwójkami udali się w stronę bramy. Conan poczuł, jak opadające napięcie przypomina mu o bólu wyteżonych mięśni i obezwładniającym zmęczeniu. Z takimi wojownikami... Ale nie mieli w sobie ducha walki. Nawet ich wódz nie miał dość odwagi, by przeciwstawić się władcy Fahrgo i walczyć o swoją wolność.

— Porozmawiamy w twoim namiocie — powiedział krótko.

Vigomar pochylił głowę i odsunął skórę wiszącą w wejściu, by wpuścić olbrzyma do środka. Cymmeryjczyk zgiął się w pół, by przecisnąć się przez otwór, a jego nozdrza uchwyciły silny zapach pieczonego mięsa. Ujrzał przymocowane nad ogniskiem płyty i poczuł spływającą do przetyku ślinę. Nie czekając na zaproszenie usiadł na białej końskiej skórze, oznace władcy Vigomara, który na ten gest odpowiedział jedynie niewielkim płomykiem gniewu, szybko zresztą wygasłym.

Conan parsknął z niecierpliwością i pogardą. Na Croma, jak ma zdobyć Fahrgo. Skoro jego legion składa się z płacziwych bab, a dowódca pozwala odebrać sobie bez walki swe miejsce.

— Magia Ozarka nie pomaga mu teraz — powiedział. — Może to potrwać kilka godzin, najwyżej dzień. W tym czasie musimy zacząć działać! Pójdiesz ze mną przez Zielone Morze i weźmiesz ze sobą ludzi, którym możesz zaufać, przynajmniej tych stu, którzy zostali skazani

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia
razem z tobą. Za kilka dni wrócimy i rzucimy Fahrgo do naszych stóp!
— Z setką ludzi? — w głosie Vigomara nie było życia, zamierał tak, jak jego duch.
— Z moją magią i niewielką pomocą Croma, przed którym klękałeś! — huknął w odpowiedzi Conan.
— Zdradziłem swych bogów i gniew Kitharów spada na mą głowę. Umieramy, ja i moi ludzie — mówił spokojnie Vigomar, potrząsając głową.
— Jak służalcze psy, czekające na uderzenia biczem swego pana! — drwił Conan. — Nie jesteście mężczyznami, lecz szakalami! Powinienem sprzymierzyć się z gołębiami z pałacu Ozarka, one bardziej przydałyby mi się w bitwie! — Podniósł się zawadzając głową o sklepienie z ciężkich futer. — Co, na Agrymaha! — ryknął. — Nie spodziewałem się, że kiedyś na próżno będę ciągnął do walki takich wojowników jak wy. Wasze kobiety mają więcej ducha walki, niż wy, zabijają chociaż zwierzęta, które zjadacie. Jesteście jak zbite psy! Oczy Vigomara rozbłysły ogniem, a jego dłoń powędrowała do rękonożki sztyletu.
— Uważaj na swe słowa, bo mogę zapomnieć o tym, że jesteśmy spokrewnieni z racji tego, iż obaj pochodzimy z dzikiej Północy, i mimo że jesteśmy wrogami, panuje w tej chwili między nami pokój — warknął.
Conan splunął przed siedzącego barbarzyńcę.
— Nie czuję żadnego pokrewieństwa z tobą, nie większe, niż z kundlem, który żywi się na wysypiskach śmieci, skąd odganiają go kijami!
Oczy Conana uważnie przyglądały się, jak Vigomar zrywa się na równe nogi. Czy ten gniew utrzyma się długo? To tak, jak walka drewnianym mieczem, który w każdej chwili może się złamać. Do tego doprowadziła tych dzielnych wojowników magia. Usta Conana odstłoniły ostre zęby w dzikim grymasie.
Schwytał Vigomara swymi mocarnymi ramionami i rzucił nim o ziemię upadając na niego i przygniatając jego prawe ramię wraz ze sztyletem. Potem wy dobył swój sztylet i przystawił jego ostrze do drgającego gardła rudowłosego wojownika. Z niewielkiej rany wypłynął strumyczek krwi wijąc się po szyi i kapiąc na piach. Kiedy Vigomar uważał już siebie za martwego, Cymmeryjczyk schował sztylet i przyłożył do rany swe usta. Potem wyprostował się, przełknął i pokazał w dzikim uśmiechu białe zęby.
Vigomar zerwał się z okrzykiem przerażenia.
— Czarnoksiężniku! — przeklinał, ale jego głos drżał wyraźnie. — Zaraz posmakuję twojej krwi, by twój duch nie unosił się ponad moim.
Nóż był w jego dłoni, lecz Conan zignorował to, chowając swe ostrze do pochwy.
— Z pewnością — powiedział miękko — z pewnością, gdy minie kilka dni, a mury Fahrgo legną w gruzach. A do tego czasu, Vigomarze, nie wywołuj mego gniewu, by mój duch nie pochłoniął twojego. Bez duszy twe ciało wykręci się, cała siła ujdzie z twych członków i zgnijesz!
Vigomar drżał patrząc na Conana rozszerzonymi oczyma.
— Pozwól mi teraz spróbować twej krwi — szepnął.
— Za kilka dni, Vigomarze — odparł krótko Conan. — Teraz musisz mnie słuchać. Głupcze, cóż masz do stracenia? Życie? Już je straciłeś! Czy może zwątpiłeś w Croma, ponieważ ci nie pomógł? Na błękitne kły Agrymaha naucz się, że bogowie wspomagają tych, którzy w ich sprawie dzierżą pewną ręką miecze!
— Czy twoja magia jest tak silna? — szepnął Vigomar.
— Słyszałeś o mojej magii — dumnie rzucił Conan. — Jak samotnie wszedłem do pałacu Ozarka i odciąłem jego kapłanowi te złote uszy, jak później zerwałem złotą sieć palącą białym ogniem i rzuciłem ją na włóczników, których ten nędznik na mnie wysłał; jak wspiałem się na piramidę i roztrzaskałem dalekowidzącą kulę Ozarka, by później skryć cały dziedziniec w ciemności. Duchy wysokich wiatrów, które mi służą zabrały mnie w bezpieczne miejsce, bym mógł przyjść i wyzwolić twój lud.
— Zostałeś... przysłany! — powiedział Vigomar prostując się powoli.
— Niech ci wystarczy fakt, że tu jestem — Cymmeryjczyk niecierpliwie wzruszył ramionami. — Słuchaj mych rozkazów, lub zgiń, ty i twoi ludzie. Potrzeba nam miejsca, gdzie jest wiele niedźwiedzi.
— Pośrodku Zielonego Morza jest skaliste wzgórze — mówił Vigomar powoli, jakby myślał o czymś innym. — Kitharowie hodują tam ogromne stado. Mogę cię tam zaprowadzić... o ile potrafisz pokonać diabły z traw.
Conan parsknął i otwierał już usta, by wyjawić wodzowi tajemnicę demonów bagien, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Vigomar odzyskiwał odwagę. Jeszcze trochę i może stać się niebezpieczny. Conan podniósł złote uszy i przymocował je do swej głowy krzywiąc się w duchu, gdy dotknęły jego podrażnionej skóry.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— Zapytam magicznych uszu — powiedział starając się, by jego głos zabrzmiał głucho i tajemniczo. Dotknął uszu dłońmi, pokiwał głową w różne strony o obrócił się trzy razy. — Na Crom! — wykrzyknął z trudem powstrzymując śmiech. — Na ducha Niedźwiedzia z Niebios, którego zwycięzę, nakazuję wam, wyjaśnijcie mi sekret demonów traw! Wyprężył się udając, że bacznie nasłuchuje. Bourtai wymyśliłby lepszą inkantację, ale i tak powinna wystarczyć. Po chwili zdjął magiczne uszy.

— Ten magiczny przedmiot powiedział mi coś — powiedział poważnym głosem. — Wiem już, jak pokonać diabelskie trawy, których źdźbła potrafią udusić wojownika, a nawet tygrysa. Powiedziałeś mi, że macie w obozie skóry zwierząt, które zostały uduszone przez diabły. Czy jest także tłuszcz, który z nich wytopiliście? — Vigomar przytaknął. — Przy ich pomocy pokonamy diabelskie trawy, które wyczują zapach zwierząt, które już raz zabiły. Mężczyźni założą maski z futer zwierząt, by oszukać także ich oczy. Jeśli to zawiedzie, są jeszcze inne czary, o których wiem. Zwierzęta uduszone przez trawy na zawsze wolne są od ich magii. Tę odporność mogę przenieść na twych wojowników.

Oczy Vigomara rozszerzyły się, gdy zaklął strasznie.

— Więc zawsze mieliśmy moc — by pokonać diabły — pod ręką! Conanie, teraz jestem pewien! Jesteś tym, o którym mówią nasze przepowiednie!

Conan mruknął niewyraźnie pod nosem. W Turghol także mówili „Tyś jest tym bogatego miasta pod swą władzą... no i oczywiście musiał wypełnić obietnicę daną Cromowi.

— Tak, to ja — powiedział oschle. — Wybierz teraz stu ludzi, którzy mają z nami podążyć. Każ im wziąć skóry i tłuszcz uduszonych przez trawy zwierząt. Niech pojedynczo wymkną się z obozu i spotkają się z nami o tysiąc kroków w stronę wzgórza, do którego pójdziemy.

Vigomar upadł na kolana i w poddańczym geście złożył swą dłoń między dłońmi Conana, wypowiadając pradawną formułę:

— Twoja droga jest moją drogą, panie! Moja własność należy do ciebie, tak jak moja krew i miecz w czasie bitwy.

Potem powstał, na jego szerokiej, gładko wygolonej twarzy pojawił się uśmiech, a w oczach — płomień odwagi.

— Teraz wiem, że zwyciężymy — wykrzyknął. — I moi ludzie także w to uwierzą! Legion pomaszkuje u twego boku, u boku swego wyzwoliciela!

— Legion poczeka tutaj na nasz powrót — pokreślił głową Conan. — Setka ludzi wystarczy, by wykonać zadanie i pokazać reszcie, jak wielka jest odwaga i siła ich ludu.

— Tyś jest najmądrzejszy, panie — pokiwał głową Vigomar. — Stu wojowników zaopatrzonych tak, jak tego żądasz będzie na nas czekało o zachodzie słońca, o tysiąc kroków na północny zachód od obozu. A co ze mną, mój panie?

W jego słowach było oddanie i uniżoność, ale bryła masywnych ramion i szerokiej piersi emanowała ogromną siłą.

Conan zastanawiał się przez chwilę. Ludzie byli głupcami musząc polegać na kimś innym, silniejszym lub zrzucić winy za niepowodzenia na bogów. Conan sam mocno stoi na swych nogach. — Nie, żebym miał Cię urazić Cromie, ale tak właśnie jest — mruknął pod nosem.

— Mężczyzna powinien polegać na swym własnym mieczu, a nie czekać, aż bóg tak zajęty, jak ty, dołoży za niego jakiś dodatkowy cios. Przydałoby się też trochę szczęścia, i tu jest miejsce na pomoc bogów, jeśli taka jest ich wola. — I nie zapomniałem o swej obietnicy, Cromie, chociaż jej wypełnienie nieco się odwleka. Jeśli możesz jeszcze trochę poczekać, dostaniesz te pięćdziesiąt tysięcy dusz, choć będą to tylko karłowaci i brodaci Kitharowie. Nie sprawi ci też chyba różnicy, jeśli ja zajmę się ich złotem?

Vigomar czekał z pochyloną głową słuchając odprawiającego czary w nieznanym języku Conana, potem olbrzym uśmiechnął się do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Ty, Vigomarze — rzucił wesoło — pójdiesz ze mną, i dokonamy razem kilku wartych pieśni czynów. Wśród swych ludzi rozpuść wieść, że za kilka dni ich wyzwoliciel powróci, i że tego dnia Niedźwiedź z Niebios odwróci się od swych wyznawców i zgładzi tych, którzy nazywają się jego ludem wybranym! Powiedz im też, że będą mogli splądrować Fahrgo, z tym, że ja zatrzymuję dla siebie... to znaczy, jak to się mówi dla Cromy połowę skarbu. A teraz idź!

Vigomar pochylił się w ukłonie i uniósł prawą dłoń w pozdrowieniu. Potem wyszedł i pobiegł pomiędzy namiotami wykrzykując nowiny, a tam gdzie przeszedł, następowały najpierw stłumione szepty, a później głośnie wiwaty na cześć Conana, potężnego czarnoksiężnika, Conana — wyzwoliciela.

Cymmeryjczyk zachwiał się nieco, gdy Vigomar wyszedł z namiotu, ale szybko zwalczył

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia chwilową niemoc i zajął się wybieraniem dla siebie ekwipunku na wyprawę. Wziął największą i najlepszą broję, jaką jego gospodarz posiadał, po czym sprawdzał siłę stojących pod ścianą łuków. Nucił przy tym cały czas pod nosem, co robił zawsze, gdy miał dobry humor, a bitwa przebiegała zgodnie z planem.

Teraz zburzenie murów Fahrgo, jak obiecał tym ludziom, nie wydawało mu się wcale trudne. Tak samo myślał o podbiciu potężnego narodu z setką ludzi, którzy zbyt mocno polegali na jego magii, a którzy odwrócą się od niego, jeśli ta magia zawiedzie. Conan spojrzął na swe zniekształcone przez wyszczerbioną tarczę z brązu odbicie. Ujrzał silne ramiona słabo ukryte pod jedwabną tuniką i rogaty hełm, spod którego wymykały się niesforne kosmyki włosów. W jego gardle zrodził się śmiech, który po chwili zatrzęsł niemal skórzanymi ścianami namiotu. Stu ludzi? Na ogniste piekło Agrymaha, dokonałby tego w pojedynkę! — Oczywiście z twoją pomocą, Cromie — mruknął dotykając wiszącego na szyi amuletu. — Nie zapominaj o tych pięćdziesięciu tysiącach nowych wyznawców!

Dobrze było mieć takiego boga, jak Crom, który wymagał tylko wielu nowych wyznawców, nie dbając zupełnie o ich złoto. Tak, to był bóg zdobywców, bóg Conana! Wychodząc z namiotu wodza, Cymmeryjczyk spojrzął na strażników stojących na murach Fahrgo, którzy spoglądali podejrzliwie na miasto namiotów. Cóż jednak mogli zobaczyć z takiej odległości? Był tylko jednym z wielu wojowników, nawet to, że przerastał najwyższych o pół głowy nie mogło być dostrzeżone przez Kitharów. Usiadł więc spokojnie przed namiotem z futer czarnych lisów i odbierał hołdy ludzi Vigomara, którzy klękali przed nim i nazywali wybawcą, dopóki nawet jego duma zmęczyła się, a niecierpliwość wzbierała z każdym następnym okrzykiem na jego cześć. Ucieszył się więc, gdy wrócił Vigomar, by powiadomić go po cichu, że stu wybranych jest już gotowych do drogi.

Potem Vigomar założył bojowy rynsztunek i obaj wymknęli się potajemnie z obozu, by udać się na miejsce spotkania. Po drodze Conan wydobył miecz i cięciem szybszym niż mgnienie oka, pozbawił szczytu potężny krzak z jego nabrzmiałymi pąkami, jak kurzem pokrytymi gęsto pyłkiem. Przymocował roślinę do czubka swego hełmu, po czym wyjaśnił Vigomarowi:

— Jeszcze jeden czar, który przygotuję dziś wieczorem — uśmiechnął się znacząco. — A może jest ci już znany?

Vigomar przecząco pokręcił głową.

— Nie, nigdy nawet nie dotykaliśmy krzaków kenturu, który Kitharowie nazywają hashą. Robią z niej mocne liny, może dlatego jest zabroniona dla wszystkich z wyjątkiem wnuków Wielkiego Niedźwiedzia.

— Może... — zgodził się Conan z dziwnym uśmiechem na twarzy i podążył na spotkanie z resztą ludzi Vigomara.

Wkrótce ruszyli wszyscy w stronę ukrytego w Zielonym Morzu wzgórza, na którym znajdowało się stado niedźwiedzi. Złote uszy wisały na rzemieniu otaczającym szyję Conana, a miecz ocierał się przyjaźnie o jego udo. Przez ramię przewieszony miał mocny łuk, nie taki, jak jego własny, ale wystarczająco silny. Swą sparzoną dłoń opatrzył olejem i owinał kawałkiem skóry. Żelazny hełm z rogami dzikiego bawołu pasował do jego czarnych włosów, a na jego twarzy malował się wyraz zadowolenia. O zachodzie słońca Conan stanął w miejscu spotkania i zawołał cicho, a jego głos odbił się echem wśród otulonych mgłą traw. Ze wszystkich stron odpowiedziały mu podobne głosy. Wojownicy jak duchy pojawili się ze wszystkich stron i przyklękli przed nim, wbijając w ziemię swe miecze, by oddać hołd swemu przywódcy. Conan dotknął każdej rękojeści dłońmi i swym amuletem wiszącym na jego szyi. Potem kazał im przynieść tłuszcz zwierząt zabitych przez trawy i zaczął odprawiać czary nad zerwaną rośliną. Marszczył brwi usiłując, by jego słowa brzmiały jak najbardziej tajemniczo. Przez chwilę żałował, że nie ma małego, pokrzywionego czarnoksiężnika. Brakowało mu jego ostrego języka i sprytnej głowy, w której pojawiały się chytne pomysły. Będzie jeszcze potrzebował Bourtai...

Gdy zakończył inkantację, nakazał wszystkim wojownikom założyć wykonane ze skóry zwierząt maski, zakrywające ich twarze po oczy, a futro posmarować tłuszczem.

— Teraz słuchajcie — powiedział — jeśli diabelskie trawy wypuszczą teraz na was swe duszące mgły, będziecie przed nimi bezpieczni. Wszystko to dlatego, że boją się waszych mieczy, w których zamknąłem magiczną moc. Formować się! Będziemy szli do godziny Niedźwiedzia, potem — trzy godziny snu i na podbój!

Przytłumiony maskami okrzyk wojowników był pełen nadziei. Conan wzniosł nad głowę swój miecz i odwrócił się, by poprowadzić ich przez wysokie trawy. Potajemnie wtarł też tłuszcz we włosy swej grzywy. Vigomar wykrzyknął rozkazy i cała kolumna pogrążyła się w naciągającym szybko mroku.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

W ciemności powietrze wibrowało od uciążliwych owadów, ale cuchnący łój chronił ludzi przed ich atakami. Ziemia podnosiła się i opadała jak dywan na wietrze, a we wgłębieniach, ich nogi zapadały się w grząski grunt. Mężczyźni mruzcili pod nosami jakieś modły mające chronić ich przed gniewem demonów. Trzy razy w ciągu nocy usłyszeli gniewny ryk tygrysa, a co chwila dzikie zwierzęta uciekały niemal spod ich stóp, często jednak były wolniejsze od wysłanej za nimi strzały. Upolowali jakiegoś dziwnego psa, którego jeden z barbarzyńców natychmiast przewiesił sobie przez ramię z uśmiechem na ustach oznajmiając, że właśnie zapewnił sobie obfitą kolację.

Patrząc w gwiazdy Conan stwierdził, że nadeszła już godzina Niedźwiedzia i czas na postój. Zatrzymali się na łagodnym stoku, pokrytym gęstą, jak posłanie ze skór trawą. — Żadnych ognisk — mruknął Cymmeryjczyk do Vigomara. — Niech prześpią się z pustymi brzuchami. Jutro najedzą się za wszystkie czasy.

Sam jednak wziął od Vigomara jego tarczę i w jej zagłębieniu rozpałił niewielki ogień z suchych traw.

— Przygotuję czary, Vigomarze — rzucił tajemniczo. — Załóż teraz te magiczne uszy i pochyl się nad ogniem, byś mógł wchłonać nieco jego magicznego dymu.

Mamrotał litanie imion i nikt z siedzących bliżej i słyszających go nie podejrzewał nawet, że nie są to magiczne inkantacje, a lista gladiatorów, z którymi i obok których walczył Conan w Angkhor.

Gdy skończył przesunął powoli dłonią nad płomieniem i wrzucił w ogień pokruszoną wcześniej roślinę tak, by patrzący wojownicy nie spostrzegli tego. Nasiona wybuchały z dźwiękiem, który w nocnej ciszy zdawał się głośnym wybuchem, a nad płomieniem pojawiły się kłęby cierpko pachnącego dymu. Vigomar odgarnął z czoła włosy i pilnując, by żaden z jego ludzi nie dostrzegł strachu na jego twarzy pochylał się nad małym ogniskiem i wciągnął do płuc kłęby dymu. Złote uszy gładko przylegały do jego czaszki tworząc zasłonę, która nie wypuszczała dymu do góry. Conan zauważył to i był już pewien, że jego plan się powiedzie. Vigomar zakrztusił się, lecz nadal trzymał twarz nad ogniem, więc Conan kryjąc uśmiech zadowolony jeszcze raz przejechał dłonią nad płomieniem powodując, że pojawiło się jeszcze więcej dymu. Kiedy w końcu pozwolił Vanirowi podnieść głowę, jego twarz była czerwona, a z oczu płynęły łzy. Przez chwilę Vigomar chwiał się klęcząc na kolanach, najpierw na boki, później do tyłu i do przodu śmiejąc się przy tym bez powodu. Śmiał się, aż całe jego ciało drżało. Patrząc na niego wojownicy odsuwali się przezornie i w ukryciu składali dłonie w znak Boga Pioruna zaciskając pięści i krzyżując palce. Po chwili Vigomar zaczął dochodzić do siebie, przestał się śmiać, brakowało mu tylko oddechu.

— Teraz — przemówił Conan — otrzymałeś dar dalekiego słyszenia, którym władają Kitharowie. Słuchaj więc i powiedz nam wszystkim co słysząc w Fahrgo! Powiedz, czy słyszysz wycie demonów traw i stąpanie nóg wojowników na naszych śladach?

Oczy Vigomara były całkowitą pustką, nie miały żadnego wyrazu. Zakołysał się na boki, uniósł dłonie do twarzy i przemówił matowym głosem:

— Słyszę niedźwiedzia ryczącego w udawanym gniewie na swego syna, słyszę ciche stąpanie tygrysa, sto kroków stąd na północ, który ucieka przed zapachem ludzi. Słyszę kwik zająca i chrzęst jego kości w zębach szakala.

Conan pochylał się do przodu, a jego oczy błyszcząły z podniecenia:

— Słuchaj! Wsłuchuj się w Fahrgo!

— Słyszę pisk nietoperzy lecących nad nami — mówił dalej Vigomar — i szept traw poruszanych podmuchami słabego wiatru. Słyszę plusk, jaki wydaje wydra wskakująca do wody. Słyszę... słyszę Fahrgo!

Między wojownikami przeszedł cichy niczym poranny wiatr szept i wszyscy zaczęli kołysać się w rytm słów dowódcy. Conan ponownie dorzucił do ognia trochę ziela, tak, że w twarz Vanira uderzyła jeszcze jedna chmura wonnego dymu.

— I co mówi głos Fahrgo? — zapytał miękko głosem. Oczy Vigomara rozszerzyły się, a jego usta drgnęły, lecz przez dłuższą chwilę nie dał żadnej odpowiedzi.

— Nie słyszę kroków armii, ale śpiew wielu kapłanów w świątyni Niedźwiedzia i dudnienie wielu bębnow.

— Bębny! — podchwycił Conan. — Co mówią bębny? Głowa Vigomara kiwała się sennie z boku na bok, a płócienne włosy spływały na ramiona i szeleściły cicho o szarą wełnianą tunikę. Barbarzyńca położył obie dłonie na kolanach i zaczął wystukiwać jakiś oszalały rytm. Conan domyślił się, że słucha muzyki bębnow z Fahrgo. Westchnął ciężko, gdyż był to język, którego nie potrafił zrozumieć. Plemiona z bagien porozumiewały się między różnymi obozami za pomocą mowy bębnow, a mieszkańcy imperium Khitaju przesyłali wiadomości przez samą ziemię, co brzmiało jak uderzenia owiniętego jedwabiem kija o złoty filar, jednak

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

ich języki były pilnie strzeżoną tajemnicą, którą znało tylko kilku wtajemniczonych. Wreszcie ręce Vigomara zaprzestały wybijanie rytmu i spoczęły na udach, a jego głowa opadła na pierś. Potem przechylił się do tyłu i zapadł w głęboki sen.

Conan odpiął od jego głowy złote uszy, po czym zwrócił się do zbitych ciasno w grupę wojowników:

— Śpijcie, jak wasz wódz — rozkazał. — Bębny ostrzegają tylko demony traw, by trzymały swą straż, ale czego mamy się obawiać ze strony marnych roślin, skoro nasza magia jest tak potężna!

Podczas gdy wszyscy spali, Conan przysiadł przy dogasającym ogniu, a jego oczy wpatrywały się w czerń nocy. Słyszał ciche dźwięki nocy, dalekie odgłosy walki zwierząt, szmer wiatru w żdźbłach trzciny, uchwycił też jęk jednego z ludzi trapionego niespokojnym snem. Czuł zapach rozkładających się traw unoszących się z miejsc, gdzie ziemia zniknęła pod powierzchnią zielonej wody i miejscami górujący nad nim słodki zapach kwitnących ciągle peonii, w dzień znaczących się pąsowymi plamami w morzu zieleni.

Czuł te wszystkie rzeczy i rejestrował je tylko częścią swego umysłu, umysłem wojownika zawsze czujnego i przygotowanego na niebezpieczeństwo, jednak myślami był w Fahrgo. Tam spała Vanessa, czy też może leżała w swym jedwabnym pościeliu, nie mogąc usnąć rozmyślała nad słowami, które zaniósł jej Taniss. Bourtai pewnie siedzi w kucki i mamrocze jakieś zaklęcia albo śpi zwinęty w kłębek jak wystraszona małpa, kościstymi ramionami oplatając głowę i trzęsąc się od czasu do czasu pod wpływem jemu tylko znanych snów. Conan miał nadzieję, że Ozark nie może tej nocy zasnąć. Jeśli bogowie Fahrgo rzeczywiście są tak mądrzy, jak w to wierzą Kitharowie, to powinni przepowiedzieć swemu zniewieściałemu pomazańcowi, że jego dni na tronie są policzone i czeka go śmierć. Conan w zamyśleniu pogładził brodę i z obrzydzeniem wytarł wysmarowaną tłuszczeniem dłoń o tunikę. Potem podniósł się, zbudził jednego z żołnierzy, by stanął na warcie i legł na trawie, by przespać się trochę przed świtem. Jego plan był już gotów.

Zanim jeszcze słońce rozlało swój blask na wschodnim niebie nie pokazując jeszcze oblicza, Conan zbudził wszystkich i ruszyli dalej przeżuając po drodze płaty suszonego na słońcu mięsa, które musiało im wystarczyć za śniadanie. Vigomar niecierpliwiał się, jak chłopiec przed swą pierwszą bitwą. Długimi krokami szedł obok Conana i wesołym głosem mówił:

— Twoja magia to wspaniała sprawa, Conanie. Jakie niesamowite sny miałem tej nocy! A jak dobrze się czuję od samego rana! Zmęczenie nie ma do mnie dostępu, śmieję się z niego, tak jak z głodu i chłodu.

— Ale oddałbyś duszę za coś do picia — wtrącił ironicznie Conan. — Twój bukłak już od dawna jest pusty.

— To nic — machnął ręką Vanir. — Poprzedniej nocy kolory przemówiły do mnie głosem bębnowym i dzwonkowym, a dźwięki były jak te peonie wśród traw czy jak niebo o świcie, a dotyk mojego własnego ciała był jak jedwabna materia...

Jego głos płynął i płynął, ale oczy Conana utkwione były w ciemniejącym przed nim wzgórzu, na tle nieco jaśniejszego powoli nieba, wyglądającym jak ramiona ogromnego niedźwiedzia.

— Zdaje mi się, że jesteśmy u celu — mruknął. — Dopilnuj Vigomarze, aby każdy założył swą magiczną maskę i wysmarował ją na nowo magicznym tłuszczeniem. I niech zabijają każdego demona, który wypuści na nich swe duszące opary używając swych zaklętych przez amulet mieczy.

Vigomar zasalutował uderzając dłonią o rękojęść swej broni i Conan pozostał sam na skraju jednej z ogromnych fal Zielonego Morza, niby nieruchomego, jednak w ciągłym ruchu. Jego oczy wpatrywały się uważnie w niedalekie wzgórze, od którego dolatywały nikłe poddmuchy wiatru przynosząc ulotny zapach dzikich zwierząt. Może strażnicy stada słyszeli bębny Fahrgo, a może szukali zapomnienia i pięknych snów w dziwnych właściwościach tej samej rośliny, którą Conan palił zeszłej nocy.

Cymmeryjczyk w zamyśleniu zdjął łuk z ramienia, po czym napiął mięśnie, które skłębity się pod błyszczącą w słońcu skórą i nałożył cięciwę, trzymając w lewej dłoni gotową do wypuszczenia strzałę. Usłyszał za sobą cichy szmer kroków Vigomara.

— Wyślij połowę ludzi na wschód, a drugą połowę na zachód — rozkazał Conan — niech utworzą wielkie koło, ale tak, by każdy widział dwóch wojowników po obu stronach. Gdy mój miecz uderzy w tarczę niech atakują i zabijają każdego, kto stanie na ich drodze, lecz bez sygnału nie wolno im się ruszyć. Mają być gotowi i na miejscach, gdy czerwone oko słońca rzuci pierwsze spojrzenie zza horyzontu.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Skinął głową pozwalając odejść barbarzyńcy, rzucając mu przez ramię wyzywający uśmiech, a potem bezszelestnie zaszył się w trzcinach i podążył w kierunku wzgórza. Vigomar bez zadawania pytań przekazał rozkazy swoim ludziom, którzy cicho rozeszli się w mrok założywszy przedtem magiczne maski mające chronić ich przed czarami demonów traw. Kiedy wódz odwrócił się chcąc porozmawiać z wyzwolicielem swego plemienia, ujrzał tylko kołyszące się sennie trzciny.

W pewnej chwili Vigomarowi zdawało się, że usłyszał gdzieś niedaleko jęk cięciwy i oddalający się świst strzały. Gdy nasłuchiwał, w oddali usłyszał podobny dźwięk. Gdy niebo na wschodzie zabarwiło się czerwienią i ukazał się skrawek słońca, gdzieś z traw odezwał się przenikliwy krzyk, wznosił się do niesłyszalnego pisku, lecz nawet wtedy, gdy Vigomar już go nie rejestrował, zdawało mu się, że jego głowa rozpada się na kawałki. Vanir zaklął wiedząc, że posiadający magiczne uszy kapłani z Fahrgo usłyszą ten zew, a kryształowa kula, jeśli została już naprawiona wskaże Ozarkowi miejsce niepokojących zdarzeń. Śmigły i potężny legion przybędzie i zniszczy ich wszystkich.

Vigomar siedział nieruchomo wśród traw, drżąc z niecierpliwości czekał na sygnał Conana, i do czego nie chciał się przyznać — ze strachu przed długimi biczami panów, których się wyparł. Jego oczy wpatrywały się wnikliwie w zbocza zielonego w promieniach słońca wzgórza, podążał wzrokiem ku wierzchołkowi.

Szeroka twarz Conana wzniesiona była ku wschodzącemu słońcu, którego krwawy blask zabarwiał na czerwono szczyt jego hełmu i wyniesiony w górę miecz. Przez kilka chwil stał nieruchomo, dopóki nie upewnił się, że cała setka go rozpoznała. Potem odwrócił się spoglądając wyzywająco w gęstwą traw i uderzył płazem miecza o tarczę. Ostry szcęk metalu jak zew drapieżnego ptaka wznosił się ku niebu, a odpowiedział mu okrzyk tryumfu ze stu gardeł. Ujrzał wznoszące się i opadające ostrza, rozpalone do czerwoności promieniami porannego słońca, coraz bliżej w miarę, jak wojownicy przedzierali się w jego stronę. Gdzieś tam widział, że falowanie traw spowodowane ich ruchem ustaje na moment, by potem pojawić się ze zdwojoną siłą. W każdym z tych miejsc leżał martwy Kithar, z wystającym z pleców pierzastym drzewcem strzały należącej do Cymmeryjczyka. Ostatni z brodatych diabłów ten, który zdołał krzyknąć leżał przy kamiennym murze otaczającym stado niedźwiedzi. Zabicie wszystkich tych karłów nie było wielkim wyczynem, ale powinno mu przysporzyć wiele szacunku wśród ludzi Vigomara, niezależnie od tego, czy uznawali go za potężnego czarnoksiężnika, czy niepokonanego wojownika.

Conan skrzyżował na piersi swe potężne, niczym wykute z brązu ramiona i czekał cierpliwie, dopóki falowanie traw nie ustało zupełnie i wszyscy wojownicy nie zebrali się wokół niego dokładnie na granicy morza traw, jak im nakazał. Potem zawołał swym grzmiącym głosem:

— Podejdźcie, dzielni wojownicy! Jest tu pełno mięsa, które wypełni wasze brzuchy, a potem czeka nas dużo walki, która wypełni ogniem wasze żyły!

Podbiegli do niego długimi krokami, a w ich ruchach widoczna była werwa i odrodzona wola walki, na twarzach zaś malowała się zaciekłość nie wróżąca nic dobrego ich niedawnym panom. Pierwszy zbliżył się do niego Vigomar, przykleknął przed Conanem i wznosił w górę nagie ostrze swego miecza w poddańczym pozdrowieniu.

— Niech żyje wyzwoliciel! — wykrzyknął. — Panie, twa magia jest wszechmocna!

Pójdziemy za tobą, by rzucić Fahrgo do twych stóp!

Wśród zebranych na wzgórzu wojowników powstał najpierw cichy, narastający jednak miarowo do siły grzmotu salut dla niezwykłego Cymmeryjczyka i wszystkie miecze zabłyśły w porannym słońcu. Conan zbył hołdy jednym niedbałym skinieniem dłoni, ale po wyrazie twarzy i ruchach ramion widać było, że sprawiły mu one przyjemność.

— Zabijajcie i jedzcie — powiedział wskazując zaniepokojone niedźwiedzie, spoglądające nieufnie w stronę dziwnych odgłosów dobiegających zza ogrodzenia. Conan położył dłoń na ramieniu Vigomara. — Twoi ludzie potrafią słuchać rozkazów. Z nimi zdobędziemy Fahrgo! I nie obawiaj się tego krzyku, jaki wydał z siebie ten Kithar. Wiatr, który poniósł jego głos nie może ściągnąć nam na karki Boga Niedźwiedzia. Zanim słońce ponownie zatoni na zachodzie, będziemy gotowi na przyjęcie Kitharów, którzy na nas idą. Właśnie po to pozwoliłem ostatniemu z diabłów, przekazać ostrzeżenie od Conana swemu panu.

— Panie, tyś jest najmądrzejszy i najdzielniejszy ze zdobywców. Z tobą na czele, nas stu wystarczy, by podbić świat!

Cymmeryjczyk uśmiechnął się szerzej. Spojrzał z uznaniem na stu rudowłosych wojów bez obawy stawiających czoła nieco może opasłym, ale mimo to wciąż groźnym niedźwiedziom.

ROZDZIAŁ IX ZDOBYCIE MIASTA

Jak przewidział Conan, drogą ku Wzgórzu Niedźwiedzi maszerował legion Kitharów, gdyż Ozark nie ufał już swym barbarzyńskim poddanym. Odkąd ten diabeł Conan rozpląnął się w powietrzu nad głowami wojowników Ozarka, wojownicy z miasta namiotów coraz niechętniej wypełniali jego rozkazy. Poza tym po mieście krążyła plotka, która powodowała, że ludzie niepewnie poruszali się po ulicach Fahrgo, a jego władca płaczącym głosem beszał damy czeszące jego włosy i namaszczające ciało wonnymi olejkami.

Mysłał zawsze, że stare przepowiednie gwarantowały całemu Fahrgo wieczną chwałę, gdyż było w nich napisane, że królestwo będzie kwitło, póki Bóg Niedźwiedź nie opuści niebios i nie zwróci swego gniewu przeciw swemu wybranemu ludowi. A nic przecież nie było bardziej stałego, niż ogromna konstelacja, która obracała się statecznie wokół czerwonej Gwiazdy Północy! Jednak teraz ludzie na ulicach szeptali między sobą, że dziś lub jutro Bóg Niedźwiedź zejdzie ze swych wyżyn, a jego złość spadnie na Fahrgo!

Ozark konsultował się co chwila ze swymi astrologami i skarżył się płaczącym głosem na zły los, a jego namaszczone i utrefione włosy były lepkie od potu. Bał się wybuchu rewolty w mieście namiotów, więc wysłał dwa razy więcej, niż zwykle łuczników, by pilnowali Bramy Barbarzyńców i wysłał dwie setki nieprzyzwyczajonych do długich marszów Kitharów w odpowiedzi na zew, który nadszedł ze Wzgórza Niedźwiedzi. Legion maszerował teraz drogą pośród nieprzebranych wysokich trzciny, włócznie godziły w niebo w dwieście różnych kierunków, a oczy wojowników ze strachem wpatrywały się w falujące, Zielone Morze, które złowroźnie szeptało wokół nich. Wysokie trawy, które od dawna były ich przyjaciółmi i obrońcami przed zewnętrznym światem, teraz mogły kryć w sobie ich zgubę. Słońce paliło ich skóry, pot zalewał oczy, a pył unoszący się z drogi przylegał do mokrych ciał i wdierał się w nozdrza. Złowrobnym także wydawał im się zapach rozkładu, unoszący się nad bagnami. Maszerowali tak cały poranek, a po południowym posiłku, dowódcy musieli płazować swych żołnierzy mieczami, by zmusić ich do podjęcia marszu. Minęła Godzina Szczura, później Godzina Wołu i Tygrysa, a oni szli ciągnąc już teraz włócznie po ziemi. Po Godzinie Smoka ich strudzone stopy ledwie odrywały się od ziemi. W Godzinie Węża ujrzeli w oddali Wzgórze Niedźwiedzi, lecz wiedzieli, że nie dotrą do niego przed nocą. Dowódca podniósł wzrok z pyłu drogi i spojrzał na swój oddział. Dojść tam i wypocząć, zostawiając za sobą nieprzyjazne morze. Gdy dotrą... Omiótł spojrzeniem chwiejących się żołnierzy i samemu nie wierząc w skutek krzyknął do nich kilka słów zachęty. Tylko kilku z nich podniosło głowy, by spojrzeć na niego wzrokiem pozbawionym nadziei. Prosił ich i przedstawiał wizję wspaniałego wypoczynku i ucztę u celu, ale wiedział już, że nie potrafi ich przekonać, że sam nie wierzy swoim słowom. Kapitan podszedł do jednego z nich i wskazując dłonią wzniesienie powiedział:

— Tam, na wzgórzu naszych przodków, niedźwiedzi, odpoczniemy. Wykażcie jeszcze trochę męstwa, a gdy dotrzemy na miejsce wyprawimy wielką ucztę!

Oczy mężczyzny, który słuchał skupiły się na wymarzonej celu marszu, a potem rozszerzyły ze strachu. Jęknął ochryple przecierając oczy włóchatym ramieniem i spojrzał ponownie. Wtedy jęk przerodził się w krzyk przerażenia! Uniósł wyprostowane ramię wskazując na drogę przed nimi i urywanym głosem wyrzucał z siebie nieskładne zdania:

— Niedźwiedź kapitanie! Bóg Niedźwiedź, Który Kroczy Po Ziemi! Zmierza w naszą stronę!

Dowódca odwrócił się gwałtownie, a to, co zobaczył uniosło mu włosy na spoconym karku. Nie potrafił powstrzymać okrzyku zgrozy, który jednak zniknął wśród dwustu przerażonych głosów. Dał się słyszeć szczeł oręża, nie szykowanego jednak do walki, lecz porzucanego w panicznej ucieczce. Kapitan zaklął w rozpacz. Wydobył długi, zakrzywiony miecz i stanął pośrodku drogi. Jego krew zamieniła się w lód, a w oczach przerażenie mieszało się z niedowierzaniem, gdyż to, co widział było niemożliwe, a jednak wiedział, że jest prawdziwe!

W jego kierunku maszerował równo jak żołnierze czerwonego legionu, zastęp składający się z dwóch kolumn niedźwiedzi, kroczących na tylnych łapach jak ludzie. Ich otwarte pyski lśniły czerwienią, a masywne cielska górowałyby nawet nad tym ogromnym barbarzyńcą, który do niedawna przebywał w Fahrgo. A pomiędzy każdą parą idących na tylnych łapach niedźwiedzi człapały na wszystkich czterech kończynach dwa inne, niczym tygrysy wojenne,

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

jakie podobno tresowano w Kambuji.

Pierwszy niedźwiedź, który był jeszcze większy od pozostałych, wskazał oszalałym ze strachu Kitharów swą ogromną, zakończoną pazurami łapą, na co wszystkie pozostałe ryknęły gniewnie i przyśpieszyły kroku.

Dowódca Kitharów zamarł ze zgrozy, dopiero po chwili wypuścił z ręki miecz i z krzykiem rzucił się do ucieczki. Potykał się biegnąc wzdłuż białej, pylistej drogi, lecz nie widział żadnego ze swoich ludzi. Jedyne ślady po nich znaczyły porzucone w popłochu włócznie, miecze i tarcze oraz chmura kurzu wzbijana ich stopami. Biegł nie słysząc nic ponad szaleńcze bicie własnego serca, potykając się co chwila w tumanie pyłu, lecz nie ustając ani na chwilę. Biegł, aż nagle poczuł piekący ból między łopatkami i upadł twarzą do przodu, z rozkrzyżowanymi ramionami i strzałą sterzącą pionowo z pleców. Pył, który wdarł się do jego nozdrzy i oczu, unosił się przez chwilę nad ciałem, by rozpląnąć się w powietrzu zabierając ze sobą jego duszę.

Legion niedźwiedzi kroczył po drodze stałym tempem wytrwałych piechurów, a gdy mijali ciało kapitana, błysnęła w słońcu stal jednym ruchem oddzielając jego głowę od reszty ciała, jednak niewiele krwi zboczyło białą drogę, gdyż był już martwy. Kolumny wyprostowanych niedźwiedzi przechodziły nad nim obojętnie, tylko prawdziwe zwierzęta, które były powiązane parami i połączone powrozami z idącymi wojownikami mruczały z niepokojem obwąchując nieruchome zwłoki. Potem cały oddział pochłonał tuman kurzu. Ciało kapitana leżało bezwładnie uwalane pyłem i krwią, a odcięta głowa przekręciła się tak, że nieruchome, niewidzące oczy utkwione były w ciemniejącym niebie. Po chwili z gęstwiny trzciny odezwało się zawodzenie szakala, odpowiedział mu następny, potem jeszcze jeden, a każdy odzywał się coraz bliżej drogi, na której milkł już w dali miarowy tupot żołnierskich sandałów.

Idący na czele swych ludzi Conan przyśpieszał wciąż kroku, przeklinając upał i ciężar sztywniejącej, niedźwiedziej skóry. Błady księżyc rozpoczął już swą wędrówkę po niebie, a biały pył mieszał się w powietrzu z tak samo białą mgiełką unoszącą się znad trzciny, rozpościerając się nad drogą grubą warstwą, nad którą widoczne były tylko lekko kołyszające się w takt marszu niedźwiedzie pyski. Legion zwolnił, gdyż trudy marszu w ciężkich skórkach dały się we znaki nawet tak wytrawnym piechurów, więc po jakimś czasie Conan zarządził postój. Wojownicy rozłożyli się na pylistej drodze, przeżuając suszone na słońcu niedźwiedzie mięso, śmiejąc się i żartując rubasznie. Po krótkim odpoczynku ruszyli dalej. Teraz tylko idąca z przodu szóstka odziana była w niedźwiedzie skóry, reszta niosła je przerzucone przez ramiona. Co pewien czas odpoczywali, jednak mimo to łatwo doganiali maruderów z legionu Kitharów i co pewien czas rozlegał się brzęk cięciwy, a później przedśmiertny jęk brodatego karła, osuwającego się na drogę. Niektórzy z uciekających szukali schronienia w wysokich trawach, jednak robili to dopiero wtedy, gdy słyszeli miarowy odgłos kroków tuż za swoimi plecami, więc jeszcze, zanim dotarli do linii trzciny, dosięgały ich bezlitosne strzały, a po obu stronach drogi szli żołnierze z długimi mieczami, by upewnić się, że żaden Kithar nie rozpozna w nich barbarzyńców.

Wreszcie niebo na zachodzie zaczęło szarzeć, a purpurowa, niczym skąpana we krwi kula słońca chyliła się powoli ku zachodowi. Conan zarządził odpoczynek, gdy niedobitki Kitharów docierały do widocznej w oddali bramy Fahrgo. Gdy rozbili obozowisko wśród wysokich traw, Conan spojrzął na zmęczone walką i drogą, ale upojone zwycięstwem nad nienawistnymi panami twarze wojowników.

— Nadszedł czas — powiedział — by zadać miastu ostatni cios. Ci głupcy, którzy zdołali nam ująć opowiedzą swym braciom o rzezi na drodze, jaką sprawiły im maszerujące jak ludzie niedźwiedzie. Wspomnijcie to i Conana, gdy będziecie się kiedyś obawiali magii. A możliwe jest, że spotkacie się z nią podczas szturm na Fahrgo. Niektóre czary mogą zabić, ale mężczyzna, który wyrzuci z serca strach jest od nich pięciokrotnie lepiej chroniony. Ja, Conan — wybawiciel mówię to wam, a widzieliście dziś dowód na me słowa.

Omiótt ich spojrzeniem swoich błękitnych oczu, zapadniętych ze zmęczenia, ale pałających płomieniem walki, a na jego czole pojawiły się zmarszczki, które nadawały szerokiej twarzy wyrazu stanowczości i powagi. W pobliżu słychać było pomrukiwania na wpół oswojonych niedźwiedzi, które chłodziły swe grube futra w znajdujących się wszędzie wokół oczkach zielonej, bagnistej wody. Przeświecające przez gęste trzciny słońce, kładło na ich grzbietach pręgowane cienie, a w powietrzu unosił się zapach dzikich zwierząt.

— Widzieliście — ciągnął dalej — wielkiego Boga Niedźwiedzia szarżującego po wierzchołkach traw i powalającego czarami wrogów Kitharów. Dziś Bóg Niedźwiedź obrócił się za moją sprawą przeciw swym wyznawcom! I was okryję płaszczem mojej magii, byście mogli uczestniczyć w tym dziele!

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Twarze wojowników rozjaśniły się od uśmiechów, ale widoczna w nich była także zabobonna obawa, z czego Conan był bardzo zadowolony. Zrobi z nich swoich wasali i gwardzistów, gdy zasiądzie na tronie Ozarka, a nie powinni zapomnieć tej obawy, jeśli ma długo się na nim utrzymać.

— Oto moje rozkazy — powiedział stanowczo. — Niech będą sumiennie wykonywane, gdyż moja magia ukarze każde nieposłuszeństwo!

Stojący na murach Fahrgo strażnicy ze zdumieniem patrzyli na nędzne resztki oddziału, który poprzedniego dnia tak dumnie wyruszał z miasta i dęli na alarm w swe trąby. Przez Bramę Świtu wyszli uzbrojeni wojownicy, by zabezpieczyć niedobitkom ostatnie chwile drogi, a usłyszawszy od nich nowiny, czym prędzej skryli się za zapewniającymi bezpieczeństwo murami.

Natychmiast posłano gońca do pałacu, by opowiedział wszystko satrapie. Ozark zadrżał słysząc jego słowa, krzyknął strasznie swym piskliwym głosem i zatopił sztylet w sercu posłańca. Stał przed swoim tronem, jego wypielęgowane, grube dłonie zbroczone były krwią i wykrzykiwał :

— Ten człowiek kłamał! Słyszycie, kłamał! Niedźwiedzie nie maszerują jak ludzie i nie walczą jak legion! Nie mogły zniszczyć swych wnuków na Drodze Wielkiego Niedźwiedzia! Jeśli ktokolwiek będzie powtarzał te brednie, jego język zostanie wyrwany, a jego głowa przyodłobi Bramę Barbarzyńców! Tak mówi Ozark!

Podczas gdy przemawiał, spoza pałacu dały się słyszeć jęki i zawodzenia ludzi, którzy poznali nowiny równie szybko, jak ich władca, sparaliżowanych zabobonnym lękiem, przeszyci sztyletem strachu. Mężczyźni i kobiety wylegli ze swych domów na ulice lub dachy i z trwogą słuchali przerażających wieści. Oto niedźwiedzie kroczące jak ludzie zaatakowały legion Kitharów i zabiły wszystkich, prócz niecałego tuzina, który zdołał dotrzeć do zbawionego miasta. Niedźwiedzia armia podeszła pod mury, wypełnia się więc stara przepowiednia!

Kitharowie wyszli na ulice i trumnie udali się do pałacu Ozarka, nie bojąc się iść z uniesionymi głowami tam, gdzie przedtem ze strachem się czołgali — do pałacu swego władcy. Zatrzymali się przed ogromnymi, spiżowymi drzwiami do sali tronowej, bez lęku bili w nie pięściami i wykrzykiwali płaczącymi głosami imię Ozarka.

— Ocal nas, Panie! — zawadzili. — Wybaw nas od gniewu Boga Niedźwiedzia! Złóż niedźwiedziom ofiary! Chroń nas swoją magią przed gniewem naszych bogów!

Ozark siedział na swym tronie, zaciskając kurczowo dłonie na jego poręczach w kształcie niedźwiedziej łapy i słuchał lamentów swych poddanych, lecz nie odważył się otworzyć przed nimi drzwi. Wysłał strażników, by przepędzili tłum z pałacu, nakazał też swym trębaczom i doboszom obwieścić miastu, by złożyło ofiary w świątyni Boga Niedźwiedzia i prosić mieszkańców o hojne dary. Ci, którzy dostali się do środka, drżącymi, wzniesionymi w błagalnych gestach dłońmi oferowali swe klejnoty i inne cenne przedmioty, na zewnątrz zaś zawodziła płacząca i oczekiwała na swoją kolej tak gęsta ciżba, że dzieci, które upadły były tratowane przez dorosłych, a kobiety mdlały z braku powietrza. Legiony karłów maszerowały ku murom miasta i stawały na blankach pośpiesznie wpatrując się w morze traw, trzymając w dłoniach gotowe do strzału łuki lub długie włócznie. Stali z determinacją, jednak ich twarze były blade i często zerkali w stronę ofiarnych stosów płonących w mieście.

A Conan dopiero przygotowywał czary, którymi miał zdobyć Fahrgo.

Rankiem pod murami miasta dały się słyszeć głosy szorstkie i gardłowe, jakby wydawane przez drapieżne zwierzęta wykrzykujące w języku Kitharów:

— Wielki Niedźwiedź odwrócił się od ludu, który o nim zapomniał! Przybędzie po wierchołkach traw, ponad Zielonym Morzem i biada tym, którzy staną na jego drodze! Uchodźcie mieszkańcy Fahrgo, fałszywi synowie Niedźwiedzia, uciódźcie, póki jeszcze jest czas!

Strażnicy na murach krzyczeli z przerażenia i wielu z nich uciekłyby z posterunku, gdyby nie nagie ostrza mieczy ich dowódców, trzęsących się ze strachu przed gniewem zarówno bogów, jak i Ozarka. Niektórzy skakali z murów i tonęli w bagnistej fosie, bojąc się chodzących jak ludzie niedźwiedzi bardziej niż śmierci.

W wysokich trawach, za gęstymi zaroślami otaczającymi mury Fahrgo, Conan powracał na spotkanie swoich ludzi, a na jego ustach malował się ponury, pełen satysfakcji uśmiech.

— Teraz zapalcie swe pochodnie, niedźwiedzie — nakazał wojownikom odzianym w gęste brunatne futra — rozniecajcie ogień wzdłuż całej wschodniej ściany miasta. Podpalajcie

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

suche trawy, które wy nazywacie kentyr, a jeśli nie będzie się zajmować, ścinajcie krzaki mieczami i rzucajcie ich szczyty w ogień. Uważajcie tylko, by nie wdychać dymu. Kiedy jego kłęby uniosą się nad miastem, a strażników na murach porwie śmiech śmierci, przybądźcie na drogę, gdyż wtedy nadejdzie czas ataku.

Mężczyźni odpowiedzieli mu stłumionymi okrzykami i przytknęli pochodnie przygotowane wcześniej, do pochodni Conana. Cymmeryjczyk czekał z Vigomarem w miejscu, gdzie uwiązano do pali złapane niedźwiedzie. Zwierzęta uchwyciły w nozdrza zapach dymu i mruzczały niespokojnie, kołysząc głowami i przestępując z nogi na nogę. Conan przyglądał się temu z uśmiechem na twarzy.

— Nie bójcie się małe Wielkie Niedźwiedzie! — rzucił. — Nim minie noc żaden z was nie będzie głodny!

Suche trawy paliły się z trzaskiem, a nad ich gęstwą pojawiły się języki płomieni, które wiatr kierował na bujne krzaki, których ciemnozielone liście zwijały się i czerniały pozostawiając po sobie kłęby gęstego, czarnego dymu. Łodygi łamały się nadpalane od dołu, a włochate kwiatostany wraz z miriadami nasion padały w ogień i wybuchały krociem małych eksplozji, a dym stawał się coraz gęściejszy i unosił się coraz wyżej. Ogromna, czarna chmura uniosła się nad bagnem i kierowana wiatrem zbliżała się do murów Fahrgo.

Conan czekał spokojnie z drapieżnym uśmiechem na twarzy, a Vigomar stał obok niego patrząc na czarny kłąb rozwartymi szeroko oczyma.

— To tylko dym — powiedział niepewnie. — Kitharowie nie wezmą go przecież za Boga Niedźwiedzia. I co z tym śmiechem śmierci?

Conan mruknął coś pod nosem nie chcąc wyjawiać wszystkich sekretów rośliny nieustającej radości, jak zwali ją mieszkańcy Khitaju. W końcu powiedział:

— A jak było poprzedniej nocy, gdy słyszałeś głos Fahrgo i przemawiały do ciebie kolory, a dźwięki były niczym niebo o świcie? Obwieściłem strażnikom, że Bóg Niedźwiedź zwrócił na nich swój gniew, a moja magia potrafi stwarzać nie tylko miłe wizje, jakich doznałeś.

— Twa magia... — Vigomar z obawą wypowiedział te słowa. — Panie, wybacz, że o tym zapomniałem!

— Kitharowie nie zapomną — odparł krótko Cymmeryjczyk.

Czarne dymy o cierpkim zapachu dotarły już do blanków i dały się słyszeć jęklive krzyki przerażenia przerywane co chwila wybuchami kaszlu. Strażnicy ślali w ciemność strzałę za strzałą nie bacząc na to, że nie widać było żadnych napastników i nie zważając na rozkazy swych dowódców, gdyż strach zaćmiewał ich umysły. Opętał ich też szaleńczy śmiech, zabierając im siły i tworząc w umysłach obraz rzucającego się na miasto ogromnego, czarnego niedźwiedzia w miejsce chmury dymu. Wtedy śmiejąc się opętańczo odwrócili się i rzucili z bronią na swych dowódców, a gdy zabili wszystkich, którzy do tej pory nie uciekli, rzucili się w panice w dół, ku pogrążonemu w chaosie miastu, w przerwach między wybuchami diabelskiego chichotu krzyząc z przerażenia.

Ozark opuścił swój złoty tron i wyszedł na ukryte, w uniesionym setkami stóp pyle, ulice Fahrgo. Szedł kołysząc swym tłustym ciałem, złorzecząc co chwila, gdy uliczny bruk ranił jego bose stopy, nie nawykłe do chodzenia. Kazał postać na ofiarę Bogowi Niedźwiedziowi swych najlepszych i najbardziej lubianych niewolników, a oszaleli mieszkańcy miasta własnymi rękami mordowali swych synów i córki, by przypodobać się bóstwu. Kapłani nie mieli już sił, by co chwila unosić ofiarne sztylety, ich szaty były szkarłatne od krwi ofiar, a ich noże stępiły się na kościach. Nadal jednak czarne dymy unosiły się nad miastem i było ich coraz więcej z każdym podmuchem porannej bryzy. Dymy dostawały się do domów, nawet do największej świątyni Boga Niedźwiedzia i wszędzie, gdzie się pojawiały rozlegał się szaleńczy chichot i okrzyki przerażenia.

Poza murami, w gęstwinie traw Conan uznał, że nadeszła pora na decydujący atak. Zwołał przed siebie swych ludzi ubranych w namaszczone tłuszczem maski z sierści i niedźwiedzie skóry zakrywające całe ich sylwetki. Część z nich trzymała w dłoniach powrozy, na których uwiązane były niedźwiedzie.

— Moja magia przygotowała nam drogę! — zawołał. — W mieście znajdziecie tylko ludzi porażonych opętańczym śmiechem, którzy na wasz widok będą uciekać i błagać o litość. Zabijajcie! Tnijcie bez litości, by zakończyć niewolę swego ludu! Gdy skończy się walka, wolno wam będzie splądrować miasto, ale połowa łupów musi być... ofiarowana Cromowi i mnie, który jestem jego kapłanem. Jednak, jeśli któryś z was porzuci walkę, by kraść, nim wydam swoje przyzwolenia, moja magia, potężna magia wskaże go i zniszczy, jak człowiek rozgniata pluskwę! Jego ręce i nogi będą wyrwane, a potem, ale nie za szybko, jego głowa

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia rozstanie się ze swym zwykłym miejscem. Tak powiedział Conan! Przez szereg wojowników przebiegło drżenie i odezwała się zbiorowa, pełna respektu odpowiedź:

— Panie, słyszeliśmy i będziemy posłuszni.

— To dobrze — powiedział poważnie Conan. — A teraz w drogę, radujmy się bitwą i przelaną krwią naszych wrogów!

— Radujmy się bitwą! — Powtórzyli wszyscy i legion niedźwiedzi wkroczył na drogę prowadzącą do bramy Fahrgo.

Niewielu Kitharów zostało na murach, by być świadkami ich marszu, jedynie kilku dowódców, którzy do tej pory nie opuścili swych posterunków ujrzało zażawionymi od dymu i wstrząsającego nimi co chwila chichotu, legion maszerujących równo niedźwiedzi i ich pobratymców, niczym psy wojny prowadzone na uwięzi i niespokojnie szarpiące smycze. Jeden z dowódców na ten widok rzucił się z muru głową w dół wprost na drogę, pod nogi napastników, a inni uciekli w panice nie wiedząc, czy znajdą w mieście jakiegokolwiek bezpieczne miejsce.

Ludzie Conana doszli do ogromnych wrót, które rozwarły się przed nimi szeroko. Wśród kłębow dymu ujrzeni skracającą się ze śmiechu postać.

— Witaj panie — powiedział Taniss między atakami kaszlu i chichotu. — Wszystko jest przygotowane i oczekujemy cię w sali tronowej w godzinie Niedźwiedzia.

Cymmeryjczyk odprawił go ruchem swej niedźwiedziej łapy dzierżącej miecz i Taniss zniknął w sobie tylko znanym, podziemnym przejściu, do którego jak dotąd nie dotarły dymy.

Zaśpiewały cięciwy łuków i niezdolni do ucieczki mieszkańcy miasta padali pod gradem strzał, do ostatniego tchnienia krztusząc się szaleńczym chichotem. Miecze unosiły się i opadały, a nikt nie przeciwstawił się ich razom. Gdziekolwiek przeszedł legion, nie pozostawał żaden żywy Kithar. I żaden Vanir nie wystąpił z szyku, by zająć się łupami.

Przed czołem kolumny zapanowała panika, ogromny tłum zgromadzony w głównej świątyni rzucił się do ucieczki tratując się wzajemnie. Brat zabijał brata, jeśli stał na jego drodze do wyjścia, byle wyrwać się z zamkniętego pomieszczenia i biec na oślep przed siebie. Wstrząsani śmiechem i szlochem Kitharowie rzucili się ku otwartej bramie i dalej drogami, które prowadziły w głąb Zielonego Morza. Odrzucali broń i wszystko, co przy sobie mieli, byle jak najszybciej opuścić przeklęte miasto.

— Miasto jest zdobyte, Vigomarze — powiedział chrapliwym głosem Conan — ale czeka nas jeszcze dużo zabijania, a ramiona twych wojowników są już zmęczone. Sprowadź resztę swych ludzi, by dokończyli dzieła, lecz niech nikt nie waży się tknąć łupu!

— Panie mój — odparł tamten głosem pełnym podziwu i lęku — widziałem już wiele bitew i wiele magii, ale nigdy jeszcze przez długie lata mego życia nie spotkałem się z taką mądrością i nie zaznałem takiego zwycięstwa. Jeśli moi ludzie nie posłuchają twych rozkazów — zginą z mojej ręki! Idę.

Płomienie wśród traw gasły już z sykiem w bagnistych oczkach, ale cierpki zapach unosił się jeszcze w całym mieście wraz z kłębow dymu, przez które z trudem przedzierało się słońce. Legion niedźwiedzi nie miał już sił do dalszej rzezi, ale ich współplemieńcy wyzwoliwszy się z okowów odwiecznego lęku tym zacieklej tropili i zabijali Kitharów, nawet kobiety podrzynały nienawistnym karłom gardła, ostrymi jak brzytwy sztyletami. Wreszcie Conan uznał, że dosyć już było zabijania, a Kitharowie nieprędko powrócą do swych domostw. Nieliczna ich garstka zamknęła się w największej świątyni ze strachem obserwując plądrujących miasto barbarzyńców i oczekując swego losu. Conan przypomniał ponownie wszystkim, by połowę łupu przynosili — Cromowi, a w duchu zacierał ręce i cieszył się na myśl o skarbach, jakie przypadną mu w udziale. Crom otrzyma wszak te pięćdziesiąt tysięcy dusz, więc obietnica zostanie spełniona.

Kiedy słońce niemal znieruchomiło w najwyższym punkcie swej wędrówki po niebie, Cymmeryjczyk z niewielką strażą złożoną z najmniej zmęczonych ludzi Vigomara ruszył uroczyście do pałacu Ozarka. Wódz barbarzyńców wystawił już tam strażę, które teraz salutowały swemu wyzwolicielowi, unosząc w górę miecze.

— Niech żyje! — wołali gromko. — Wiwat nasz wódz, Conan — Zdobywca!

Conan zdawał się nie zwracać uwagi na te okrzyki. Samotnie przeszedł przez dziedziniec z piramidą i stanął przed wierzejami z brązu, prowadzącymi do sali tronowej. Stał w rogatym hełmie na głowie, postrzępione resztki niedźwiedziej skóry zwisały z jego ramion, niczym płaszcz, a w dłoni dzierżył okrwawiony miecz. Prócz wełnianej przepaski biodrowej i ciężkich żołnierskich butów nie miał więcej odzienia. Był krańcowo wyczerpany, jednak zmusił swe obolałe nogi do sprężystego kroku, by nie okazać słabości swym poddanym i po

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

trzykroć uderzył we wrota, aż cały pałac zadrżał od echa.

Ciężkie wierzeje z cichym zgrzytem rozstały się, przestąpił je więc i skierował się w stronę złotego tronu, znajdującego się w głębi sali. Na schodkach prowadzących do tronu ujrzał leżącego z rozplatanym gardłem Ozarka, a gdy drzwi otworzyły się szerzej, pojawiła się w nich klęcząca sylwetka Tanissa bijącego czołem o kamienną podłogę i szepcząca swym lodowatym głosem:

— Witaj, zdobywco.

Zza drugiego skrzydła wrót wyłoniła się Vanessa, także z pochyloną głową, zamiatając posadzkę złotymi lokami i całując brudne buty swego męża. Ubrana była w najbielsze jedwabie, a na jej ciele nie było ani jednego klejnotu. Po chwili uniosła głowę, by spojrzeć w oczy Conana.

— Bądź pozdrowiony, mój panie — szepnęła.

Conan podniósł ją z podłogi, zostawiając szkarłatne plamy na jej alabastrowym ciele i białych szatach, i otoczył ją ramieniem, a ona przywarła do niego nie zwracając uwagi na jego straszny wygląd.

— Krew twych wrogów panie — powiedziała — będzie dla Vanessy zawsze, niczym najdroższe perfumy.

Cymmeryjczyk zaśmiał się głośno i mocniej przycisnął ją do siebie.

— Jesteś prawdziwą żoną zdobywcy! — zawołał. — Hej, Bourtai, pokaż swój mały pysk!

Za tronem bezszelestnie otworzyły się ukryte drzwi, niewidoczne do tej chwili i stanął w nich mały czarnoksiężnik.

— Witaj, Conanie — zawołał piskliwym głosem. — Nigdy dotąd nie widziałem takiej jatki!

Przeszedł przez komnatę przeskakując bez emocji nad ciałem jej niedawnego właściciela i wyciągnął przed siebie powykęcane dłonie, w których błyszczało złoto i szlachetne kamienie. Zaczął mówić po khitajsku, który obaj znali, a który był obcy dla Vanessy i Tanissa, który zimnymi, niebieskimi oczyma przyglądał się twarzy maga. Vanessa zwróciła się do Conana.

— Czy masz jakieś tajemnice przed swą niewolnicą i żoną, panie? — spytała miękким głosem.

Cymmeryjczyk przysłuchiwał się szybkiej mowie Bourtai nie zwracając na nią uwagi.

— Jest coś, czego nie rozumiem, panie — mówił mag. — Vanessa widziała, jak Ozark połykał swój rubin mądrości, ale choć rozbebeszyłem go jak starą ropuchę, którą zresztą był, nie udało mi się znaleźć kamienia. Może magicznie rozpuścił się w jego krwi?

— Mi się wydaje — odparł Conan z wilczym uśmiechem na twarzy — że sam go połknąłeś, by zatrzymać go dla siebie. Może, gdyby rozplatać twój mały brzuch... — Chwycił małego czarnoksiężnika jedną ręką, a drugą, z mieczem przystawił do jego brzucha. Oczy Vanessy zapłonęły zimnym ogniem, a Taniss sięgnął do rękojeści swego sztyletu, lecz Conan nie zauważył tego.

— Nie panie — miotał się Bourtai mrugając oczyma i machając w powietrzu nogami. — Przysięgam, nie wziąłem go. Bogactw, które tu są starczy dla nas obu!

Cymmeryjczyk zaśmiał się głucho i odepchnął go od siebie.

— Pilnuj, by drzwi do tej sali pozostały zamknięte, dopóki nie wrócę. Ty także Tanissie.

Vanessa, sprawdźmy, czy w komnatach tego opasłego królika nie znajdzie się jakieś odzienie na moją niedźwiedzią posturę, które lepiej by pasowało władcy Fahrgo, niż te łachmany.

— Tak jest mój mężu — odparła Vanessa spuszczać wzrok i rumieniąc się na twarzy.

— No, tak — powiedział Conan spoglądając na nią i zanosząc się rubasznym śmiechem.

— Skoro już zostałem królem, znajdzie się czas na wszystko. Chodź, żono. — Oddalili się, lecz długo jeszcze w komnacie dźwięczał tubalny śmiech olbrzyma. Nim minął, Bourtai stał już przy Tanissie, podsuwając mu pod nos garście pełne drogocennych przedmiotów. Ten jednak patrzył na drzwi, za którymi zniknęli Vanessa i Conan.

— Nie jestem pewien — szepnął — czy możemy całkowicie zaufać Vanessie. Jest coś w tych dumnych żołnierzach...

— Ale to coś szybko mija. Zresztą, ona lubi tylko mężczyzn, którymi może rządzić — terkotał Bourtai.

— Chcesz powiedzieć, że mną też rządzi, poczwaro? — Taniss rzucił mu zimne jak lód spojrzenie.

— Ależ skąd — Bourtai odstał o krok, ale przebiegły uśmiech nie zniknął z jego małej twarzy — czyżbym coś takiego powiedział? Nie, po prostu wydaje mi się, że Vanessa ma swoje sposoby. I pamiętaj, nie może być mowy o zabiciu Conana! Na swój idiotyczny sposób był mym przyjacielem i mimo że nie jestem człowiekiem, któremu przyjaźń może stać na

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia
drodze do bogactwa, zabójstwo nie jest jednak potrzebne, dopóki Vanessa da sobie z nim
radę. — Wzruszył ramionami i spojrzął na trupa Ozarka. — Gdybym tak odnalazł ten rubin...

Splukawszy z siebie trudy bitwy w złotej wannie Ozarka i odziewszy się w jedwabie,
Conan ułożył się wygodnie na miękkim kobiercu, a Vanessa czesała jego włosy.

— Jesteś żadna krwi — zirytował się Conan. — Ale nie wypada mi kłócić się z tobą, skoro
to moje dobro masz na myśli.

— Jestem tylko kobietą, panie — odparła miękkim głosem spuszczać wzrok — i nie
wolno mi sprzeczać się z tobą. Byłam żebraczką, a ty uczyniłeś mnie królową, ale jestem
ambitna i... obawiam się o ciebie!

Conan próbował unieść się z posłania, jednak jej pieśczęty powstrzymały go.

— Ty jesteś najmądrzejszy, panie — mruzczała Vanessa.

— Jednak wydaje mi się, że podbite rasy często podnoszą broń przeciw zdobywcom. Na
przykład Vanirowie...

— No dobrze, wyślę ludzi jutro, albo za tydzień...

— Nie, panie, teraz! — rzuciła Vanessa starając się ukryć pod powiekami błysk złości w
oku. — Dla twych ludzi to żaden wysiłek, a jutro Kitharowie mogą przypomnieć sobie jakąś
magię, którą rzuca przeciw tobie!

— Nie dbam o ich sztuczki — Conan strzelił palcami. — Przejrzałem je i wykorzystałem
przeciw nim!

— Jednak kiedyś ich magia powaliła cię na ziemię... Conan skoczył na równe nogi, a
Vanessa skuliła się jak pod uderzeniem bata, ale obserwowała go spod przymrużonych
powiek.

— Czyżbyś umniejszała moje czyny, kobieto! — wykrzyknął Conan.

— Słowa twej niewolnicy były z pewnością...

— Te słowa drażnią mnie — przerwał Cymmeryjczyk.

— Zatem utnę sobie język! — Vanessa wydobyła swój mały sztylecik i przyłożyła go
sobie do ust, ale Conan odebrał go jej i pogłodził jej złote loki.

— Jesteś sprytnym, małym tyranem — zaśmiał się — ale masz rację, Kitharowie muszą
zostać zgładzeni.

W oczach Vanessy zabłysła satysfakcja, szybko jednak zniknęła pod udanym smutkiem:

— Będę za tobą tęsknić mój panie — szepnęła nieśmiało. — Nie spędzisz w mych
ramionach nawet jednej nocy, nim ruszysz śladem swych wrogów!

— Co do tego...

— Ale wiem, że takie jest życie zdobywcy. Nie spocznesz, póki nie pokonasz wszystkich
przeciwników!

— Każdy ma jakiś cel.

— A twoim jest zwyciężać, panie — Vanessa zarzuciła mu szczupłe ramiona na szyję. —
Gdybym chociaż mogła być zawsze przy tobie! Ale to nie potrwa długo. Zostanę i będę
strzegła twego tronu i twych praw, choć jest to duży ciężar dla mych kobiecych ramion.
Conan zamknął te ramiona w uścisku swych dłoni i spojrzął jej prosto w rozplomienione
oczy, choć nie znał przyczyny jej podniecenia.

— Zatem, dla ciebie, Vanesso! — powiedział wzdychając ciężko i czując powracające
zmęczenie.

— Nie, panie — odparła żarliwie. — Dla siebie samego, by twój tron był bezpieczny dla...
tych synów.

— Dla tych synów, których będę miał tutaj — wybuchnął śmiechem Conan. — Nie
kobieto, nie chciałem cię urazić. Będziesz wspaniałą matką księżąt.

Vigomar protestował słabo przeciw natychmiastowemu ruszeniu w pościg.

— Jak to, panie, czy zostawisz tak niedawno zdobyty tron? — spytał. — Czy nie
powinieneś się najpierw zabezpieczyć tu, w mieście?

— Masz rację, kiwnął głową Conan. — Dlatego ty i ci, którzy byli z nami na Wzgórzu
Niedźwiedzi, zostaniecie tutaj, a zamiast mnie rządzić będzie Vanessa, której będziesz służył
poradą razem z Bourtai. Krew zdobywcy burzy się we mnie i nie spocznię, nim wszyscy moi
wrogowie nie będą martwi.

Vigomar spojrzął ponad jego ramieniem na świątynię, w której tłoczyło się około tysiąca
Kitharów zebranych tam na rozkaz Conana, by ujrzeli burzenie posągu Boga Niedźwiedzia.

— Będąc władcą wrogów nie trzeba szukać daleko, panie.

— Co masz na myśli! — spytał cicho Cymmeryjczyk, jednak jego głos krył w sobie
groźbę, ale Vigomar spojrzął mu prosto w oczy i odparł:

— To, co mówię dyktuje mi serce.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— Dużo ostatnio słyszę o mowie serca. Mów!

— Są tacy, którzy nie należą ani do naszej rasy, ani do Kitharów — zaczął Vigomar i spojrzał na Vanessę, która jak duch pojawiła się obok Conana.

— Kogóż to masz na myśli, Vigomarze? — spytała nieśmiało rzucając mu spojrzenie pełne ognia.

Conan spojrzał na nią i powiedział:

— Musisz się nauczyć Vanesso, że nie wolno przeszkadzać mężczyznom w rozmowie.

— Twoja wola jest moim rozkazem, panie — odparła pokornie i odwróciła się, by odejść rzucając Vigomarowi długie spojrzenie.

Barbarzyńca widząc, jak Conan obejmuje jej talię i jego pobłażliwy uśmiech, nie wypowiedział tego, co miał na myśli.

— Mówię o czarnoksiężnikach panie.

— Zabij ich — odparł beznamiętnie Cymmeryjczyk. — Vanesso, zostawiam Bourtai i Vigomara, by pomagali ci w sprawowaniu rządów pod moją nieobecność. Vigomara dla jego męstwa, a Bourtai — dla mądrości.

— Tak jest, mój panie — odparła pokornie.

Conan podszedł do zwaliska kamieni, które było przedtem ołtarzem ofiarnym i nakazał pojmanym Kitharom uklęknąć i oddać hołd Cromowi. Tłum zafalował i posłusznie wypełnił jego wolę.

— Oto, Cromie — mruknął pod nosem — jest wypełnienie mojej obietnicy, a teraz złożę ci nową przysięgę. Dopomóż mi w innych podbojach i takich pogromach, jakiego doznało Fahrgo, a cały kontynent padnie przed tobą na kolana. Wspomagaj Conana, a staniesz się największym, nie — jedynym bogiem na świecie! To jest przysięga!

Conan zacisnął dłoń na swoim amulecie a po chwili ruszył wraz z Vanessą i Vigomarem, by szykować się do drogi. Niedługo potem maszerował już na czele legionu po pylistej drodze w ślad za uciekinierami z Fahrgo.

Jego oddział był jeszcze widoczny z murów miasta, gdy Vigomar wraz z Vanessą i Bourtai zasiadł do wieczerzy. Nagle barbarzyńca ze strasznym okrzykiem wstał z krzesła i schwyił się za gardło. Zdołał jeszcze rzucić w Vanessę ciężkim, złotym pucharem, z którego pił, jednak z powodu ogarniającej go słabości nie trafił i upadł na ziemię, dusząc się i kurczowo szarpiąc krtań, walcząc o uciekające życie. Po chwili legł spokojnie, a w komnacie rozległ się przenikliwy chichot małego maga.

— Tak oto pozbyliśmy się najgorszego wroga — syknął Bourtai. — Teraz będzie nam łatwiej rządzić Fahrgo. Łatwiej i lepiej... dla naszych kieszeni.

— Naszych kieszeni, Bourtai? — spytała Vanessa uśmiechając się zjadliwie.

Bourtai zerwał się z miejsca, lecz nie zdążył uchylić się przed ręką sztyletu, która ugodziła go w potylicę. Nie mógł już widzieć, jak ten sam sztylet zbliża się do jego gardła.

— Tanissie, mężu, wstrzymaj się — rzuciła szybko Vanessa. — Kiedy wróci ten nadęty olbrzym Conan, to ścierwo może nam się przydać jako zakładnik. Tymczasem... niech gnije w lochu. — Położyła dłonie na jego szczipłych ramionach i spojrzała na niego ciepło, niczym matka. — Tyle lat myślałam nad tym, by posadzić cię na tronie Ozarka...

— To ja nad tym myślałem! — poruszył się niespokojnie.

— Tak jest — odparła Vanessa uśmiechając się tajemniczo. — Teraz jesteś władcą Fahrgo! Nasi bracia, Hewarowie są już w drodze ze stepów, a ta świącica otworzymy dla nich bramy. Te czerwono włosy psy zginą we śnie, a wtedy nic nie zagrozi twej władzy, mój królu! Taniss wyrwał się z jej objęć.

— Dopiętaś tego na swój sposób — powiedział szorstko — ale to ja będę królem i obiecuję ci, że jeśli twój syn będzie miał czerwone włosy, poderżnę mu gardło jeszcze w kołysce!

Wypluwał z siebie słowa pełne goryczy, ale Vanessa śmiała się tylko i przycisnęła jego głowę do serca.

Na Drodze Niedźwiedzia Conan maszerował na czele swego legionu, wpatrując się w szybko ciemniejące niebo i pojawiające się gwiazdy. Zastanawiał się, która z nich jest jego własną. Z pewnością właśnie wschodziła. Gwiazda zdobywcy!

Gdy tak patrzył, na niebie pojawiła się błada kropka opadająca szybko za zachodni horyzont. Conan zatrzymał się na chwilę i ogarnęły go złe przeczucia, ale po chwili uśmiechnął się, a jego uszy wypełniła jakże dobrze mu znana muzyka szczękających w marszu mieczy i tarcz, miarowy rytm maszerujących nóg. Zaczął nucić coś pod nosem...

ROZDZIAŁ X

UTRACONE KRÓLESTWO

Jak na ludzi przerażonych i pozbawionych domu Kitharowie bardzo szybko zebrali się i zorganizowali, Conan był więc wdzięczny Vanessie za mądrą radę. Podążał za uciekinierami aż do brzegu dużej, bystrej rzeki płynącej na wschód, a potem wzdłuż niej, by dopaść ich w końcu niedaleko miasta Yun. Tam jego legion stoczył z nimi ostatnią bitwę, wybijając ponad połowę karłów, a resztę spychając do rzeki. Jednak mądre kobiety Kitharów pobudowały prowizoryczne tratwy i uciekły rzeką na morze Khitajskie.

Stojąc nad brzegiem Conan obserwował niknące w dali tratwy, a na jego twarzy malowało się szczęście. Nareszcie koniec trudów, może wrócić do białych ścian Fahrgo, swojego miasta. Wiele miast, przez które przechodził padło pod naporem jego wojsk, w niektórych osadzał swój garnizon. Był zdobywcą, i nakazał zwać się imieniem, które dla podbitych kojarzyło się ze śmiercią. Wszędzie, jak obiecywał, kazał ludziom chylić czoła przed Cromem i składać mu w ofierze na swoje ręce ogromne ilości złota.

Jednak wracając do Fahrgo stwierdził, że miasta zbuntowały się przeciw niemu, zrzuciły jarzmo i wymordowały jego garnizony. Wzdłuż drogi zastawiano na niego pułapki, w których tracił wielu ludzi. Gdy dotarł do granicy Zielonego Morza, było przy nim ledwie stu wojowników i niemal tyle samo koni objuczonych bogactwami całego kontynentu. Conan obiecywał sobie, że przyjdzie czas na porachunki z buntownikami.

Jego oczy spoglądały teraz w głąb morza trzciny, poprzez falujące od upału powietrze, gdzie czekało na niego bezpiecznie ukryte za białymi murami i wieloma stajami traw Fahrgo z Vigomarem na czele silnej straży i złotowłosą Vanessą władającą przy pomocy Bourtai. Będzie musiał wymyślić jakieś zaszczytne stanowisko dla tego chłopaka, Tanissa za otwarcie bramy w noc podboju. Conan rozluźnił nieco zmęczone wieloma walkami ciało. Dobrze będzie wrócić na tron Fahrgo!

Legion podążał Drogą Niedźwiedzia i o wieczornej szarówce dotarł do Wzgórza Niedźwiedzi. Conan jechał na jego czele obserwując okolice. To, że rozbili obóz w miejscu, gdzie zaczęły się jego podboje zdawało mu się dobrym omenem. Zdziwił się jednak, gdy naprzeciw niego wyszli dwaj jasnowłosi mężczyźni z pozdrowieniami od Vanessy i mówiący, że rankiem przyśle ona zbroję godną tak wielkiego zdobywcy.

— Nie znam waszych twarzy i nie wiem kim jesteście — rzucił ostro — ale nie zapominajcie kim jestem!

Posłańcy padli na kolana i oddali mu należny hołd. Cymmeryjczyk skinął im z pogardą. Mieszkańcy wschodu mieli we krwi niewolnictwo. Wystarczyło krzyknąć głośnie, a gotowi byli porozbijać sobie głowy o ziemię w pokłonach. Gdyby teraz mogły go ujrzyć tłumy z Angkhor! Siedzącego na jedwabnym posłaniu w swoim namiocie i spoglądającego na swych dzielnych wojowników. Nie zauważył jednak jeszcze jednego jasnowłosego mężczyzny, który dołączył do posłańców i wyszeptał im po kryjomu rozkazy od Vanessy.

Tej nocy Conan poczuł się samotny w tym obcym mu świecie, który podbijał, lecz którego nie potrafił zrozumieć. Skinieniem ręki odprawił przyboczną straż, która zawsze mu towarzyszyła w wszedł na Wzgórze Niedźwiedzi, by spojrzeć w dal Zielonego Morza, przysłoniętą mglistymi oparami unoszącymi się znad jezior i bagien, pobieloną poświatą księżycy. Kiedy już trochę odpocznie, powróci, by ponownie podbić buntownicze miasta. Ich mieszkańcy ze strachem będą wspominać swym dzieciom gniew Conana! Teraz jednak jest zmęczony, a bogactwo i władza są tylko ciężarem na jego barkach.

Z obozowiska unosił się śmiech i śpiewy jego żołnierzy. Byli szczęśliwi, że już jutro zobaczą dom, choć wielu ich towarzyszy nigdy już do niego nie powróci. Taki już jest los wojownika. Jutro odzieją się wszyscy w złoto i w chwale wkroczą do miasta, a Conan będzie szczęśliwy, jednak dziś czuje się samotny i zmęczony. Powoli nad obozem zapadła cisza.

Cymmeryjczykowi wydało się, że usłyszał pojedynczy krzyk jednego z żołnierzy, pewnie przeżywającego we śnie jakąś bitwę, lecz po chwili zapadła kompletna cisza, a błądy, stary księżyc zaczął chylić się w dół. W tej właśnie chwili, kiedy świat zaczyna domyślać się nadchodzącego powoli poranka, Conan posłyszał dobiegający z drogi tętent kopyt! Ciężko powstał z przydrożnego kamienia w oczekiwaniu na nocnego jeźdźca, i choć nie widział niczego, jednak wybijany kopytami rytm stawał się coraz głośniejszy.

Conan zaklął pod nosem. To pewnie jeszcze jeden posłaniec od Vanessy — uspokajał się, lecz instynkt wojownika podpowiadał mu co innego. Zdawało mu się, że nieco dalej słychać inne odgłosy, odgłosy pogoni. Przecież nic nie mogło się stać w Fahrgo! Zaklął głośnie i szybkim krokiem poszedł do obozu.

— Do broni, żołnierze — krzyknął, a jego głos przetoczył się jak grzmot po uspijonych trawach. — Do broni!

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

Jednak jego wołaniu nie odpowiedział żaden głos. Żaden strażnik nie podjął jego okrzyku, nie zabrzmiał krzyk ni bęben, chociaż widział wyraźnie leżące wokół wygaszonych ognisk sylwetki. Rozzłoszczony powtórzył wołanie i zbiegł w dół stoku. Opanowała go wściekłość i miał już rzucić się na swych ludzi, gdy zauważył, że każdy z nich ma poderżnięte sztyletem gardło. Nawet juczne zwierzęta leżały w kałużach krwi, nie było tylko nigdzie jasnówłosych posłańców Vanessy. Conan stanął pośród pomordowanych bez wątpienia we śnie żołnierzy, nieruchomy, niczym statua z brązu. Ci ludzie walczyli u jego boku i zasłużyli na lepszy los. Chciał uczynić ich wielmożami, posiadającymi wielu niewolników spełniających ich życzenia, tymczasem podstępna śmierć odwiedziła ich tej nocy na ostrzu sztyletu... Rytmiczny tętent kopyt przywrócił mu świadomość. Jednym ruchem zdarł z siebie jedwabne szaty i jego stalowe mięśnie zaśniły w księżycowym blasku. Pobiegł do swojego namiotu i przeszył swe posłanie mieczem, ale nie znalazł żadnego ukrytego zabójcy. Jego zaciśnięte usta rzucały okropne przekleństwa. Narzucił kolczugę na gołe ciało i wydobyl z kąta swój wielki łuk wraz z pełnym kolczanem. Na głowę założył złoty, rogaty hełm, a przez ramię przewiesił tarczę z brązu i ruszył na spotkanie konnych.

Jego oczy czujnie wpatrywały się w drogę. Na pewno była to sprawa Kitharów, a Vanessa uciekała teraz przed nimi do swego męża! Ujrzał już sylwetkę konia i małą postać jeźdźca na jego grzbiecie, a tuż za nim słyszał wyraźnie okrzyki pogoni. Koń uciekiniera zboczył z drogi i skoczył między trzciny, by po kilku krokach potknąć się i upaść. Czarna postać zeskoczyła z jego grzbietu i z małą zręcznością pobiegła wśród skał krzycząc piskliwym głosem.

— Conanie, panie... Cymmeryjczyku! To ja Bourtai, przybywam, by uratować ci życie! Zbudź się, gdyż zdrada zawitała do twych drzwi. — Głos małego maga drżał ze strachu i urywał się co chwila z braku oddechu.

Conan zaklął zdziwiony i wstał z ukrycia.

— Tędy, małpi pomioście i mów szybko. Co to za zdrada?

— Budź swych ludzi! — skrzeczał Bourtai. — Zaraz spadnie na nas horda Hewardów! Mag upadł u stóp Conana i chwycił go za kolana drżącymi ze strachu ramionami.

— Mów — odparł Conan przez zaciśnięte zęby. — Co to za zdrada? Moi ludzie leżą niedaleko z poderżniętymi w czasie snu gardłami!

Bourtai jęknął i skulił się u jego stóp.

— Zatem obaj jesteście już martwi! Ledwo opuściłeś Fahrgo, Vanessa otruła Vigomara, mnie wtrąciła do lochu, a na twym tronie osadziła Tanissa!

— Łżesz, psie — wyszczał Conan unosząc do góry pięść. Bourtai uniósł głowę, a światło księżycy rzeźbiło dziwne cienie w jego pomarszczonej twarzy.

— Czyżby, panie? — szepnął. — Kto zatem pozbawił życia twoich wojowników, jeśli nie żółtowołose psy Hewardowie. Ludzie tej diablidy, których wezwała, by jej służyli i zgładzili straż, którą pozostawiłeś w mieście!

Dłoń Conana opadła i zwiśla bezwładnie wzdłuż ciała, a jego wzrok utkwiony był w mroku, w którym skryte były białe mury miasta. Zobaczył jednak tylko wielu jeźdźców o płowych włosach ciągnących śladem Bourtai. Jego usta wyrzuciły potok strasznych klątw.

— Więc mnie oszukała — mruzczał. — Okłamała... Nigdy nie potrafiłem zrozumieć kobiet, a znałem ją tak krótko. Zrobiła ze mnie głupca. Ale ty mój wierny towarzyszu... — zwrócił się do czarnoksiężnika, a w jego głosie zabrzmiała gorzka ironia. — Ty, moje drugie ja, mój obrońca!

Bourtai drżał i odsuwał się od Conana, lecz nie odwrócił wzroku.

— Spójrz na moje starte okowami nadgarstki — zaskrzeczał — Niech ujrzą to twoje oczy, a twój miecz niech dokona zemsty, jeśli wcześniej Hewardowie nie posiekają nas na plastry! Panie, to są współplemieńcy Vanessy, podłej zdrajczynie!

Conan spojrział na nadjeżdżających i ujrzał pierwszego z nich nie dalej, niż sto metrów od ich kryjówki. Cymmeryjczyk odrzucił do tyłu głowę, a w jego gardle wezbrał okrutny śmiech.

— Hej, bracie złotowołosej dziwki! — zawołał. — Zanieś jej moje pozdrowienia!

W następnej chwili zabręczała cięciwa i świsnęła strzała, a pośród szarżujących odezwały się dwa jęki i dwóch mężczyzn jadących jeden za drugim osunęło się z siodła. Conan słął strzałę za strzałą i tylko nieliczni z goniących dotarli do skał i skryli się za nimi wydobywając swe małe łuki. Conan odrzucił swą broń i z uniesionym do ciosu mieczem skoczył między nich. Z jego gardła ciągle wydobywał się okrutny śmiech, a ostrze broni wirowało migocząc w blasku księżycy rozdając śmierć, gdziekolwiek uderzyło. Głowa jednego z jeźdźców potoczyła się po trawie, a krew zabarwiła na ciemno jego złote włosy. Inny upadł przytrzymując dłońmi wypływające z rozplatanego brzucha wnętrzności. Ostatni rzucił się do ucieczki. Doścignął go celnie rzucony sztylet Conana przerywając wrzaski i przewracając go

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia na ziemię z rozkrzyżowanymi ramionami, lecz po chwili powstał i próbował biec dalej. Cymmeryjczyk szybkim cięciem odrąbał mu dłoń nad nadgarstkiem, mimo to wojownik starał się oddalić od niego. Kolejny cios miecza pozbawił wojownika drugiej dłoni, ale ciągle uciekał krzycząc przeraźliwie.

Conan dopadł go szybkimi susami i powalił jednym uderzeniem pięści pozbawiając go przytomności. Obciął jego długie włosy i skrępował nimi ręce nieszczęśnika, a potem chlusnął mu w twarz wodą przyniesioną w hełmie z pobliskiego stawu. Oczy mężczyzny otworzyły się i rozszerzyły z przerażenia.

— Oszczędzę ci życie — rzucił Conan. — Powiedz mi tylko, kto rządzi teraz w Fahrgo? Mów prawdę!

Usta mężczyzny drgały, gdy kleił nieskładne słowa w języku Vanirów, którego użył Conan.

— Panie — wydusił w końcu. — Vanessa wraz z mężem Tanissem zasiadają na złotym tronie.

— A co z czarnoksiężnikiem Bourtai i Vigomarem? — syknął Conan.

— Nie złość się na mnie panie, ale nic o nich nie wiem. Chociaż... Słyszałem, że w lochu siedzi mały mag...

— A Vanirowie, rudowłosi barbarzyńcy?

— Zabiliśmy ich na rozkaz Vanessy — wyszeptał więzień.

— W całym Fahrgo nie ma teraz nikogo o czarnych — ani rudych — włosach, z wyjątkiem syna królowej zwanego Aress.

Conan spojrzał na nieszczęsnego mężczyznę leżącego u jego stóp, po czym ponownie wybuchnął śmiechem pozbawionym radości, podniósł go na nogi i pchnął na drogę.

— Idź głupcze — rozkazał — i przekaz Vanessie te słowa od jej pana, Conana. Oto nadchodzę, by własnoręcznie zburzyć mury Fahrgo. A gdy to się stanie, lepiej, by okazała się kochającą matką mojego syna!

Mężczyzna potykając się szedł drogą odwracając co chwila wykrzywioną cierpieniem twarz, by spojrzeć na swego prześladowcę, spodziewając się lecącego sztyletu, a gdy się oddalił, puścił się biegiem w stronę miasta. Na murach stali ludzie Vanessy, która była teraz królową, opływała w bogactwa, ale Conan spoglądając w tamtą stronę zaśmiał się tylko.

— Więc Vanessa ma coś, co nie pozwoli jej o mnie zapomnieć — chichotał. — A i Taniss wie, po kim ten Aress odziedziczył swe czarne włosy. To powinno wystarczyć zamiast zemsty... na razie. Ale przyjdzie dzień, w którym z tych murów nie pozostanie kamień na kamieniu!

— Czy wiesz już kiedy to będzie? — spytał ironicznie Bourtai.

— Ty, worku małych kości, nie będziesz żył tak długo!

— Conan spojrzał na czarnoksiężnika gniewnym wzrokiem.

— Rozpalę nieduże ognisko i będę cię nad nim opieką śmiejąc się z twych jęków.

— Panie — jęknął Bourtai, kuląc się w trawie, jednak nie spuszczał wzroku z twarzy Conana. — Robiłem, co mogłem! Zostałem wtrącony do lochu, a gdy udało mi się zbiec przyniosłem ci wieść o zdradzie!

— Bardziej prawdopodobne jest, że knuteś przeciwko mnie, pokurczu — skrzywił się Cymmeryjczyk i chwycił małego czarnoksiężnika za resztki włosów na pomarszczonej czaszce.

— Przyznaj się! Nastawałeś z Vanessą na moje życie!

— Nie, panie...

— Gadaj!

— Nie chciałem twej śmierci — jęknął w końcu Bourtai — byłem za wtrąceniem cię do lochu!

Conan odepchnął go od siebie ze wstrętem i przyglądał mu się spod oka, a na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

— Jesteś zdradliwym, małym pomiotem, Bourtai — powiedział — ale zanim oskrobię z mięsa twoje kości, opowiesz mi jeszcze wiele ciekawych rzeczy. To ty przysłałeś do mnie Vanessę?

— Czy nie byłeś z niej zadowolony, panie?

Conan wydał chrapliwy śmiech, uniósł małego maga i przerzucił go sobie przez ramię, po czym ruszył drogą, jednak nie w kierunku Fahrgo.

— Trochę mogę ci wybaczyć, karle — odezwał się Conan. — Zresztą brakowałoby mi poczucia bezpieczeństwa, jakie mi zapewniasz stojąc za moimi plecami. Pewne jest, że Crom nie jest gotowy na to wschodnie królestwo, inaczej już dawno sam poderżnąłby ci gardło za twe zdradzieckie postępowanie.

Howard Robert E - Conan. Synowie boga niedźwiedzia

— Panie, czy w tym obozie nie zostały jakieś łupy? — spytał mag.

— Nie dla twych lepkich palców — ze złością warknął Cymmaryjczyk. — Ludzie, którzy je zdobyli zginęli przez to. Niech będzie to ich okup dla Croma. Zresztą ci, którzy ich pomordowali zgładzili też wszystkie zwierzęta.

— Jednak moglibyśmy zabrać kilka kamieni ze sobą, byśmy mieli czym płacić po drodze do twego trzeciego królestwa, które masz zdobyć.

Conan wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu i dotknął dłonią wiszącej u pasa sakiewki.

— To wystarczy na moje potrzeby, a jeśli chodzi o ciebie, Bourtai, to możesz zdechnąć z głodu albo zacząć żebrać, nic mnie to nie obchodzi. A teraz powinniśmy się pośpieszyć, albo te żółtwołose psy dopadną nas i pozbawią nie tylko złota, ale i głów!